Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 12 stron | Warszawa, 24 lutego 1952 r. | Nr 8 (100) Rok III

W NUMERZE m. in.: **Janu Guranowski** — Dokumenty naszego czasu, **Jan Bester** — Chwalę radosne prawo; **Ryszard Matuszewski** — Dzieje lat walki; **W dziesięciolecie śmierci Emila Zegadłowicza; André Wurmser** — Oskarżam zdrajców; **Stanisław Broszkiewicz** — Więcej stali...; **Marian Promiński** — W cyrku; **Bolesław Dudziński** — Powieść o ludziach cyrku; **Jan Strzelecki** — Opowiadania o nowych ludziach; **Mikołaj Gribaczow** — Wiosna w zwycięstwie; **Józef Rurawski** — Pamiętnik nowego typu; **Jerzy Pomianowski** — Wniosek nagły w sprawie nieformalnej; **Erwina Groten-Sonecka** — Historia mieszczańskiego dziecka; **Anna Kamieńska** —„Pisz mój Alfredzie, oto świat sprawdzalny"; **Wawrzyniec Żuławski** — Muzyka kameralna w Warszawie.

Biblioteka Miejska Sopot

O nowym słowie

„Idą traktory" — wołają ludzie, gdy na wieś wolecі charakterystyczny stukot spalin, wyuczonych przez mocne maszyny. Wieś przyjęła nowe formy mechanicznej uprawy ziemi, jakie niesie ze sobą socjalistyczna gospodarka. Trącі już prehistorią wynalezіony przeze mnie czasownik: „Traktor to ogromne zwierzę, co zaorze, to zabierze", jaki słyszałem na wsi dwa lata temu w ustach kułackiego parobka.

Okres krucjaty na maszynę, era „kamienia rzucanego" jest już poza nami. Zoyt dobrze w końcu pamiętał chłop, że przed wojną zaopatrzenie w narzędzia w gospodarstwach do dwóch hektarów, (a więc w co trzecim gospodarstwie chłopskim) nie wykraczało poza jeden wóz na osiem gospodarstw, jeden pług na dziewięć, jedną młockarnię na pięćdziesiąt. Zoyt wyraźnie chłop odczuł, że mamy aziś ośmiokrotnie więcej maszyn, że wieś zużywa pięćdziesiąt razy więcej energii elektrycznej.

Kiedy półtora roku temu poznałem jedną ze spółdzielni produkcyjnych, jej przewodniczący, bezręki inwalida, eks-żołnierz spod Lenino, prowadził upartą walkę o konie do jesiennej orki na ciężkim, podmokłym gruncie. Parę dni temu byłem świadkiem zebrania, na którym chłopi dyskutowali sprawę pozbycia się kilku „koni-darmozjadów" ze spółdzielczej stajni. Kiedy dwa lata temu było przewodniczącego zapytać o szykującą się dniówkę, wyrażał ją sumą nie przekraczającą na obecną walutę dziesięciu złotych. Spółdzielcy obradujący nad pozbyciem się koni mieli za sobą rozliczeniowe zebranie, na którym ustalono wysokość dniówki na złotych ponad dwadzieścia. Tak obradzała gospodarka, wkraczająca w wyższe formy.

Gdy mówię o wsi, w której dniówka z dziesięciu złotych przekracza po roku dwadzieścia, te dwie cyfry określają skok w poziomie życia człowieka na wsi, ale nie tylko w poziomie życia. Również w poziomie świadomości.

Byłem świadkiem, jak stara kobieta przemawiając na zebraniu rozliczeniowym odważnie przypomniała swoje dawne słowa: „Gdy zakładano spółdzielnię, mówiłam, że ja się z wami siekierą za nowe porządki porachuję, a ja was teraz proszę, żebyście się nie brzydzili przekroczyć mego progu, ja wam chcę pokazać, jak ja teraz żyję, kiedy się ze mną spółdzielnia obrachowała dniówkami".

Nie wszystkie, młode przecież, borykające się często z wielkimi trudnościami, spółdzielnie gospodarowały równie szczęśliwie, ale na ogół obraz tej spółdzielni jest na pewno typowy.

Dobra spółdzielnia obradza dniówkami, obradza wzrostem świadomości swoich — i nie tylko swoich — ludzi. Chłop, którego konserwatyzm stosunkowo łatwo przełamuje maszyna, o wiele dłużej waha się w obliczu decyzji zasadniczej zmiany nie tylko środków, ale i metod gospodarowania. Kiedyś „przyrosła do kupy gnoju" wiedza agrotechniczna chłopa wzdragała się przed stosowaniem w uprawie sztucznego nawozu, dziś przyrosła do wyhodowanych w okresie kapitalizmu przesądów świadomość średniej warstwy chłopskiej zwolna przyjmuje wiedzę o ogromnej wyższości gospodarki zespołowej.

Każda dobra spółdzielnia, to wspaniały agitator, który swym działaniem obala każdą wątpliwość, każdą fałszywą, wrogą kułacką propagandę. Każda rodzi nowych zwolenników nawet wśród dawniejszych niezdecydowanych, nawet wśród obałamuconych dawnych „wrogów", o których wrogości nie decydowały posiadane hektary, a brakująca świadomość.

Słyszałem w życiu wiele przemówień, ale żadne nie wzruszyło mnie tak, jak przemówienie spółdzielczego furmana, który znalazłszy się na trybunce, na którą sam rżnął deski i potem je zbijał, najpierw zaniemówił ze wzruszenia, a potem życzył wszystkim, żeby mieli w życiu tylko takie lata, jakie przed nim otwarło spółdzielcze rozliczenie. Był to, bowiem dla niego pierwszy rok, o którym wiedział, że nadchodząca wiosna nie okaże się równoznaczna z koniecznością żebrania o pożyczkę na odrobek. Dniówka obrachunkowa zwróciła mu godność.

Często redaktor zniecierpliwiony schematyzmem złych wierszy ma okazję podkreślać nadużywane w nich nieraz słowo „traktor". Pisarzom o większych ambicjach chcę tym felietonem zasygnalizować istnienie słowa równie kiedyś dalekiego od poezji — słowa „dniówka obrachunkowa".

Roman Bratny

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

CZY NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN?

Pamięci Tadeusza Borowskiego

Pociąg specjalny do Oświęcimia odjedzie o godzinie 22.45, powtarzam... te słowa wypowiedziane z megafonu na peronie warszawskiego Dworca Głównego w styczniowy wieczór 1952 roku nie powinny już nikogo przejmować drżeniem. A jednak... Ani skład pociągu zestawionego z samych tylko wagonów sypialnych i restauracyjnych, ani nawet obecność wśród podróżnych Wiceministra Komunikacji (naszego kolegi z Oświęcimia) nie zmniejszały dziwności sytuacji. Bo był to istotnie pociąg specjalny, wiozący nie tylko nas na Górny Śląsk, lecz wiozący nasze myśli po świecie — do Korei, do Waszyngtonu, do Norymbergi, do Trizonii, wyprzedzający bieg czasu i bieg wydarzeń. W stukocie kół pociągu wypowiadały się niewyrażone jeszcze myśli, odezwy, protesty. Biło serce gromady gotowej skoczyć przed nadjeżdżające czołgi, zacisnąć pięści i krzyknąć: n i e! Biło serce niezłomnych obrońców pokoju — byłych więźniów, którzy w walkę przeciwko nowej wojnie wnoszą swoją sumę wiedzy o wojnie minionej.

*

Jest niewielki sosnowy las w okolicy obozu nazwanej Brzezinką; w tym lesie nie ma teraz nic oprócz śniegu, ciszy i pustki; tak samo nie było w nim nic, gdy jesienią 1942 roku po raz pierwszy zobaczyłam Oświęcim. Obecnie z wielu krajów Europy przybyli więźniowie lub rodziny zamordowanych, by w lesie przylegającym do zadrutowanych poletek pochylić się i zebrać garść ziemi, którą następnie zawiozą swoim rodakom. Ziemia to szara i zwykła, lecz gdy rozgnieść ją płasko na dłoni, zobaczyć można liczne, jakże liczne drobiny kości ludzkich. Zdumienie zapiera wówczas dech w piersiach, zdumienie spowodowane skalą możliwości człowieka: od geniuszu, od bohaterstwa aż po zbrodnie godne bezmyślnego jaskiniowca, zabijającego na równi ze zwierzętami. Wiedza, technika, talent, myślenie, umiejętność posługiwania się propagandą, zdolności organizacyjne — to wszystko świadomie podporządkowane moralności jaskiniowca — oto faszyzm.

*

Dzień, w którym po raz pierwszy zobaczyłam ów las, gdzie matka-Francuzka szukała dziś prochów swej bohaterskiej córki Danielle Casanova, był słoneczny i ciepły, jak bywają u nas dni złotej jesieni. Brak więziennych murów i sufitów, brak zaryglowanych drzwi, brak ustawicznego lęku przed ponownym przesłuchaniem w gestapo, pozorna swoboda poruszania się po dość dużym terenie obozu, możność oddychania powietrzem i spoglądania w przestrzeń, możność wychodzenia do pracy w pole i wdychania zapachu ziemi, dawno zaoranej naszej swojskiej roli, której czarne skiby leżały tu odłogiem — to wszystko wprowadzało w błąd. Gdy zaszumiał las koronami nielicznych sosen, oddychało się z ulgą; lepszy wydał się hitlerowski obóz koncentracyjny od hitlerowskiego więzienia. Doglądający nas majster — Ślązak był ludzki, a esesman znudzony. Kazano nam dźwignąć stemple i ubijać, miejsce przy miejscu, budowaną właśnie przez nasze towarzyszki drogę. Pod okiem fachowca powstawał mocny trakt posuwający się krok za krokiem w głąb lasu — powoli znikały kępy mchu, krzaki borówek i jagód. Dokąd wiodła droga? — nikt nie wiedział. Około południa zawarczał gdzieś za sosnami motor ciężarówki, potem doleciał do nas krzyk licznych kobiecych głosów — stłumiony, długotrwały, lecz niknący szybko — brzmiało to tak, jakby krzyczały przeraźliwie dzieci jadące na majówkę, bo auto zbyt gwałtownie zarzuciło na ostrym wirażu. Kiedy powtórzyło się to znowu i potem po raz trzeci, pracujące podnosiły głowy wpatrując się w las; ale za sylwetami krzewów, pomiędzy rdzawymi pniami sosen rozjaśnionych przez plamy słońca, nie było nic widać prócz samotnego domku pobielonego wapnem.

Po przerwie obiadowej zjawili się w głębi lasu mężczyźni; jeszcze smak obozowej brukwi nie zniknął z naszych ust, gdy nad krzakami zawiał ciążącą ku ziemi chmurą dym; szedł prosto na nas, choć wiatru jakby nie było, dotykał nas, ogarniał, przeraził; do śmierci nie zapomnę tego dymu, taki był jego odór. Poszukałam oczyma sylwetek mężczyzn i już po chwili widziałam, powtarzam: w i d z i a ł a m, jak podnosili oni nad głowami nagie zwłoki ludzkie, rzucając je z wysoka w dół zionący płomieniami.

Czy mam coś jeszcze powiedzieć o tym? Że długimi kijami przegrzebywali paliwo? Że wydawali się czarni wśród ognia i dymu? Że były to wczesne próby zabijania ludzi gazem — cyklonem? Że biały domek spełniał rolę pierwszej komory gazowej? Że droga w lesie prowadziła do zaprojektowanych i później zbudowanych krematoriów?

Tak, to wszystko można powiedzieć, napełniając życiem i śmiercią las obok obozu. Tego wszystkiego już nie ma. Jest pustka i cisza. Lecz niech nikt nie usiłuje mi wmówić, że ponieważ nie ma tam nic — niczego nie można udowodnić, niczego przekazać ogółowi, ludzkości, w końcu niewiernym Tommom zza oceanu.

Można udowodnić. Prawda jest przejrzysta, jak ta garść oświęcimskiej ziemi na dłoni.

*

Rudi Gebel jest naszym obozowym kolegą z Oświęcimia; w Zachodnich Niemczech ma on żonę i sześcioro dzieci; od dwóch lat jest bezrobotnym; pamiętają go dobrze więźniowie, Premier Cyrankiewicz dał piękny wyraz swoim serdecznym uczuciom przyjaźni dla Rudiego podczas Międzynarodowego Zjazdu b. więźniów Oświęcimia.

Tam, gdzie więzień bił więźnia, bo na to pozwalało prawo rasistów i prawo koncentracyjnych obozów, Rudolf Gebel był dobrym kolegą, był bratem swoich towarzyszy. Teraz uśmiecha się do tych wszystkich, którzy pragną mu przypomnieć o sobie i uścisnąć jego dłoń. Ba! Próba charakteru w koncentracyjnym obozie, to próba nie lada! Toteż uściski dłoni mają szczególną siłę i wymowę.

Tymczasem w Niemczech Zachodnich przewidziano już dla Rudiego nowe zajęcie; chwilowo jeszcze jest on niepotrzebny, lecz oswobodzeni przez humanitarnych Anglosasów hitlerowcy przygotowują nowy Wehrmacht i chętnie dadzą naszemu obozowemu koledze karabin do ręki, żeby maszerował na wschód, chętnie dadzą mu rozkaz, żeby mierzył w serce swoich oświęcimskich towarzyszy, na których w latach niedoli nie podniósł ręki, chętnie uczynią zeń podpalacza naszej pracy, burzyciela naszych domów. Ale tu zaczyna się trudność. Bo Rudi Gebel przyjechał na Międzynarodowy Zjazd b. więźniów Oświęcimia, by na polach, gdzie stały cztery krematoria, odszukać popioły zamordowanych współbraci, by pochyliwszy się nad prochami powtórzyć raz jeszcze, wspólnie, pełnym głosem, przysięgę, która jest wyryta w sercu każdego z nas: NIGDY WIĘCEJ OŚWIĘCIMIA! JAMAIS! NIEMAND!

*

W kopalni Brzeszcze pod Oświęcimiem nastąpiło spotkanie górników z b. więźniami. Miejscowe dzieci przyniosły kwiaty i białego gołębia wykonanego wedle obrazu Picassa.

Francuz, Holender, Włoch, Niemiec mówili serdecznymi słowami do tych, z którymi w latach obozu wspólnie kuli węgiel w kopalni Brzeszcze, dorabiając się przy tym wspólnego światopoglądu.

Niejeden raz robotnicy Górnego Śląska narażali spokój, a nawet życie swoje i swoich rodzin udzielając pomocy więźniom Oświęcimia. Niejedna kromka chleba przedostała się do obozu, niejeden list nielegalny wyszedł z obozu na świat dzięki rękom śląskich robotników, śląskiej ludności. Był to nie tylko naturalny odruch serca, był to nade wszystko bunt przeciwko faszyzmowi. Wielka część tej pomocy szła na marne, faszyzm niszczył ludzi wspomaganych tak jak i niewspomaganych. Lecz oto patrzcie: uratowała się garstka. Zajechał autokar przed świetlicę kopalni, wysiedli ludzie z numerami wytatuowanymi na rękach. Zagrała orkiestra górników, roześmiały się ich oczy patrzące ku naszym roześmianym oczom.

Pomoc więźniom Oświęcimia — to był ich wkład w ruch oporu, to było ich zwycięstwo nad faszyzmem odniesione jeszcze wtedy, gdy but hitlerowski panował nad Europą.

*

Nedo Fiano z Florencji był w Birkenau muzułmanem i jak każdy muzułman mógł się spodziewać ostatniej drogi więźnia, drogi do krematorium. Jak wielu muzułmanów utracił poczucie rzeczywistości przejawiające się ustawiczną czujnością i strachem. Kiedyś, gdy mgły otaczające położony pośród mokradeł Oświęcim rozwiały się i opadły, gdy słońce zabłysło na czystym lazurze, wychudły muzułman odłożył kilof, podniósł głowę i zaśpiewał. Może byłaby to jego pieśń ostatnia, gdyby doglądający więźnów esesman nie okazał się człowiekiem aż tak bardzo muzykalnym. Jak wiadomo, zabijanie ludzi gazem i opracowywanie na podstawie praktyki coraz bardziej usprawnionych metod masowego palenia zwłok w niczym nie zmniejsza poczucia piękna i poszanowania dla własnych upodobań kulturalnych. (Tak zresztą, jak dziś mordowanie dzieci koreańskich nie psuje dobrego mniemania o sobie morderców). Urok śpiewu młodego Włocha został oceniony, muzułmana przebrano w czystą odzież i przydzielono do obozowej orkiestry w Birkenau. Dzięki temu ocalał. Musiał odtąd śpiewać swoim tęsknym głosem najpiękniejsze pieśni świata; gdy słońce zachodziło nad obozem i kuśtykające na pokaleczonych nogach kościotrupy ludzkie do końca walczące o jeszcze jeden dzień życia, o iskrę nadziei, o utrzymanie sił, powracały z pola, w bramie witała je skocznymi melodiami orkiestra, w której śpiewał Nedo Fiano.

Podczas trwania Międzynarodowego Zjazdu padał w Warszawie śnieg, nadający miastu wygląd starej akwareli malowanej niebieskim kolorem, w której tylko wieczorne światła w oknach i na ulicach mają ciepłą, różową barwę. Lwy przed Radą Ministrów zostały całkiem zasypane, na ich łbach i ogonach potworzyły się wysokie kożuchy; drzewa stały się biało-czarnymi sylwetami; kolumna Zygmunta była podobna do tej wielokroć odtwarzanej przez malarzy i miniaturzystów dawnej kolumny, wokół której przechodziły wieki poprzednie; każdy szczegół architektoniczny Krakowskiego Przedmieścia został uwypuklony, każda z opływowych linii Trasy W — Z wystąpiła teraz jakby nakreślona białym tuszem na szarej planszy Warszawy przez architekta lubującego się w pięknie urbanistycznych kreśleń Nedo Fiano wsparł się łokciem o balustradę nad trasą W —Z i zaśpiewał jedną z najpopularniejszych w Birkenau piosenek. Ile treści własnej musiało się wówczas przywiązywać do tych słów prostych, do tej melodii, skoro z siłą potężną narzuciła ona teraz wyobraźni rzeczy minione. Wstrząs, jakiego doznałam, oglądając siedem lat wstecz zburzoną Warszawę, gdzie przez wypalone w zgliszczach okna prześwitywały dalsze ulice-gruzy, ulice-upiory, gdzie kolumna Zygmunta leżała strzaskana w formie kilku złomów granitu, a w powietrzu ciągle zdawał się trwać jęk ziemi, od chwili gdy padł granitowy monolit — wstrząs ten dałoby się tylko porównać z innym, którego doznałam w Oświęcimiu.

Był wieczór tak samo zimowy i sypał śnieg owymi wielkimi płatkami, które tak się podobają dzieciom i poetom. Idąc w ciemności pomiędzy podobnymi do siebie barakami Birkenau zgubiłam drogę. Tu było tak samo, jak dokoła mojego bloku, lecz nie ulegało wątpliwości, że jest to inny blok. Stanęłam. Wstrzymałam oddech. Cóż to było wtedy? Cmentarz, z którego wyjścia nie widać? Nie wiem. Wystarczyła niewymierna chwila zamyślenia, żeby ominąć miejsce tak ważne, jak w ł a s n y b l o k. Rozejrzałam się. Od strony drutów dochodziło nieco światła z owych lamp mających rozjaśniać wąski skrawek ziemi dla obserwujących strażników. (Oświetlenie to wydawało mi się niesamowite, lecz nie umiałam nigdy znaleźć jakiegoś określenia dla nazwania go; dopiero później użyty przez Andrzejewskiego w „Nocy" wyraz *atelier* wydał mi się tak niezwykle trafny, jak żaden inny; bo to istotnie było wielkie atelier; i w swoim wyglądzie, i w swoim rzeczowym sensie). Oswojony z ciemnością wzrok rozróżnił poprzez chmurę sypiącego śniegu niewyraźny kształt na ziemi. To, co ujrzałam, wstrząsnęło mną nie mniej, niż później widok strzaskanej kolumny Zygmunta: u moich nóg leżało w bezładnym stosie kilkanaście martwych kobiet. Odwróciłam się i chciałam co prędzej odejść, lecz zrozumiałam rychło, że powinnam zostać jeszcze chwilę. Nie ma co tchórzyć wobec rzeczywistości, dziś tobie, jutro mnie śnieg może zasypywać wielkimi płatkami nicdomknięte oczy, zgaśnie lampka oliwna myślenia, skończy się wszystko. Lecz dopóki myślenie żyje, trzeba myśleć. Zostałam. Obejrzałam zwłoki. Policzyłam. Było ich szesnaście. Starałam się zrozumieć, dlaczego zmarły te kobiety: kto z wycieńczenia, kto od wodnej puchliny, kto od pobicia. Zaciśnięte w ostatnim kurczu konania dłonie wyrażały myśl, którą należało zrozumieć i przekazać żywym. Czy wtedy złożyłam przysięgę milionom zamordowanych przez faszyzm ludzkich istnień? Już nie wiem, czy wtedy. Ale złożyłam.

*

Na stole przewodniczącego Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze postawiono lampę, której abażur wykonany był ze skóry człowieka. Wydawało mi się, że w blasku tej lampy wyniesionej na międzynarodowe forum, zostaną zdemaskowane liczne sprawy, które były zamknięte jako tajemnica kręgiem naelektryzowanych drutów, podwójną postenkettą, trzydziestokilometrowym pasem bezludzia otaczającym obozy koncentracyjne i wreszcie pieczęcią milczenia, zamykającą usta zmarłych. Ta lampa zdzierała pieczęć milczenia, teraz oto wobec międzynarodowej sprawiedliwości dochodził do głosu człowiek zamordowany po to, żeby dla Ilzy Koch było z czego wykonać abażur.

Pewnego dnia zabrało go gestapo. Wyszedł z domu, zostawiając żonę i dzieci, dla których teraz rozpoczęło się długotrwałe czekanie; każdy odgłos kroków na ulicy, każde skrzypnięcie furtki u drzwi przyspieszały bicie ich serc, budziły nadzieję: może wraca?

Ten człowiek nie wrócił nigdy. Jest wiele rodzin w Polsce, jest wiele rodzin w Europie, do których nigdy nie wrócił człowiek zabrany przez gestapo.

Lecz my żyjemy, którzyśmy we wspólnych szeregach szli razem, z nim, żyjemy po to, żeby zagrodzić drogę podpalaczom świata, żeby chwytać ich za ręce i nie dopuszczać zbrodni.

Lampa ze skóry człowieka stojąca na stole przewodniczącego Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze wywołała uśmiech zakłopotania na twarzach prawników reprezentujących t. zw. Zachód. „Czyż możemy — mówili — odpłacić hitlerowcom równą miarą? To nie taka prosta sprawa. Do czego byśmy doszli?!".

Sprawa jest prostsza, niżby się zdawało. Nikt z nas obrońców pokoju nie pragnie zemsty, nikt nie chce zbrodni za zbrodnie, nikt nie oczekuje budowania komór gazowych w odwecie za hitlerowskie komory gazowe, nikt nie zamawia kilku drobiazgów galanteryjnych wykonanych ze skóry Guderiana

(Dokończenie na str. 10-ej)

STANISŁAW ZIEMBICKI

WIERSZ DO ŻONY

Drżeć radośnie z zachwytu, czułości,
wzruszenia...
Aleksander Puszkin.

Jakże opowiem dzisiaj tobie
W sennej jak miód lipcowy mowie,
Tak bez spotkania ust i rąk:
Czułość i bliskość, i serdeczność,
I ciszę serca tak bezpieczną,
Że słychać nawet myśl i wzrok?

Jakże do wiersza mam zaprosić
Piękno, co kształtem jest miłości
I ludzkiej twarzy dać mu kształt,
By widać było każde drgnienie:
Zachwyt i czułość i wzruszenie,
Zamiar uśmiechu, troski ślad?

Jak wypowiedzieć każde słowo,
By oczu stało się rozmową,
Schyleniem głowy, ruchem brwi,
Było mądrością i prostotą
I struną zanurzoną w potok
Na skałach oczyszczonych dni?

Jak dobyć ciszę z wnętrza śniegu
Przez burze dwudziestego wieku
I niedotkniętą tobie nieść,
Kiedy już nie ma takiej chwili,
Byśmy swych oczu nie zwrócili
Na gniewu błysk, na krzyk i pieśń?

Jakże zatrzymać, zabezpieczyć
Ten spokój wykonanych rzeczy,
Żeby zagościł pośród nas,
Kiedy go chętnie sama zrywa
Ręka szczęśliwa i troskliwa
Wciąż szukająca bujnych prac?

Jakże pozostać tylko z tobą,
Na jedną strofę skowronkową,
Małą jak twoja ciepła skroń,
Kiedy przez cztery strony świata
Obecność matki, siostry, brata
Sięga po myśli i po dłoń?

Jakże, bogaci nieskończenie
W zachwyt i czułość i wzruszenie,
Pozostaniemy sam na sam,
Kiedyśmy tak już pokochali
Wiek co od pustki nas ocalił
I wszystkie ręce podał nam?

Jakże napisać ci to wszystko
Na wierszu, na pierwiosnka listku,
Którego nie dotykał nikt?
Wierz mi, że łatwiej jest do ciebie
Przez pierwsze krople deszczu przebiec
I nie potrącić żadnej z nich...

JAN GURANOWSKI

DOKUMENTY NASZEGO CZASU

Wdziesiątą rocznicę powstania Polskiej Partii Robotniczej" — pod tym tytułem ukazał się wydany nakładem „Książki i Wiedzy" zbiór materiałów i dokumentów w opracowaniu Wydziału Historii Partii KC PZPR*). Na zbiór składają się wypowiedzi towarzysza Stalina w sprawie polskiej, obszerne fragmenty z referatu towarzysza Bieruta wygłoszonego na Kongresie Zjednoczeniowym, uchwały KC PPR, okólniki, odezwy i ulotki, wreszcie artykuły i komunikaty z prasy PPR, Gwardii i Armii Ludowej. Opublikowane w porządku chronologicznym od pierwszej odezwy PPR ze stycznia 1942 r. do rezolucji II Zjazdu Partii w przeddzień zjednoczenia ruchu robotniczego w grudniu 1948 r. ukazują one zwycięską drogę partii, która pod kierownictwem niezłomnych bojowników - komunistów z towarzyszem Marianem Nowotką, Pawłem Finderem i Bolesławem Bierutem na czele, jako **„czołowy oddział proletariatu polskiego, spadkobierczyni najpiękniejszych patriotycznych i rewolucyjnych tradycji naszego narodu, kontynuatorka bohaterskiej Komunistycznej Partii Polski... w ciemną noc niewoli hitlerowskiej pod sztandarem marksizmu - leninizmu podjęła walkę na śmierć i życie o zrzucenie faszystowskiego jarzma, walkę o wolność i niepodległość naszej ojczyzny, o władzę ludu polskiego"**).

✻

„Powstanie Polskiej Partii Robotniczej — czytamy w uchwale KC PPR z lutego 1943 r. — **było koniecznością dziejową... Klasa robotnicza i masy pracujące musiały mieć swoją prawdziwie robotniczą partię, która by organizowała i prowadziła je do walki z okupantem hitlerowskim"**, partię, która — jak głosi pierwsza odezwa PPR — **„zawsze i wszędzie broni interesów mas pracujących, walczy o ich ostateczne wyzwolenie spod jarzma kapitalizmu"**, która... **„związana tysiącami nici z życiem, losami i przyszłością swojego narodu... w całej swej działalności kieruje się dobrem narodu polskiego"**.

Od pierwszej chwili swego istnienia Polska Partia Robotnicza łączy w swoim programie sprawę wyzwolenia narodowego z hasłami wyzwolenia społecznego. Już w pierwszej odezwie Partii ze stycznia 1942 r. znajdujemy sformułowane w ogólnych zarysach wytyczne, które będzie ona konsekwentnie realizować w swej dalszej działalności. Partia wysuwa hasło frontu narodowego do walki o wolną, niepodległą Polskę, o zgrupowanie wokół klasy robotniczej w walce z hitlerowskim okupantem wszystkich zdrowych i patriotycznych sił narodu.

Kierownicza rola klasy robotniczej w tym froncie określa klasowy charakter walki. Ze szczególną siłą wbrew ówczesnym i późniejszym inspiracjom grupy nacjonalistycznych oportunistów Partia formułuje i realizuje hasło **„frontu narodowego bez zdrajców i kapitulantów, w którego pierwszych szeregach walczyć będzie zespolona i zwarta klasa robotnicza"**. Wzywając w szeregi tego frontu wszystkich, komu droga jest sprawa niepodległości i wolności narodu polskiego, wszystkich, którzy stają do walki z hitlerowskim okupantem, Partia wskazuje jednocześnie formę tej walki — ma nią być masowy udział w ruchu partyzanckim, sabotaż, dywersja na tyłach armii hitlerowskiej, przygotowanie do ogólnonarodowego powstania.

Powołana do życia z inicjatywy Partii również w styczniu 1942 r. Gwardia Ludowa, skupiająca w swych kadrach kierowniczych zahartowanych w walce działaczy komunistycznych z tow. Witoldem Jóźwiakiem, szefem sztabu GL na czele, wciela w życie rzucone przez Partię hasło „Dziś, a nie jutro trzeba atakować wroga", podejmuje sztandar walki zbrojnej z okupantem, występując jednocześnie przeciw oszukańczej teorii „stania z bronią u nogi", głoszonej przez zdradziecką delegaturę londyńską. Opublikowane w dokumentach rozkazy i komunikaty dowództwa GL pozwalają śledzić narastanie tej walki od chwili wymarszu pierwszych oddziałów GL poprzez akcje odwetowe w odpowiedzi na bestialstwa okupanta, poprzez konfiskatę zrabowanych ludności środków żywnościowych, niszczenie urządzeń gospodarczych, akcje nękające i sabotaż — do wielkich bitew wyniszczających żywą siłę wroga. Gwardia Ludowa staje na czele żywiołowego ruchu samoobrony, jaki ogarnął chłopów Zamojszczyzny wobec masowych wysiedleń i eksterminacji rozpoczętych latem 1942 r.

Bohaterstwo Gwardzistów zdobywało dla sprawy walki czynnej z okupantem licznych zwolenników. Rosły oddziały GL i krzepły organizacyjnie. **„Przy całkowitym wstrzymaniu się od akcji innych organizacji wojskowych** — pisze organ GL „Gwardzista" w styczniu 1943 r. — **wśród krakania różnych polityków o szkodliwości czynnej postawy wobec wroga, walki z okupantem... nam przypadł zaszczyt zmazania czynem orężnym zbrodni szubienic w Warszawie, Radomiu i Krakowie... hitlerowscy kaci przekonali się po raz pierwszy, że czas bezkarnego mordowania i rabunku narodu polskiego minął bezpowrotnie..."**

✻

W szeregu odezw, ulotek i artykułów Polska Partia Robotnicza demaskuje kłamstwa oszczerczej propagandy antyradzieckiej, piętnuje zdradziecką politykę Sikorskiego i Andersa, ukazuje zbrodniczość „stania z bronią u nogi", polityki „przetrwania i wytrwania", zalecanej przez podporządkowaną anglo - amerykańskim imperialistom delegaturę „rządu" londyńskiego.

Partia wychowuje klasę robotniczą w duchu miłości do Ojczyzny Socjalizmu wskazując na wspólne tradycje rewolucyjne narodów rosyjskiego i polskiego, i wspólną przyszłość: braterski sojusz i współpracę narodów wyzwolonych spod jarzma kapitalistycznego.

W specjalnej odezwie, poświęconej 25 rocznicy Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej, podpisanej przez Komitet Warszawski PPR, czytamy m. in.:

„Narody radzieckie walczą nie tylko w obronie własnego kraju. Potworny moloch hitleryzmu pożera narody Europy. Związek Radziecki walczy o ocalenie świata od zagłady, o wolność wszystkich narodów.

..bojowe przymierze narodu polskiego i narodów radzieckich ma wspólną chlubną przeszłość. Ma ono również wspólne wspaniałe cele — pokonanie wspólnego wroga, osiągnięcie niepodległości, dobrobytu i kultury, zniesienie wraz z przeklętym ustrojem kapitalistycznym raz na zawsze przekleństwa wojny, ustalenie braterskiej współpracy wolnych, równych i szczęśliwych narodów.

✻

Przełom stalingradzki, ofensywa Armii Czerwonej stanowiła również punkt zwrotny w historii walki narodu polskiego przeciw hitlerowskim okupantom. Walka wkracza w okres decydujący.

Partia znajduje sobie coraz większy posłuch w masach. Wypadki potwierdzają słuszność jej linii politycznej, prawidłowość jej oceny perspektyw wyzwolenia Polski. Na porządku dziennym staje sprawa ustroju politycznego przyszłej wyzwolonej Polski. W uchwałach ze stycznia 1943 r. KC PPR oświadcza:

„Klasa robotnicza nie pozwoli, by reakcja podobnie jak w roku 1918 zebrała owoce z krwi i ofiar ludu.. ...Masy pracujące zdecydowane są nie dopuścić do powrotu dawnych sanacyjnych form ustrojowych, kiedy Polska była folwarkiem obszarników i bankierów rodzimych i zagranicznych.... Klasa robotnicza i jej sojusznicy, świadomi swej siły i misji historycznej, zdecydowani są wyciągnąć naukę z przeszłości i walczyć o prawdziwie wolną i niepodległą ojczyznę bez obszarników i bez wyzysku człowieka przez człowieka".

W marcu 1943 r ukazuje się deklaracja KC PPR, zawierająca program minimum Partii na najbliższy okres po wyzwoleniu. W pół roku później w listopadzie, program ten w znacznie szerszym zakresie zostanie wyłożony wraz z obszernym uzasadnieniem politycznym w opublikowanej w całości w dokumentach Deklaracji Programowej PPR. Głoszone przez Partię zasady staną się w krótkim czasie programem działania całego obozu demokracji polskiej.

W tym właśnie okresie reakcja polska, zaniepokojona zwycięskim pochodem Armii Czerwonej, ogromnym wzrostem autorytetu Partii oraz sukcesami kierowanego przez Partię frontu walki z okupantem i umasowieniem ruchu partyzanckiego w szeregach Gwardii Ludowej, aktywizuje swą zbrodniczą działalność. Prowokacja hitlerowska w Katyniu staje się okazją dla rozpętania oszczerczej kampanii antyradzieckiej, w której oficjalne organy prasowe rządu Sikorskiego i jego krajowej delegatury wystąpują solidarnie z organami propagandy okupanta.

Partia piętnując nikczemną prowokację tak pisała o polskich pomocnikach Goebbelsa:

„Każdy zrozumiał, że sprawcami tak powtwornego morderstwa mogą być tylko ci sami, którzy od początku swego panowania posługiwali się i posługują metodą masowych morderstw...

...tym niemniej emigracyjny rząd gen. Sikorskiego i min. obr. nar. tegoż rządu gen. Kukiel ogłosili enuncjacje, dopuszczające wiarogodność goebbelsowskich kłamstw i oszczerstw... Nic też dziwnego, że szmatławce hitlerowskie na czołowych miejscach drukują enuncjacje tych dobrowolnych pomocników Goebbelsa...

..Naród polski z najwyższym oburzeniem piętnuje i potępia pomocników Goebbelsa, tych w kraju, jak również tych z Londynu, którzy spieszą na odsiecz chyłącemu się do upadku reżymowi hitlerowskiemu".

Reakcja polska nie ograniczała się do oszczerczej kampanii propagandowej. Nie wystarczała jej rola pomocnika Goebbelsa w szkalowaniu polskiego ruchu niepodległościowego i w obrzucaniu błotem wielkiego Kraju Rad i jego bohaterskiej armii - wyzwolicielki. W swej nienawiści do ludu polskiego posunęła się reakcja polska do współdziałania z okupantem mordując rękami organizowanych przez siebie band faszystowskich i denuncjując do gestapo najlepszych synów narodu polskiego.

Zbrodnia pod Borowem, podstępne wymordowanie 26 oficerów i żołnierzy GL przez reakcyjny oddział AK, stała się początkiem dla dalszych morderstw i denuncjacji. Partia — nie dysponując jeszcze wówczas tym materiałem, jaki ujawniły procesy wyrzutków reakcyjnych przed sądami Polski Ludowej — zdawała sobie niemniej sprawę z zachodzącego procesu zrastania się reakcyjnego, podporządkowanego Londynowi, niepodległościowego „podziemia" z gestapo. W oświadczeniu PPR w sprawie mordów bratobójczych i rozpalania wojny domowej KC Partii stwierdzał:

...„Zgraja opłacanych lub dobrowolnych agentów gestapo grasuje na terenach toczących się walk z okupantem, siejąc hasła mordów bratobójczych, organizując bandy morderców..

...Grunt ideologiczny dla tej plugawej akcji kainowej przygotowują niektóre grupy i pisma podziemne usiłujące odwracać uwagę społeczeństwa od walki z okupacją hitlerowską... Te tendencje... nie są obce tej części prasy, która występuje jako reprezentantka opinii delegatury rządu londyńskiego".

Partia demaskując przed narodem sanacyjno-czonowych i faszystowskich oprawców, tych „żandarmów i szpiclów Hitlera w walce z narodem polskim", nie dała się jednocześnie sprowadzić na zgubne dla walki wyzwoleńczej tory wojny domowej. Nawołując do jeszcze silniejszego skupienia wszystkich sił patriotycznych wokół klasy robotniczej i jej Partii Polska Partia Robotnicza stwierdza, że **„jedyną wojną, którą podjęła i którą prowadzić będzie wraz z całym narodem, jest wojna z okupantem hitlerowskim o wyzwolenie Polski".**

Zbliżanie się Armii Czerwonej w kierunku granic Polski i stworzonej wiosną i latem 1943 r. na ziemi radzieckiej z inicjatywy komunistów polskich, armii polskiej, wysuwa na czoło zagadnienie walki o władzę polityczną w kraju.

✻

Powstanie Krajowej Rady Narodowej było zwycięstwem myśli politycznej PPR, otwierało ono nowy etap walki o władzę, o narodowe i społeczne wyzwolenie polskich mas ludowych. Było ono rezultatem słusznej polityki Partii, która pod kierownictwem tow. Bieruta wykuwała w toku walki wyzwoleńczej słuszną koncepcję frontu narodowego pod kierownictwem klasy robotniczej, frontu, którego podstawą był bojowy sojusz robotników, chłopów i inteligencji pracującej.

Tej właśnie, słusznej marksistowsko - leninowskiej koncepcji frontu narodowego musiał bronić w okresie tworzenia się Krajowej Rady Narodowej trzon kierowniczy Partii w walce z kapitulancką i oportunistyczną koncepcją prawicowej grupy Gomułki, która oznaczała w konsekwencji — jak mówił tow. Bierut — wycofanie się z pozycji uznania kierowniczej roli klasy robotniczej w walce o władzę państwową.

Grupa Gomułki, jak przypomina tow. Bierut w swoim referacie na Plenum sierpniowym — stawiała na grupy polityczne, będące oparciem obozu reakcyjnego, na prawicę SL z Mikołajczykiem na czele, na dywersyjny CKL powołany przez reakcję celem rozbicia KRN.

W momencie walki o władzę państwową grupa Gomułki szermuje hasłem „szerokiego frontu narodowego" podkreślając, że nie ma zamiaru „eliminować z tego frontu jakiegokolwiek ugrupowania".

„Nie można tego określić inaczej — mówi tow. Bierut w cytowanym referacie — **jak jako oportunistyczne wyrzeczenie się hasła walki o władzę ludu pracującego pod hegemonią klasy robotniczej, jako próbę ucieczki w momencie decydującym z frontu walki, który mobilizowała i któremu przewodziła nasza partia..."**

Tendencje kapitulanckie nie znalazły poparcia w Partii. Próba zniekształcenia koncepcji KRN przez zblokowanie się z dywersyjnym CKL-m spotkała się ze zdecydowanym oporem ze strony kierownictwa Partii, jak o tym świadczy m. in. opublikowany w dokumentach list KC PPR do KC RPPS z lutego 1944 r. W liście tym czytamy m in.:

...„PPR nie widzi potrzeby tworzenia nowej reprezentacji politycznej poza ramami KRN...

...KRN pomyślana została przez jej organizatorów, jako szeroka demokratyczna reprezentacja narodu. Świadczy o tym statut KRN. W ramach KRN całkowicie pomieścić się mogą wszystkie pojedyncze lub zrzeszone ugrupowania polityczne".

Na pierwszym historycznym posiedzeniu KRN w dniu 1 stycznia 1944 r. jej przewodniczący, Bolesław Bierut, podsumowuje wielkie zwycięstwo linii politycznej Partii:

„Program... (PPR) okazał się słuszny. Znalazł on zrozumienie i poparcie wśród mas ludowych i toruje sobie coraz szerzej drogę wśród wszystkich grup postępowych obozu demokratycznego".

W platformie politycznej KRN nakreślonej jeszcze przed jej powstaniem, w manifeście demokratycznych organizacji społeczno-politycznych i wojskowych z grudnia 1943, uwidocznił się zwycięstwo tych haseł, jakie głosiła PPR od chwili swego powstania. Był to program wyzwolenia narodowego i budowy Polski Ludowej w oparciu o sojusz i braterską przyjaźń ze Związkiem Radzieckiem. Zasady głoszone przez Polską Partię Robotniczą stały się wytyczną działania dla całego obozu demokracji.

✻

W ostatniej części zbioru opublikowane zostały dokumenty i materiały dotyczące działalności Partii po wyzwoleniu kraju przez Armię Czerwoną. Redakcja zbioru, biorąc pod uwagę fakt, iż materiały z tego okresu były wielokrotnie publikowane w prasie i wydawnictwach książkowych, uwzględniła je w mniejszym zakresie niż publikacje z okresu okupacji, z których wiele ukazuje się w odrodzonej Polsce po raz pierwszy. Niemniej zamieszczone tu zostały dokumenty mówiące o wszystkich najważniejszych wydarzeniach okresu po wyzwoleniu, o wielkich osiągnięciach Partii, w warunkach władzy ludowej.

Wielkie reformy społeczne, nacjonalizacja wielkiego i średniego przemysłu, banków i transportu oraz reforma rolna, zasiedlenie Ziem Zachodnich, odbudowa zniszczonego kraju w ramach wykonanego zwycięsko planu trzyletniego — wszystkie te osiągnięcia dokonane zostały z inicjatywy, pod kierownictwem i przy najaktywniejszym udziale Partii.

Równolegle dokonuje się głęboki proces cementowania bloku demokratycznego w oparciu o jednolity front klasy robotniczej, którego PPR była niestrudzoną i konsekwentną orędowniczką. W walce z reakcyjnym podziemiem i jego legalnym przedłużeniem, mikołajczykowskim PSL, w zwycięskiej kampanii referendum i wyborów, w toku których zostaje rozgromiony zblokowany front reakcji, dążący do przywrócenia, w oparciu o anglosaskich imperialistów, stosunków przedwrześniowych, krzepnie umacnia się i wzrasta liczebnie PPR, skupiając w swych szeregach wielotysięczną kadrę najbardziej świadomych i aktywnych budowniczych Polski Ludowej — robotników, chłopów pracujących i inteligentów.

Sojusz polsko - radziecki, braterska przyjaźń narodów ZSRR i Polski stały również w tym okresie u podstaw politycznych i gospodarczych sekcesów obozu demokratycznego.

Nieugiętej postawie ZSRR na Konferencji Poczdamskiej zawdzięcza Ludowa Polska swą granicę na Odrze i Nysie. Daje jej wyraz Wielki Przyjaciel Narodu Polskiego, Józef Stalin, w cytowanej w dokumentach odpowiedzi na prowokacyjne przemówienie Churchilla w Fulton:

„Jeśli chodzi o wypad pana Churchilla... w związku z rozszerzeniem zachodnich granic Polski kosztem zagarniętych w przeszłości przez Niemców polskich obszarów, to wydaje mi się, że w tym wypadku Churchill wyraźnie rzuca fałszywe karty.. Związek Radziecki niejednokrotnie oświadczył, że uważa żądania Polski za słuszne i sprawiedliwe...".

Szereg dokumentów przypomina ogrom tej braterskiej i bezinteresownej pomocy, okazanej Polsce Ludowej przez wielki Kraj Rad w najtrudniejszym okresie dla naszej odbudowującej się gospodarki.

Pisząc o tej pomocy w trzecią rocznicę zawarcia układu o przyjaźni, wzajemnej pomocy i współpracy między ZSRR i Polską Prezydent R. P. Bolesław Bierut podkreśla:

„Czyż moglibyśmy uniknąć głodu, niezwykłych przeszkód w dostawach dla naszego przemysłu i rolnictwa, transportu w pierwszych latach powojennych — gdyby nie wspaniałomyślna, ofiarna życzliwość i natychmiastowa pomoc naszego wielkiego sąsiada?

W ciągu trzech lat oczekiwaliśmy daremnie na istotną dla naszej odbudowy pożyczkę ze strony najzamożniejszych sojuszników naszych w czasie wojny. Ale nigdy — nawet w najtrudniejszych dla ZSRR chwilach — nie doznaliśmy zawodu, gdy zwróciliśmy się doń o pomoc".

Polska Partia Robotnicza stojąc na czele narodu w walce o realizację zasadniczych reform demokratycznych w Polsce Ludowej przygotowała przesłanki dla dalszego marszu naprzód — do budownictwa podstaw socjalizmu. Wykuwając jednolity front klasy robotniczej, demaskując i rozgramiając prawicowo - oportunistyczną grupę Gomułki, Partia przygotowała grunt dla zjednoczenia ruchu robotniczego na platformie marksizmu - leninizmu. Tej wielkiej pracy ideologicznej dokonała PPR pod kierownictwem swego sekretarza generalnego tow. Bolesława Bieruta, powołanego na to najwyższe stanowisko partyjne uchwałą KC w końcu sierpnia 1948 r. Referat tow. Bieruta na Plenum Sierpniowym o odchyleniu prawicowym i nacjonalistycznym w kierownictwie Partii, i sposobach jego przezwyciężenia, przytoczony w dokumentach w całości, daje głęboką analizę antypartyjnej działalności grupy Gomułki, jej odstępstwa ideologicznego od zasad marksizmu--leninizmu. Tow. Bierut daje w tym referacie marksistowską ocenę historii ruchu robotniczego, podejmuje zagadnienie klasowej treści frontu narodowego demaskując oportunistyczną, kapitulancką koncepcję tego frontu, lansowaną przez grupę Gomułki już w czasie okupacji. Ujawniając protitowskie stanowisko Gomułki w związku z rezolucją Biura Informacyjnego Partii Komunistycznych i Robotniczych tow. Bierut odsłania istotną przyczynę tego stanowiska, nacjonalistyczną nieufność do ZSRR, niezrozumienie przodującej roli WKP(b) w międzynarodowym froncie walki przeciw imperializmowi.

Rozgromienie odchylenia nacjonalistyczno - prawicowego umożliwiło zjednoczenie ruchu robotniczego na podstawach marksizmu-leninizmu. Odrzucając zdemaskowaną przez tow. Bieruta błędną koncepcję gomułkowszczyzny **„połączenia obu partii bez faktycznego wyeliminowania obcych ideologicznie elementów, tkwiących wśród części starych kadr PPS, powiązanych w niedawnej jeszcze przeszłości z WRN..."** Plenum KC PPR w swojej rezolucji z dnia 3 października 1948 roku podkreśla konieczność **„zwalczania i wrogich wpływów ideologicznych, zaostrzania walki z przesądami nacjonalistycznymi i resztkami oportunizmu w partii, dalszego oczyszczania partii od obcych elementów i oddziaływania w tym kierunku na PPS".**

W ten sposób Polska Partia Robotnicza pod kierownictwem tow. Bieruta przygotowała grunt pod zjednoczenie klasy robotniczej, uchwalone na II Zjeździe Polskiej Partii Robotniczej w dniu 15 grudnia 1948 r.

✻

Rezolucja II Zjazdu PPR jest ostatnim dokumentem historycznym w zbiorze. Tom zamyka Deklaracja Ideowa Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, kontynuatorki wielkiego dzieła PPR w nowym okresie budownictwa podstaw socjalizmu.

Jan Guranowski

*) „W dziesiątą rocznicę powstania Polskiej Partii Robotniczej"; materiały i dokumenty — styczeń 1942 — grudzień 1948 r. „Książka i Wiedza", Warszawa 1952 r., str. 645.

**) Z uchwały Biura Politycznego KC PZPR w sprawie dziesięciolecia Polskiej Partii Robotniczej; styczeń 1952 r.

JAN BESTER

CHWALĘ RADOSNE PRAWO

Ciebie ukochał człowiek, co orał i zasiewał,
dźwigał kominy fabryk, kopał węgiel i rudy.
Ciebie troską otoczył, ciebie w pieśniach wyśpiewał
ziemio moja, ogromne gospodarstwo ludu.
Wiek przewalał się falą jesieni i wiosen.
Obce prawa ciążyły plecom robotnika.
Kowal odkładał młotek. Tkacz wstawał od krosien.
Był czas czerwonych pieśni, strajków i barykad.
Padał, kto wybrał wolność — stu straż zaciągało.
Mamiono ich blaskami, kłamstwem chciano zdobyć,
aż lud przełamał przemoc i ziemio, powstałaś
w nieustającej wiośnie dni Październikowych.
Lud zwala prawodawstwa ery podpalaczy.
Nad ziemią rozpościera flagę sprawiedliwą
i ustanawia prawa pokoju i pracy.
Kto sieje — plony zbiera. I jego jest żniwo.

Chwalę ręce murarza. Chwalę myśl inżyniera
wcielającą się w domów stalowe konstrukcje.
Chwalę dzień pracowity rolnika i montera
i małej uczennicy Chwalę Konstytucję.
W niej przeszłość i współczesność w jedno się zestraja.
Trud minionych pokoleń i nasz czas uparty.
Słowo i wola wszystkich: i moja, i twoja
połączone w ogromnym doświadczeniu Partii.
Ona jest dumą naszą. Ona trud podnosi
montujących dziecinne wózki i wagony.
W niej zrównane dojarek i uczonych głosy.
W niej jest jutro bezpieczne młodych narzeczonych...
Chwalę radosne prawo. Młodość naszą i słońce.
Dzień, co w zorzy odpływa i ten, co się budzi.
Raduj się, ziemio moja — wiosenna i kwitnąca,
robocza republiko, ojczyzno wolnych ludzi.

W. I. LENIN
J. W. STALIN

ROK 1917

Artykuły — Przemówienia — Dokumenty

Str. 704 płót. zł 24.—

W. I. LENIN
J. W. STALIN

O BUDOWNICTWIE PARTYJNYM

Artykuły, przemówienia i dokumenty

Tom I

Str. 912 płót. zł 18.—

„KSIĄŻKA I WIEDZA"

Z OKAZJI 10-LECIA
POLSKIEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Serce narodu — Antologia polskiej poezji rewolucyjnej str. 316 10.—
MORCINEK G. — Urodzaj ludzi. (O walkach AL na Śląsku) str. 195 10.80
MACHEJEK WŁ. — Szkice z bojów, str. 144 7.—
PRZYMANOWSKI J. — W pierwszym szeregu, str. 194 5.—

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

RYSZARD MATUSZEWSKI

DZIEJE LAT WALKI

(O cyklu „Między wojnami" Kazimierza Brandysa)

Czterotomowy cykl Kazimierza Brandysa jest niewątpliwie najszerszym — w skali nie tylko objętościowej, lecz i tematycznej — przedsięwzięciem powieściopisarskim w naszej literaturze powojennej. Zamknięta w nim została próba charakterystyki trzech najbliższych nam okresów historii Polski. W ukazanych postaciach czołowych bohaterów skupiają się jak w soczewce dzieje kilkunastu lat, które dobrze pamiętamy, które wszyscy przeżyliśmy.

Cokolwiek można by powiedzieć o wadach czy usterkach tych książek — zauważył kiedyś jeden z dyskutantów, ukuwających ową — jak mówi Brandys — „recenzję warszawską" o jego utworach — to jednak w końcu ktoś, kto w przyszłości zechce poznać historię tamtego okresu za pośrednictwem literatury — będzie musiał po nie sięgnąć, nie będzie mógł ich pominąć.

Książka Brandysa stanowi pierwszą próbę powiązania w jednym cyklu powieściowym historii lat narastania faszyzmu przed wojną, czasów okupacji i pierwszych dziejowych wydarzeń w Polsce Ludowej. Tytuł dzieła wprowadza w błąd — jeśli Brandys nie chce być puszczykiem. Prawdopodobnie zrodził się z nieco innego, pierwotnego zamysłu autora: nie „Między wojnami", ale raczej „Przed, podczas i po drugiej wojnie światowej".

DROGA ROZWOJU PISARZA

Cała twórczość Brandysa jest — przyjemnie stwierdzić to krytykowi — historią dojrzewania pisarza, widocznego wzrostu jego świadomości ideowej i artystycznej. Po surrealistycznym „Drewnianym koniu" — sięgające w historyczną współczesność „Miasto niepokonane". Po „amorficznym", jak je kiedyś nazwano, nie zawsze słusznym politycznie i obciążonym egzaltowaną retoryką „Miecie" — pierwsza oderwana od autobiografizmu, zwarta konstrukcja powieściowa — „Samson". Trzy pierwsze tomy cyklu Brandysa powstawały szybko jeden po drugim. Można je do pewnego stopnia traktować jako jeden duży i ważny etap rozwojowy pisarza. Odznaczają się wielkimi zaletami pióra. Ugruntowały zdecydowanie poczytność i popularność Brandysa w szerokich kręgach czytelniczych.

Krytyk może tak czy inaczej formułować swoje pretensje do utworów tego pisarza, nie może jednak zaprzeczyć, iż postaci jego bohaterów całkiem są od szablonu i pozostają w naszej pamięci. Akcja powieści toczy się w sposób niezwykle interesujący, a niekiedy nawet wręcz sensacyjny. Ukazana problematyka dotyczy spraw, które najbardziej pasjonowały i pasjonują czytelnika literatury powojennej: spraw najbliższej go obecności dlatego, że dzieje się koło niego, stanowią jakąś cząstkę tego etapu współczesnych nam dziejów, na którego artystyczne odzwierciedlenie w literaturze czekał on ze szczególnym napięciem od pierwszej chwili powstawania nowej, powojennej beletrystyki.

Okres, w którym akcja trzech pierwszych tomów Brandysa bierze początek, znalazła równoczesnych kronikarzy w powieściach Putramenta, Nałkowskiej, Brezy. W ukazaniu lat wojennych triumfowała przede wszystkim nowelistyka. Ale dzieje ludzi nam współczesnych, ukazane w dłuższym historycznym przebiegu i doprowadzone po kres wydarzeń wojennych, a nawet nieco dalej — dał nam Brandys pierwszy. W tym leży niewątpliwa zasługa i pionierstwo jego powieści.

O długo opracowywanym, rozrośniętym w dwójnasób w porównaniu z poprzednimi tomie „Człowiek nie umiera" możemy mimo jego niewątpliwych braków mówić jako o nowym, kolejnym etapie rozwoju twórczego Kazimierza Brandysa, stwierdzić bowiem trzeba, że autor *po pierwsze* — niewątpliwie wychodzi tu obronną ręką z pewnych trudności i nieporozumień ideowych, jakie wkradły się do tomów poprzednich i to w samym często komentarzu autorskim; *po drugie* zdobywa się na zaatakowanie zagadnień, które skłonni jesteśmy uważać za najbardziej dla opisywanego okresu centralne i zasadnicze, zagadnień bezpośredniej walki i budowania podstaw Polski Ludowej; *po trzecie* — rozszerza w związku z tym znacznie krąg ukazanych postaci, wychodzi poza środowisko burżuazji, drobnomieszczaństwa, mieszczańskiej inteligencji i społecznego marginesu, jaki wyraźnie przeważał w tomach poprzednich; w miejsce ukazanych poprzednio pojedynczych i potraktowanych niemal symbolicznie postaci z ruchu robotniczego — ukazuje szeroką galerię przedstawicieli tego ruchu.

PROBLEM TYPOWOŚCI

Jak w związku z tymi osiągnięciami wygląda obraz całości? Czy jest dostatecznie „typowa"? Czy cykl między wojnami daje nam w rezultacie ideowo i artystycznie przekonywający obraz lat, o których opowiada? Pełną odpowiedź na to pytanie dać nam może, rzecz prosta, dopiero szczegółowa analiza cyklu. Nie sama tematyka decyduje przecież o typowości dzieła. Ponieważ jednak w książce Brandysa sam dobór postaci i zagadnień budził — zwłaszcza przy tomach drugim i trzecim — poważne zastrzeżenia krytyki, obwarujmy się, nim przystąpimy do dalszej analizy, przed uroszczeniami tzw. „wszystkoizmu".

Brandys postawił przed sobą zadanie pokazania nam lat narastania faszyzmu, lat wojny i okupacji oraz rodzenia się nowego człowieka po zwycięstwie nad faszyzmem w czterech aspektach:

Po pierwsze: w aspekcie piętnowania narzędzi wychowawczych szkoły pogardy dla człowieka — do jakich należał antysemityzm — w „Samsonie".

Po drugie: w aspekcie deprawacji, do jakiej doprowadza zwichniętą moralnie jednostkę żądza wzbogacenia się i osobistego awansu społecznego w ustroju kapitalistycznym — w „Antygonie".

Po trzecie: w aspekcie deprawacji i klęski, jaką gotuje los słabej i chwiejnej jednostce, broniącej się w imię fałszywej, w duchu burżuazyjnym pojętej „wolności" przed ideowym zaangażowaniem się w walce z faszyzmem — w „Troi — mieście otwartym".

Po czwarte: w aspekcie jedynej słusznej drogi, stojącej przed jednostką w obliczu historii lat przez nas przeżytych, jednostką początkowo ideowo nieokreśloną: drogi współczesnego człowieka — poprzez świadome odrzucenie związków z faszyzmem w imię zasad ludzkiej godności i humanizmu — do świadomego związania z jedynym, właściwym reprezentantem i obrońcą tych idei: ruchem robotniczym i jego ideowym wyrazicielem — partią.

W ten sposób w cyklu pokazane zostały przede wszystkim losy następujących jego głównych bohaterów: inteligenta żydowskiego, który z nieświadomej i przypadkowej ofiary przeradza się w miarę rozwoju wypadków w świadomego bojownika; wykolejeńca-aferzysty, któremu bagno moralne przedwojennych stosunków w Polsce sanacyjnej umożliwia niepozbawioną życiowych sukcesów egzystencję, a okupacja pozwala przetrwać i wynosi na swej brudnej fali; pisarza-estety, unurzanego po uszy w kosmopolitycznej atmosferze życia w Paryżu na koszt ojca aferzysty, bez jakiejkolwiek odpowiedzialności za kształtowanie własnego losu, człowieka wpadającego łatwo i bez oporu w sidła faszystowskich agentur politycznych; wreszcie inteligenta, który walcząc w kraju, w szeregach AK, przeciwstawia się narzucanym sobie rozkazom faszystowskiego kierownika organizacji, bierze czynny udział w pracy nad odbudową życia w wyzwolonej Polsce, przyjmuje świadomą politycznie postawę działacza i członka partii.

Pierwsze części „Samsona", „Antygony" i „Troi" ukazują nam świat przedwojenny w przekroju: Polska (Warszawa, prowincjonalne miasto P., Kaleń) — nasi za granicą (Paryż). Drugie części „Samsona" i „Antygony" — okupację w Polsce. Druga część „Troi" i tom ostatni — świat powojenny: „Troja" — oblicze emigracji i walkę z imperializmem na Zachodzie, „Człowiek nie umiera" — walkę o nowe życie w Polsce.

Perspektywa — jak widzimy — bardzo szeroka i w czasie (okres lat kilkunastu), i w przestrzeni, i w zróżnicowaniu typów i środowisk. Plan wyjątkowo śmiały i bogaty, wyrastający zdecydowanie ponad ograniczoność i szarzyznę większości wątków powieściowych naszej literatury lat ostatnich.

Tu warto by się zastanowić nad tym, jak koncepcja fabularna poszczególnych tomów cyklu służy rozwiązaniu powyższych perspektyw i założeń, jakie autor sobie postawił.

Jedną z podstawowych zalet Brandysa jako powieściopisarza jest umiejętność konstruowania ciekawej fabuły, co oczywiście nie zawsze musi być równoznaczne z najtrafniejszym sposobem ukazania podjętych zagadnień. Wydaje mi się, że spojrzenie pod tym kątem widzenia na dzieło pisarza maluje nam najwyraziściej proces jego rozwoju twórczego.

Na temat prawdopodobieństwa i typowości konfliktu, którego bohaterem staje się Jakub Gold w „Samsonie", wiele już dyskutowano. Niewątpliwie typowym jest tu pewien wycinek sytuacji ogólnej — losy pewnej części żydowskiego drobnomieszczaństwa przed wojną, losy Golda w drugiej części tomu, w latach okupacji. Niewątpliwie zwężonym, realistycznie niepełnym jest tu obraz Polski międzywojennej, nawet gdyby przyjąć, że w samym założeniu autora miał to być obraz cząstkowy, ograniczający się do pewnych klas czy środowisk. Nie ma przy tym zapewne zasadniczego znaczenia problem życiowego prawdopodobieństwa splotu nieszczęśliwych wypadków, jakie przydarzają się głównemu bohaterowi; fakt, że dość typowy w ogólnym swoim rozwoju los żydowskiego inteligenta wiąże Brandys z serią wydarzeń o charakterze raczej wyjątkowym, dla bohatera pechowym. Nie podważa to ogólnej wymowy całości, ale nadaje jej znamiona sprawy o zakresie raczej nowelistycznym, niż powieściowym, epickim.

Dzieje Kasawerego Szarleja w „Antygonie" i Juliana w „Troi — mieście otwartym" pozwalają nam patrzeć na rzeczywistość pod dość specyficznym kątem widzenia, jaki wyznacza podporządkowanie całego toku akcji kolejom losu tych właśnie postaci. Czy daje to w rezultacie prawdziwy, typowy, pełny obraz życia społeczeństwa lub pewnych jego warstw w objętym jego akcją okresie dziejowym?

Rzecz wymaga dłuższego przewodu. Na razie stwierdźmy, że o ile w poszczególnych fragmentach i charakterystykach obraz ów jest na pewno uchwycony prawdziwie i celnie, o tyle stanowczo nie jest pełny. Nie w tym sensie, że nie mówi o wszystkich ważnych dla danego okresu wydarzeniach, że nie daje pełnego obrazu kampanii wrześniowej, powstania warszawskiego, walki AL, że nie prowadzi nas na teren rodzenia się wyzwoleńczej armii polskiej w Związku Radzieckim. Wydaje mi się, że wszelkie tak sformułowane zarzuty byłyby właśnie owym niepoważnym, nieodpowiedzialnym „wszystkoizmem". Mówiąc o typowości utworu powieściowego, o słusznym lub niesłusznym wyborze tematu przez autora, musimy pamiętać, że typowość wcale nie oznacza pisania o wszystkich najważniejszych wypadkach danego czasu. Pamiętać o tym, że „Pan Tadeusz" jest typowym obrazem życia warstwy szlacheckiej w Polsce w pewnej epoce, nie wychodząc poza ramy jednego dworu i zaścianka, a „Dziady" poematem oddającym w sposób typowy nastroje narodowo-wyzwoleńcze swojej epoki, choć dotyczą tylko nikłego epizodu tych walk. Balzak ani Gorki nie opisywali największych wydarzeń historycznych swojej epoki, a mimo to dali szereg jej typowych obrazów. O temacie dopiero wtedy można powiedzieć, że jest wybrany niesłusznie, kiedy przez nieodpowiedni jego wybór ulega w zasadniczy sposób zniekształceniu idea utworu. Dlatego nonsensem byłoby na przykład zarzucać Brandysowi, że na pierwszym planie jego powieści stoją inteligenci, a nie robotnicy. Zniekształceniem idei utworu byłby w tym wypadku natomiast brak powiązania dziejów jego bohaterów z główną treścią historii opisywanych lat, której niesposób pokazać bez pokazania klasy robotniczej. Te powiązania u Brandysa są. Dyskutować można i należy, czy są dostateczne, czy są pokazane w sposób trafny.

Dopiero takie postawienie sprawy wykaże nam zdecydowaną przewagę koncepcji powieściowej czwartego tomu cyklu nad tomami poprzednimi. W toku dalszej analizy postaram się wykazać, dlaczego pewne błędy Brandysa, przede wszystkim błędy w ustawieniu głównych postaci powieściowych, odbiły się także na tomie ostatnim. Na razie chciałbym podkreślić zasadniczą różnicę w potraktowaniu samego wątku akcji, który w trzech pierwszych tomach biegnie nurtem stosunkowo wąskim, dotyka szerszych spraw, rozstrzygających o losach narodu i jego walki tylko ubocznie, a dopiero w tomie ostatnim wypływa na szerokie wody zagadnień naprawdę kluczowych — centralnych.

Czymże są bowiem dzieje Kasawerego Szarleja, drobnego aferzysty, niebieskiego ptaka, jak go nazywa sam autor, wobec walki, jaka się wokół niego rozgrywa? Jakąż perspektywę otwierają na całość dziejących się współcześnie do nich wydarzeń? Takim samym, ciekawym, ale nie najważniejszym punktem obserwacyjnym są dzieje Juliana. Dopiero w drugiej części „Troi" splatają się one z ogólniejszym, niezwykle ważnym problemem walki o pokój na forum międzynarodowym, walki o postawę ludzi nauki (konflikt Lutrech - Cebrowski), walki o dusze rozsianych po świecie polskich emigrantów. I tutaj jednak ta szersza perspektywa podporządkowana jest indywidualnemu problemowi Juliana, ma znaczenie akcesoryjne a nie centralne.

Przeciwnie — w tomie ostatnim Brandys dąży świadomie do organicznego związania dziejów głównego bonatera ze sprawą walki o podstawy istnienia Polski Ludowej z najbardziej typowymi obrazami tej walki. Pozwala mu to pokazać plastycznie nie tylko postaci negatywne, których obraz wysuwa się na czoło w tomach poprzednich, ale również nakreślić rysy nowego człowieka, wydobyć rewolucyjny patos narodzin nowej polskiej rzeczywistości.

BŁĄD „ANTYGONY"

Przechodząc do szczegółowej analizy problematyki cyklu Brandysa, zarzut zasadniczej pomyłki koncepcyjnej należałoby moim zdaniem postawić tylko jednemu tomowi cyklu — „Antygonie". Temu zatem tomowi, gdzie bohaterem głównym jest nie zwykły mieszczański inteligent i nie typowy przedstawiciel burżuazji, ale typowy pospolity łajdak. Być może, inne ustawienie postaci Ksawerego Szarleja przez autora uratowałoby koncepcję „Antygony": pokazanie go w całej ohydzie krzywdy, jaką wyrządza on innym ludziom, pokazanie go przede wszystkim od *zewnątrz*, od strony skutków jego działalności, przeciwstawienie mu pokazanego od *wewnątrz* cierpienia, buntu i gniewu, jaki budzi on u tych, z którymi się styka. Ale Brandys zastosował w „Antygonie" z największą krańcowością metodę, która w mniejszym stopniu zaciążyła również i na psychologicznych proporcjach innych tomów cyklu: metodę pokazywania od wewnątrz postaci negatywnych w przeciwstawieniu do pozytywnych, za którymi przemawiać miały milcząco same fakty. Ksawery został przeanalizowany tyleż dokładnie co — w rezultacie — fałszywie. Analizując swojego bohatera Brandys użyczył mu rąbka niepotrzebnej i żenującej w tym wypadku litości. W komentarzu, jednym z tych wielkich, publicystycznych komentarzy, którymi przedziela poszczególne części swojej książki — próbuje to uzasadnić.

„Nie przeczę, że w pewnych momentach wzbudzał we mnie litość — ten szczególny rodzaj litości, jaki odczuwa się dla człowieka, który *nie wie*"... „Przewiduję także zarzuty: Gdzie problem? Życie niebieskiego ptaka — czy doprawdy warte powieści? Rzeczywiście, lękam się, że nie dotknąłem tutaj żadnego z problemów, na które obecnie daje się odczuć niesłabnący popyt. Krętacz, jako ofiara złego porządku świata — może to być uznane za niezbyt zręczny żart!"... „Znamienne w życiu naszego bohatera jest to, że uwierzył w sprawiedliwość sił rządzących jego światem i uległ im tak pokornie, jak w czasach starożytnych ulegano woli bogów. Zależy mi, aby to zostało zrozumiane. Aby zostało zrozumiane, że niewiedza, lęk i pokora są ziarnem zła w naszych latach".

I wreszcie: „Nie ma ludzi bezwzględnie złych, są tylko bezwzględnie złe układy rzeczywistości". „Człowiek — fabrykat swojej epoki, niegorszy od wielu swych bliźnich, o duszy nie tyle złej, co spaczonej, bezwolny raczej uczestnik niż główny winowajca."

Jak widać Brandys już pisząc „Antygonę" czuł i rozumiał, że coś nie jest w porządku, usiłował jakoś to wyjaśnić w komentarzu i zabrnął jeszcze głębiej. Trudno się dziwić, że cała ta próba psychologicznego wytłumaczenia postępków zwykłego łajdaka wzbudziła od razu w krytyce gorące sprzeciwy. A cóż to u Ksawerego Szarleja za tajemnicza niewiedza? A gdzie to ta pokora w losach sprytnego drapieżnika, który dobrze wie, co robi w każdym momencie swej chytrze obmyślanej, przestępczej działalności? Zły, niesprawiedliwy ustrój dopuszczał do rozwoju złych, drapieżnych instynktów u ludzi, ale to przecież nie dowód, że je usprawiedliwiał w naszych oczach. Pokora, lęk i niewiedza cechowały bierne, zahukane drobnomieszczaństwo, panią Rozen, Jakuba Golda, ostatecznie w końcu kasjera Malinę, jeśli sięgnąć do galerii postaci brandysowskich. Dla tych mieliśmy i mamy zrozumienie i współczucie, ale przecież nie charakteryzowały one ani oczajduszy Szarleja, ani Decza, ani Kwietnia, ani Pausta! Ci działają świadomie, wyrażają czynną zgodę nie tylko na zły ustrój, ale na korzystanie z jego słabości i zgnilizny, sami czynnie zło ustroju pogłębiają. Jeśli uznać to za ich „zasługę" — w myśl fałszywej zasady „im gorzej, tym lepiej" — to i Hitler, i kaci z Oświęcimia są również zasłużeni. Pokazując pospolitego przestępcę, którego za jego sprawki ściga również burżuazyjny kodeks karny, litując się nad nim, Brandys nie tylko nie wzmacnia oskarżenia owego „bezwzględnie złego — jak pisze — układu rzeczywistości", ale oskarżenie to osłabia. Zwykli przestępcy zdarzają się w końcu nawet i w dobrym ustroju. A zły także ich w zasadzie nie toleruje. W ten sposób pojęta filozofia „Antygony" była bezwzględnie fałszywa, a postać jej bohatera niesłusznie wysunięta na plan pierwszy.

Oczywiście ten poważny błąd Brandysa nie przekreślił wartości nie tylko całego utworu, ale nawet tej jego części, której bezpośrednio

Rys. Andrzej Stopka

Kazimierz Brandys

dotyczył. „Antygona" — i nie jest to zapewne przypadkiem — to jedna z najdrapieżniej, z największą pasją pisanych części cyklu „Między wojnami". Charakterystyki postaci negatywnych — Ksawerego Szarleja, Orszyny, Decza, Turskiego, obu Kwietniów należą, podobnie jak sylwetki Juliana Szarleja, Gwidona Bielskiego, Andrzeja Leszczki, Laury de Fênac i im podobnych w „Troi" do najlepszych, najplastyczniejszych w całym cyklu, więcej, do najlepiej „zrobionych" w całej naszej powojennej literaturze powieściowej.

DUSZE CZARNE I DUSZE BIAŁE

I tu wysuwa się zagadnienie kluczowe, generalne dla oceny cyklu Brandysa jako całości. W cyklu tym mamy bogaty i szeroki obraz dobra i zła, prawdy i fałszu, mamy to, co stanowi o istocie wielkiej, moralnej problematyki literatury: wzorcowe obrazy dróg słusznych i ostrzegawcze — niesłusznych, mamy wyraźne autorskie „tędy" obok jeszcze wyraźniejszego „nie tędy". Założenia ideowe cyklu mówią na ogół — jeżeli pominąć historię Ksawerego Szarleja — o głębokiej, żarliwej i trafnej ocenie ludzi, epoki, o dopracowywaniu się przez pisarza coraz bezbłędniejszej partyjnej postawy wobec rzeczywistości.

Ale jednocześnie... Rozpatrzmy kolejno galerię bohaterów, stanowiących „ostrzeżenie" i tych, które służą do pewnego stopnia jako „wzór". Przypatrzmy się postaciom Ksawerego i Juliana Szarlejów z jednej strony, oraz Pankrata, Jakuba Golda i Tola Szarleja — z drugiej. Co zobaczymy?

Obaj główni bohaterowie „negatywni" Brandysa są u niego autorami „pamiętników". Jest to niewątpliwie metoda pozwalająca w pewnym sensie najgłębiej i bez obsłonek zajrzeć w duszę danej postaci. Pamiętniki te są szczere. Dusze okazują się czarne. Metoda pamiętnika ma jednak swoje konsekwencje. Nikt nie pisze sam o sobie, że jest zupełnym draniem, nawet jeśli jest szczery, bo nikt tak nie myśli. Każdy stara się jakoś przed sobą, jeśli nie przed innymi, wytłumaczyć swoje postępowanie. Konsekwencją metody pamiętnika jest analiza duszy człowieka, który pamiętnik pisze. Pamiętnik Ksawerego ma mniejsze znaczenie. Jest fragmentaryczny i psychologicznie mało prawdopodobny właśnie dlatego, że autor sam pisze w nim o sobie jako o łajdaku. Nikt tak nie pisze. Jest to pomysł czysto konwencjonalny, nie realistyczny. Jednakże już sama koncepcja, aby postać człowieka pokroju Ksawerego przedstawić częściowo metodą introspekcji, jest znamienna. Mimo wszystko zbliża nas do postaci. Sprzyja współczuciu, zrozumieniu, zmniejsza dystans, jaki mamy w stosunku do niej. Pamiętnik Juliana — przeciwnie — jest realistycznie najzupełniej prawdopodobny. Więcej — jest świetny. Obnaża wspaniale, bez reszty, sylwetkę psychologiczną pamiętnikarza, jest swego rodzaju majstersztykiem pisarskim. Toteż proces demoralizacji Juliana Szarleja rozumiemy doskonale, nie ma nic nieprawdopodobnego w tej postaci, w którą Brandys wczuł się z pełnią swego świetnego talentu. W konsekwencji, choć potępiamy Juliana Szarleja, budzi on również naszą litość, a przede wszystkim jest w swojej słabości jakoś ludzki, bo wszystkie drgnienia jego lichej duszy zostały zanotowane, bo wiemy, że gdyby miał trochę więcej charakteru i inne warunki, mógłby stać się kimś lepszym, wiemy, że jest czuły na pewne rzeczy niekoniecznie złe, pamiętnik zbliża go do nas. Czy słusznie? Być może,

W DZIESIĘCIOLECIE ŚMIERCI EMILA ZEGADŁOWICZA

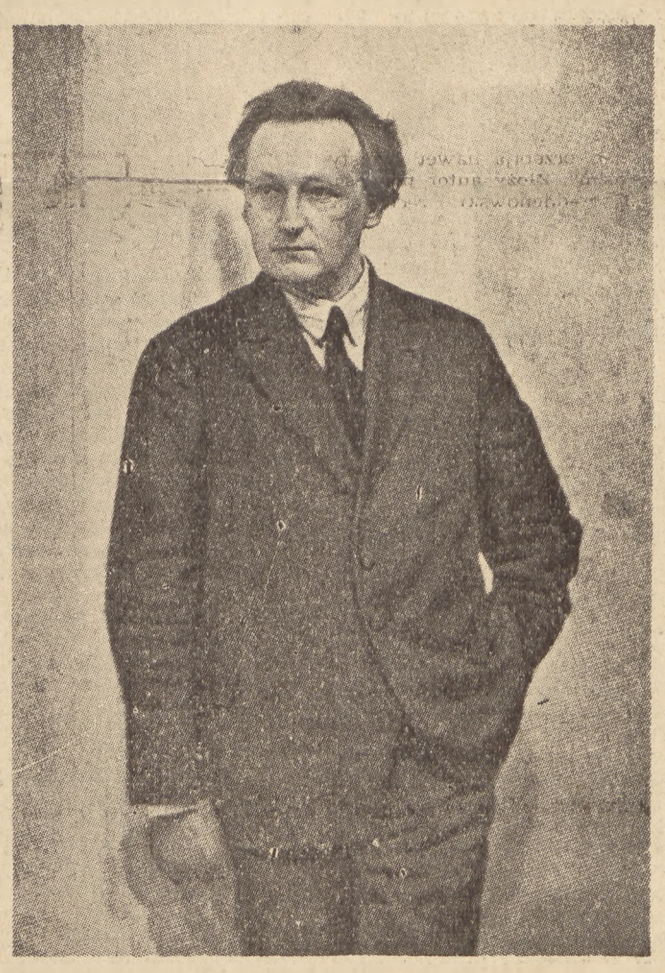

W dniu 24 lutego przypada dziesiąta rocznica śmierci wybitnego pisarza lat międzywojennych — poety, dramaturga, powieściopisarza i tłumacza — Emila Zegadłowicza (1888 — 1942).

W swej niezwykle obfitej twórczości Zegadłowicz ulegał silnemu oddziaływaniu różnych panujących w okresie dwudziestolecia międzywojennego schyłkowych prądów literackich, przede wszystkim ekspresjonizmu. Ulegał też wiele wstecznym prądom ideowym. W jego puściźnie pisarskiej owego okresu nie brak akcentów religianctwa i mistycyzmu, młodopolskiego wielosłowia oraz estetyzowania, ucieczki w poetycką zaściankowość, fałszywie często pojmowany „regionalizm", cechujący grupę poetycką „Czartaka", której był czołowym przedstawicielem. Trwałą wartość w poezji Zegadłowicza z owego czasu zachowała natomiast ta część jego utworów, w której nawiązywał on w sposób twórczy do tradycji ludowych, jak ballady z cyklu „Powsinogi beskidzkie" i im podobne.

W ostatnich latach przed drugą wojną światową, w okresie ostrej walki z faszyzmem, Zegadłowicz, człowiek ideowo i artystycznie jak najdalszy od pozycji rewolucyjnych, przechodzi szczerą, żarliwą i głęboką ewolucję ideową. Wiąże się zdecydowanie z ruchem antyfaszystowskim, bierze czynny udział w akcji Frontu Narodowego, uczestniczy w lwowskim Kongresie Pisarzy w Obronie Kultury, pisuje w „Sygnałach" i „Czarno na białym". W twórczości jego zaczynają pojawiać się coraz liczniejsze akcenty radykalizmu społecznego.

Jest jednym z tych, niezbyt wówczas jeszcze licznych, szczerze i uczciwie czujących pisarzy polskich, którzy w rzetelnym poszukiwaniu prawdy potrafili przejść długą i niełatwą drogę do obozu postępu w czasie, w którym ewolucji takiej nie sprzyjały otaczające wydarzenia. Z drogi owej nie zboczył, szedł nią do końca swego życia w latach dość powszechnego zamętu ideologicznego, jaki panował w kołach inteligencji polskiej podczas okupacji.

W wydanej bezpośrednio przed wojną, oddanej w ręce Stefana Jaracza i zaginionej w czasie okupacji sztuce „Wasz korespondent donosi", daje obraz stosunków w Polsce sanacyjnej na tle pacyfikacji powstania chłopskiego w r. 1938. Z obfitej twórczości Zegadłowicza w latach wojny zachowały się m. in.: niedokończony dramat „Sind Sie Jude?" oraz sztuka p.t.: „Domek z kart", w której zwraca uwagę akcent głębokiej wiary, jaką pokłada autor w Związku Radzieckim i Armii Czerwonej, przyszłej wyzwolicielce Polski spod okupacji hitlerowskiej.

Wojna i przedwczesna śmierć położyła kres Jego ruchliwej i wielostronnej działalności artystycznej. Umiejętny wybór i wydobycie z zapomnienia tej części dorobku Zegadłowicza, która zachowała swoją wartość historyczno - literacką, jest sprawą, o której niewątpliwie przy okazji rocznicy śmierci pisarza warto przypomnieć naszym krytykom i wydawcom.

iż nie jest to niesłuszne. Julian Szarlej nie jest przecież kanalią w rodzaju Ksawerego. Mógłby być inny. Droga jego jest ostrzeżeniem dla słabych, a trochę — z upodobania, gustów i stylu życia do niego podobnych. Czy należało Juliana pokazać inaczej? Nie. Można go było pokazać w ten sposób, ale pod pewnymi warunkami. Pod warunkiem zbliżenia do nas tych, których się mu przeciwstawia — w sposób podobny.

BŁOGOSŁAWIENI UBODZY DUCHEM

A jak przedstawiają się w ujęciu Brandysa główne postaci pozytywne? Niewątpliwie najbardziej psychologicznie przybliżony czytelnikowi jest Jakub Gold, bohater „Samsona". Nie pisze on pamiętnika, ale wiemy, co myśli i co odczuwa od początku, kiedy nic nie wie i nic nie rozumie, do końca, kiedy wreszcie zaczyna coś rozumieć. Jest prosty, nieskomplikowany, prawie do końca bierny. Jest ofiarą ślepego losu, jednostką szlachetną, ale, jeżeli chodzi o rozwój umysłowy, bardziej niż przeciętną. Kroczy przez dobrze nam znany świat walki wielkich sił społecznych, z przepaską na oczach, którą dopiero w chwili śmierci los — „niemal symbolicznie — zdziera mu z oczu *). Ginie właściwie na początku drogi, którą powinien był przebyć. Ze wszystkich bohaterów pozytywnych jest przez sam ów fakt — postacią najmniej wzorcową: jest jednostką tragiczną, z którą współczujemy, trudno jednak myśleć o możliwości uznania jej za jakiś wzór wychowawczy. Od początku do końca wiemy więcej i rozumiemy więcej od Jakuba Golda. Jego świat duchowy jest zadziwiająco ubogi, wiele uboższy niż na przykład — świat duchowy zdeprawowanego Juliana Szarleja. Jakub Gold jest świadomie pokazany przez Brandysa jako człowiek o usposobieniu dziecinnym, naiwnym i bez określonych zainteresowań. Ujmuje nas prawością charakteru. Czym byłby jednak Jakub Gold, gdyby nie przypadkowe zetknięcie z ludźmi reprezentującymi nie tylko określoną ideologię, ale i wyższy poziom zrozumienia praw rządzących światem, wyższy poziom inteligencji? Ludzie ci zarysowani są w „Samsonie" bardzo konturowo, a rzecz wygląda trochę na apologię maluczkich, ubogich duchem, którzy posiądą królestwo niebieskie.

CI, CO NIE PISZĄ PAMIĘTNIKÓW

Zgoda — powie ktoś — to jasne, że nie Jakub Gold jest głównym nosicielem wartości przeciwstawianych światu Ksawerych, Julianów, Orszów, Bielskich i Deczów. Skąd jednak twierdzenie, że właśnie Jakub Gold jest psychologicznie najbardziej przybliżony czytelnikowi? W powieści występują przecież postaci nieugiętego bojownika Wacława Pankrata i pozytywnego inteligenta Tola Szarleja. Czyż nie mówią one czytelnikowi więcej, nie narzucają się plastyczniej jego wyobraźni niż Jakub Gold, niż Ksawery i Julian Szarlej?

Niewątpliwie przeciwstawienie obu tych postaci światu, w którym uwikłani byli Ksawery i Julian, stanowiło cel i zamiar artystyczny Brandysa w dwu ostatnich tomach. Wacław Pankrat w drugiej części „Troi" jest nie autorem pamiętnika wprawdzie (czynni działacze polityczni pamiętników nie mają czasu pisać), ale narratorem. Pozytywnej ewolucji Tola Szarleja poświęcony jest cały największy i najważniejszy, czwarty tom cyklu. Stykamy się na przestrzeni wielu kart powieści z poglądami i sposobem postępowania jednego, z ewolucją i dojrzewaniem drugiego z nich. A jednak mimo wszystko, mimo całą panoramę środków artystycznych, za pomocą których Brandys wprowadza nas w nowy świat Tola i Pankrata, wyczuwamy w sposobie nakreślenia ich sylwetek duchowych jakieś wyraźne skrępowanie, jakiś ogrom niedopowiedzeń, jakiś dystans. Czyżby dlatego, że Pankrat i Tolo nie piszą pamiętników? — Przesada. Nie jest to przecież jedyny środek pokazania postaci „od wewnątrz". Więc dlaczego? Czyżby Brandys czuł ich i rozumiał gorzej niż Juliana i Ksawerego? A może zarzuty nasze są gołosłowne, może tylko tak się nam wydaje? Na czym opieramy nasze pretensje pod adresem tych postaci?

CZŁOWIEK CZY CIEŃ

Cień Wacława Pankrata przesuwa się w pobliżu nas od początku opowieści nie budząc większego zaufania. Do więzienia dostaje się przez kompromitującą nieostrożność, z jaką dekonspiruje się wobec Juliana w Paryżu. Agitator też z niego lichy, skoro ani w więzieniu, ani na barykadach ulicy Kopińskiej nie próbuje nawet rozjaśnić mętliku w czarnej głowie Jakuba Golda, choć materiał do agitacji wydaje się wymarzony. W tomie trzecim Pankrat wyrasta nagle przed nami jako komentator epilogu dziejów Juliana Szarleja. W międzynarodowej aferze Cebrowski — Lutrecht bierze udział raczej ubocznie, losy Juliana są dla niego jednym z wielu ogniw łańcucha ludzkich dziejów, z którymi się styka. O sobie mówi mało, zapewne dlatego, że w pojęciu Brandysa tacy ludzie istotnie mało się sobą zajmują. I zapewne słusznie. Ale kto powiedział, że czynny działacz komunistyczny nie ma nieujawnionego, bogatego świata własnych myśli i rozważań, kto powiedział, że nie grają w nim wielkie namiętności, że nie przeżywa on gwałtownych rozterek i triumfów, że nie jest także wrażliwy na piękno otaczającego świata, że nie ma prawie życia osobistego?

Opowiadając o dziejach towarzysza więziennego Wilgi, który przesiedział szereg lat w więzieniu i został w roku 1943 rozstrzelany jako zakładnik, Pankrat konkluduje: „Czy myślicie, że do tych kilku faktów potrzebny jest psychologiczny komentarz? Nie. Myśli zecera Wilgi były takie jak jego życie: czyste i proste." Co to znaczy? Więc brudne myśli trzeba analizować, a czystych nie? Dlaczego? Pankrat nie ma czasu na myślenie, nawet w więzieniu: „Rozmyślania człowieka w celi są dosyć twarde i proste; jak stołek albo chleb. Jakub Gold wystukał mi pewnego razu przez ścianę: — Pankrat, o czym ty myślisz cały dzień? — Odstukałem: — O dziesięciu przykazaniach, machorce i ciepłych skarpetkach. — Jakub bardzo się wtedy zdumiał, a co do mnie — licho wie, czy grubo przesadziłem."

Myślę, że postać Pankrata została w takim ujęciu bardzo zniekształcona i że Brandys grubo przesadził. Chciał pokazać wielką skromność tego człowieka, a wyszło coś, co wygląda trochę jak poza na prostactwo, niezbyt licująca z postawą świadomego komunisty.

Pankrat w drugiej części „Troi" jest po prostu lustrem, lustrem odbijającym cudze sprawy, pomijającym celowo w swym opowiadaniu sprawy własne. W „Troi" rysuje się wielki problem moralny Juliana, nie ma natomiast prawie żadnych problemów, które byłyby własnymi problemami Pankrata, choć można sobie przecież wyobrazić, że ten człowiek walki, reprezentant Polski Ludowej na forum międzynarodowym, problemy takie miał. Jeśli problemem takim jest stosunek Pankrata do sprawy Cebrowski — Lutrecht i przeciwstawienie oportunistycznym argumentom Cebrowskiego czujnej postawy partyjnej — to wbrew intencjom pisarza — problem ten nie został ukazany dość wyraziście. Postać Pankrata w „Troi" nie rysuje się przed nami w pełnym świetle wielkości swojej postawy moralnej.

Z PERSPEKTYWY „SZAREGO INTELIGENTA"

A Tolo? Dzieje Tola w „Człowiek nie umiera" pod jednym względem przypominają czasem dzieje Jakuba Golda z tomu pierwszego. Mamy do czynienia z człowiekiem do pewnego stopnia podobnej formacji psychicznej. Prawym, szlachetnym, ale dziwnie jakoś biernym, pchanym przez los nawet tam, gdzie los skazuje go na samodzielne decyzje. Człowiekiem o dziwnie nieokreślonych namiętnościach, zainteresowaniach, człowiekiem — znów chciałoby się powiedzieć — dziwnie bezbarwnym i przeciętnym.

Przed wojną studiuje prawo. Czy jest zamiłowanym prawnikiem? Z tego co o nim wiemy, raczej nie. Czy ma w związku z tym inne życiowe pasje? Nic nam o tym nie wiadomo. Kończy podchorążówkę kawalerii w Grudziądzu. Pamiętamy, że podchorążówka ta hodowała specjalny gatunek młodych ludzi o bardzo specyficznym stylu życia, specyficznych zainteresowaniach i poglądach. Wiemy, że Tolo nie był do nich podobny. Mimo to już w „Samsonie" nie budził w nas dużego zaufania obraz jego rozmowy z Jakubem Goldem, w której właśnie z ust Tola padają słowa o geście Piłata w stosunku do dziejących się w Polsce nieprawości. Jeśli miał jakąś indywidualność, to coś tam musiało się w nim przecież buntować! Wojsko było dla młodego inteligenta z tamtych czasów dość ważną, zazwyczaj pierwszą szkołą życia — pamiętamy, my, z tamtych roczników. Był nią także uniwersytet, na którym toczyła się ostra walka. Tylko najbierniejsi, najmniej wartościowi mogli pozostawać na uboczu. I takiego właśnie nieciekawego przeciętniaka robi świadomie z Tola Brandys. O życiu jego pisze, że było „złożone raczej z dat i faktów aniżeli z przeżyć i rozmyślań". „Układało się samo: po maturze rozpoczęli studia, z czasem każdy spotkał swoją dziewczynę, ten i ów zrobił dyplom, potem — starania o pracę, posada, kariera, dom... Mimo iż jego historia była nieco odmienna, to przecież z grubsza odbył taką samą drogę: wraz z nimi uczył się, kochał, pił. I wraz z nimi nad wielu sprawami się nie zastanawiał. Od czasu do czasu tylko zadawał sobie pytanie, czy jest uczciwym człowiekiem. I jakoś nie zwątpił o tym ani razu. Życie kładło im się pod nogi jak prosta, dobrze ubita szosa, trudno było z niej zboczyć."

Czy dużo było takich młodych ludzi przed wojną? Myślę, że mniej niż się wydaje. Owa przeciętność, ów „szary człowiek" czy „szary inteligent", to była tylko jakaś ahumanistyczna perspektywa, z której na człowieka tego patrzyła część literatury owego okresu. Większość tych ludzi, przeanalizowana głębiej, reprezentowała przecież coś określonego. Niekoniecznie orientowała się politycznie w sposób właściwy, nie zawsze była wyraźnie po tej lub po tamtej stronie, ale była jakoś określona. Określony i pokazany pisarsko jest Julian Szarlej. O ileż prawdziwszy i ciekawszy niż ów Tolo, o którym nie wiemy z tego czasu dosłownie nic! No i przecież taka założona z góry przeciętność nie ma nic wspólnego z typowością! Takie wprowadzenie w losy bohatera z góry zniechęca! Czego się po takim można spodziewać? Jedyna rzecz, która wiemy od początku o Szarleju jest to, że — jak nas Brandys zapewnia — był uczciwy. Życie jego zaczyna się dla nas, czytelników książki od tego, że lubi Jakuba Golda i że nie zabija Pankrata. Nasuwa się jednak pytanie, co by było, gdyby Tolo rozkazu zabicia Pankrata nie otrzymał? Co wiemy o jego psychicznym, intelektualnym przygotowaniu do odporu przeciwko faszystowskim hasłom? W roku 1943 reprezentant uczciwych elementów w AK, zlikwidowany później przez gestapo major Merecz pokazuje Tolowi biuletyn antykomunistyczny mówiąc: „Zdaje się, że cała ta heca skończy się rżnięciem komunistów. Nie mam na to wielkiej ochoty, a pan?" „Szarlej odparł wówczas — pisze Brandys — że masa akowska nie pójdzie na akcję polityczną, niewymierzoną przeciw okupantom". W tak lakonicznie dyplomatycznym stylu mógł odpowiedzieć w podobnej sytuacji stary, obłudny, rutynowany urzędnik przedwojennego MSZ-tu. Nie wiele mówi nam ona o drodze duchowej Tola.

SĄDŹCIE GO PO JEGO UCZYNKACH..

Dzieje Tola Szarleja w czwartym tomie cyklu „Między wojnami" są długie i bogate w wydarzenia. Brandys pokazuje — Tolowi i nam — spory kawał historii. Ale w przeciwieństwie do Juliana i Ksawerego powiada: sądźcie Tola po jego uczynkach. Nie będę wam mówił szczegółowo o tym, co się dzieje w jego duszy. Tamte dusze, brudne, pokazałem wam od środka. Czyste dusze są białe, białe i puste jak białe prześcieradło. Uczciwi ludzie są jak klisze, odbijające tylko wiernie zewnętrzne wydarzenia. Patrzą, milczą i czynią dobrze. Nie ma w nich nic tylko myśli robaczywych i kompromitujących, tak plastycznie rozwiniętych w wizerunkach Juliana i Ksawerego, ale w ogóle prawie żadnych, które nadawałyby się do ujawnienia. A jeśli są — to są to myśli zupełnie nieciekawe.

„Szarlej poczuł nagle tęsknotę za kierownicą, która pozostawiła mu twarde odciski na dłoniach". Czy Tolo jest szoferem z zamiłowania, drży z podniecenia na widok motoru, spędza pół dnia w samochodzie i pod samochodem? Zdarza się to młodym ludziom. Ale nie. Brandys zapewnia nas, że Tolo jest dobrym szoferem, i na tym poprzestaje. Jest szoferem z przypadku. Tęsknota do kierownicy nie określa nam w tym wypadku człowieka.

„Ciągnęli go do siebie tym wzrokiem, do swoich spraw, do swojej walki. Wiedział, że jeśli nazajutrz zgłosi się do Komitetu, nie skończy się to na paru dniach: znowu im ulegnie, im — albo butom dla „Auera", albo czyjejś śmierci na szosie... Umieli stwarzać wiążące sytuacje, z których istniało tylko jedno wyjście: zgodzić się, nie odmówić pomocy..." „Przyłapywał się na niecierpliwej myśli: znów znaleźć się w zadymionym lokalu Komitetu, a potem poczuć w rękach kierownicę wozu..."

Magnes. Siła nieprzeparta. „Ciągnęli go do siebie"... I to mają być prawdziwe myśli i przeżycia inteligenta, stojącego w obliczu tego wszystkiego, co działo się w kraju? Niech by Brandys przeczytał sobie tylko swoje własne publicystyczne artykuły z 1945 roku! O ileż więcej znalazłby tam myśli nurtujących inteligenta owego czasu! Że Tolo nie jest sobowtórem Brandysa? Zgoda! Ale jest w zamierzeniu autora uosobieniem wielu prawdziwych, młodych ludzi owego czasu. Jak wyglądałyby ich pamiętniki?

„Sądził, że człowiek związany jest ze swoją przeszłością tylko dopóty, dopóki z własnej woli jej w sobie nie zdepcze. I że tylko przed sobą samym powinien składać rachunek moralny — w zakresie moralności, jaką sam sobie wybrał i której chce być wierny".

To zdanie bardzo mgliście, bardzo abstrakcyjnie określa stosunek Tola do przeszłości i do teraźniejszości. To komentarz filozoficzny, ale nie realistyczny obraz przeżyć.

„Czy dobrze postąpił, przyjąwszy pracę szofera — on, inteligent z dyplomem wyższej uczelni? Czasami przychodziło mu na myśl, że dał się popchnąć w pierwszą lepszą stronę. Lecz w chwilę później trzeba było zawieźć grupę aktywistów do miasta oddalonego o 150 kilometrów, gdzie przed dwunastu godzinami faszyści zabili sekretarza partii; należało wrócić, nim zapadnie ciemność; starano się wówczas jeździć za dnia i omijać noc. Wtedy zapominał o swych wątpliwościach i przyrastał do motoru".

Proces myślenia może być przytępiony przez zmęczenie, głód i różne dolegliwości. Ale w zasadzie ma to do siebie, że nie ustaje, towarzyszy człowiekowi w szczęściu i nieszczęściu, i to nie tylko tak zwanym „inteligentom". Nie wierzę i Brandys na pewno nie wierzy w to, że przywilej myślenia należy tylko do owych inteligentów, choć podobno „inteligenckość" tym się charakteryzuje, że analizuje się samego siebie, często więcej niż potrzeba i niż warto. Czy można przypuścić, że Inteligent Tolo Szarlej w nawale zajęć szoferskich przestawał żyć życiem wewnętrznym, dawał się „popychać wypadkom" i był ciągle jak medium, które reaguje na zewnętrzne podniety w jednym tylko kierunku, wyciągając z nich tylko ostateczne wnioski myślowe? Tolo jest ciągle grzeczny, nieokreślony i bezbarwny. Aha, jest jeszcze skryty. Tak skryty i milczący, że o duchowych jego przeżyciach nie może się przez długi czas niczego dowiedzieć nie tylko partyjny szoferski kolektyw, ale i my, czytelnicy, którzy mamy przecie do tego prawo. W momencie kiedy dokonywa się w nim proces przechodzenia na nowe ideowe pozycje, nie tylko wypowiedzi jego, ale i myśli są dziwnie lakoniczne.

„Szarlej pojmował coraz wyraźniej, że ci szorstcy cywile których wiózł pod brezentem — ochrypli, źle ubrani, przesiąknięci zapachem niedawnej nędzy — toczą zaciętą, nieustępliwą walkę o sprawy ściśle złączone z życiem ludzkim i nie ustaną w niej do ostatniego tchu.

Czy powinni mi ufać? — pytał nieraz sam siebie. — Jestem przecie obcy. Jakbym się zachował, gdyby przyszło wybierać między nimi a t a m t y m i?..."

To wszystko. A gdzież spojrzenie Szarleja na poszczególnych ludzi, z którymi się styka? Gdzie jego ocena, dotycząca ich bogatych indywidualności? O ileż szerzej, wszechstronniej wypadłyby charakterystyki Krystyna, Ciężarka, Krajewskiego i innych, gdybyśmy wiedzieli, jak w poszczególnych momentach przedstawiali się oni oczom Tola! Co w nich zaobserwował? Ileż podobnych spostrzeżeń o ludziach zanotował niedobry Julian Szarlej w zepsutym Paryżu! Ten umiał patrzeć bystro i ostro! Nie chodzi tu przy tym bynajmniej o uleganie sugestii psychologistycznej metody pięknoduchowskiego łowienia wrażeń, jaką stosuje on w swoim pamiętniku, lecz po prostu o przekonywający artystycznie tok myślenia, rozmów, postępowania bohatera, niezależnie od tego, czy reaguje on na rzeczywistość pod kątem widzenia „fioletowego rysunku dachów o zmierzchu" czy reakcji na zjawiska społeczne, polityczne, reakcji jednak osobistej, własnej, psychologicznie podchwyconej. Cały czas wiemy, że dobry Tolo ma rację i kroczy słuszną drogą, ale cały czas jest od nas daleki, bo nie wiemy, co myśli. Nie udaje się nam szczerze go polubić, choć bardzo tego pragniemy. Nie porywa nas żadnym swoim gestem.

Mógłby to być gest bohaterski, mogłaby to być niewinna słabostka, przecież Brandys wie o tym jako pisarz. Wie, że jednym ciepłym rysem charakteru czy wyglądu można postać zbliżyć do czytelnika, wie, że niejedna z jego epizodycznych postaci daje się lubić, bo ją obdarzono takim rysem. Wie, że na przykład sylwetkę Bałturyna zbliża do czytelnika nie tylko jego szlachetne stanowisko w sprawie Golda, ale i jego zewnętrzna charakterystyka, żubrza postura i tubalny głos; Fiałkę — nie tylko oddanie sprawie, ale drobne rysy indywidualne — ów brak dwóch przednich zębów, owo śmieszne „faczet", „Szternik"; panią Rozen — jej głęboka wiara w „porządną owocarnię w dobrym punkcie". Oczywiście inny by to musiał być rys u bohatera pozytywnego, jakim jest Tolo, ale niechby jakiś był! Niechby ten Tolo był naprawdę kimś — z temperamentu, z zamiłowania, fachu! Doprawdy nie jest bowiem łatwo uwierzyć w „pozytywną przeciętność".

JEDNA Z WIELKICH UCZCIWYCH SPRAW LUDZKICH

Z trzech głównych postaci pozytywnych Brandysa żadna nie ma w gruncie rzeczy życia osobistego. Mają je natomiast Julian i Ksawery. Życie osobiste Ksawerego jest plugawe, ale i to niezupełnie. Brandys każe mu w jakiś sposób, po swojemu kochać synów i troszczyć się o nich. Julian myśli często o ojcu i bracie, Tolo natomiast, dla którego, jeśli jest wrażliwym, czującym człowiekiem, sprawy rodzinne powinny być ciężkim, dręczącym problemem nie poświęca im dosłownie ani jednej myśli.

Julian nie potrafi wprawdzie kochać głęboko. Plany małżeństwa z Beatą Orszanką układa sobie w sposób dość cyniczny, ale w końcu okazuje się, że kobiecie tej potrafi dać jakieś szczęście. Ostatnie sceny z Orszanką w Paryżu budzą naszą sympatię dla tej kobiety: kochała go naprawdę, pracowała na niego, cierpiała dla niego. Julian wzbudza żywe uczucie nawet w córce paryskiego robotnika, która wprawdzie zrywa z nim, zorientowawszy się, kim jest, ale w szczęściu małżeńskim znajduje rekompensatę, przedstawioną przez Brandysa bardzo specyficznie. Mąż jej to mało rozgarnięty milczek, a ona, Augustynka, wstąpiwszy w związki małżeńskie szybko zmienia się w „rosłą kobietę o mocnych biodrach". „Znacie — opowiada Pankrat — gatunek ładnych, silnych matek, mądrzejszych od swoich mężów, trzymających w szachu otoczenie. Zastałem ją przy robocie, ręce miała umączone po łokcie..."

Czyje to spojrzenie na Augustynkę? Pankrata czy Juliana Szarleja? — Nie tylko przy tym Pankrat, czynnie zajęty polityką, nie ma czasu na osobiste uczucia (podobała mu się Augustynka, ale ubiegł go niedźwiedziowaty monter). Dziwnie niewyraźnie przedstawiają się również sprawy uczuciowe w dziejach Tola. Co oznacza ładny obraz jego powtórnego spotkania z Teresą? Czy brać za dobrą monetę piękne zdania o tym, że w „każdym czasie jest miejsce na miłość, nie ma lat bez miłości, nie ma dnia, w którym miłość mogłaby być zakazana. Trzeba jej bronić, tak jak się broni siebie i innych, tak jak się broni życia. Jest jedną z wielkich, uczciwych ludzkich spraw i dlatego z żadną sprawą człowieka nigdy nie jest sprzeczna". I jeżeli tak, to czemu Brandys nie dookreślił sylwety Szarleja obrazem zamykającym jakoś tę sprawę? Czy Tolo od Teresy odchodzi, czy do niej wraca? W końcu nie wiemy, czy potrafi naprawdę kochać, a to przecież ważne.

ŹRÓDŁA DYSPROPORCYJ

Jak widzimy, istnieją wyraźne dysproporcje pomiędzy psychologicznym rysunkiem czołowych postaci pozytywnych i negatywnych w dziele Brandysa. Co prawda Brandys nie jest tu odosobniony. Przeciwnie. Na bladość psychologicznego rysunku pozytywnych bohaterów i na ich dysproporcję w stosunku do postaci negatywnych można by w naszej literaturze ostatnich lat znaleźć przykłady o wiele jaskrawsze. Nigdzie jednak chyba dysproporcja ta nie ma tak określonego, nie przypadkowego charakteru, nigdzie nie jest tak daleka od zwykłej debiutanckiej nieporadności, nigdzie nie ma tak wyraźnych cech świadomego założenia artystycznego, z którym należy moim zdaniem polemizować w imię przyszłych osiągnięć pisarskich zarówno samego Brandysa jak innych naszych pisarzy.

Gdzie leży źródło tych dysproporcji? Cytowaliśmy już zdanie Pankrata, w którym mówi on, że do spraw czystych i prostych niepotrzebny jest komentarz psychologiczny. Czy był to tylko zwrot retoryczny? Cały sposób przeprowadzenia przez Brandysa akcji powieści, sposób charakterystyki głównych jej postaci wskazuje na to, że nie. Cały proces pisarskiego rozwoju Brandysa był walką z inteligenckim psychologizmem prozy dwudziestolecia. Założenia estetyczne „Drewnianego konia" leżały w pobliżu najbardziej schyłkowych przejawów tamtej literatury. Stopniowo, w miarę rozwoju swej postawy ideowej, Brandys z coraz pomyślniejszym skutkiem przekształca i doskonali swe środki pisarskie, zbliżając się do realizmu. Jakie przeszkody spotyka na swej drodze? Jakie opory musi przezwyciężyć?

Pierwszym, dość zasadniczym i z pozoru niezależnym od owej walki o realizm progiem, który musi przekroczyć tak samo jak każdy inny rasowy powieściopisarz, jest wyjście poza autobiografię, odrzucenie pokus autobiografizmu. Wyleźć z własnej skóry, przestać pisać o sobie, sobie, nie przetworzonym na literacką fikcję — oto problem, którego nie potrafi rozwiązać wielu pisarzy w ciągu całej swej twórczości, i to nie tylko autorów unius libri. Przestać pisać o sobie, to znaczy przestać analizować siebie, a zacząć obdzielać swymi doświadczeniami życiowymi i myślowymi inne, przez siebie kreowane postacie.

Czy łatwo obdarzyć je nimi sprawiedliwie i równomiernie? Do zarysowania najważniejszej postaci powieści, Tola Szarleja, w początkowym etapie pracy Brandysowi brakowało zapewne wielu doświadczeń życiowych i wielu realiów. Świadomie i celowo przesunął sobie to zadanie na sam koniec. Ale i postać Jakuba Golda, stworzona na początku, została świadomie uproszczona. Zarówno tworząc postać Golda jak później, kreując Tola — Brandys postawił sobie niewątpliwie jako zadanie stworzenie postaci samodzielnych, niezależnych od jego własnej, autorskiej, psychologicznej autobiografii, nie obciążonych nią. Była w tym ambicja pisarza realisty i była ambicja pisarza walczącego z warsztatem powieści psychologistycznej. Krytyka nawoływała do walki z psychologizmem. Brandys powiedział sobie: psychologizm w tworzeniu wizerunku nowego człowieka jest nieużyteczny. O takie założenie było o tyle łatwo, że schyłkowa powieść mieszczańska istotnie nie dawała żadnych gotowych wzorów postaci pozytywnych. Trudniej było natomiast oderwać się od wzorów innych, które dawała: wzorów bezlitosnej kompromitacji bohatera, i te Brandys postanowił zużytkować. Nie dlatego, iż uważał, że są to wzory dobre. Nie można bowiem powiedzieć, że przejął je żywcem. Po prostu zwalczana gdzie indziej metoda psychologicznej introspekcji stała się dlań tutaj użyteczna jako narzędzie kompromitacji tych postaci, które chciał skompromitować. Kompromitując — w osobie Juliana Szarleja — postać pisarza dekadenta, kompromitował przecież i estetyzm, i eskapizm, i psychologizm, wszystko to, co przezwyciężył i z czego wyrósł. Kompromitując Ksawerego korzystał na potęgę z prawa wczuwania się w bohatera, bez obawy, że się przypadkiem z nim utożsami. Przeciwnie, kreśląc rysy Golda, Pankrata i Tola odczuwał widoczny lęk przed wyposażeniem ich w postępki i myśli, które mogłyby być jego myślami i postępkami. Cel osiągnął, ale, jak się to mówi — „przegiął pałkę". Żadna z czołowych postaci nie ma rysów autorskich, ale ich pogłębienie psychologiczne jest nierównomierne. Juliana który jest pisarzem, inteligenckim wrażliwcem, wyposażył w liczne subtelne przeżycia, tylko je zdeformował, pokazał w karykaturze. W Ksawerego tchnął masę okrutnej, drapieżnej pasji. Jakuba Golda przytłumił, uprzeciętnił, uprościł, ale odmalował serdecznie. Tola, z lęku by się nie stał inteligenckim mięczakiem, zupełnie odbarwił. Pankrata z jeszcze większym lękiem oglądał z daleka po prostu bał się go tknąć od strony jego przeżyć wewnętrznych.

W IMIĘ REALIZMU

Być może, iż w tym, co tu napisałem, jest trochę przesady, przesady, której jednak niesposób uniknąć, jeżeli chce się wyjaśnić genezę takiego a nie innego potraktowania postaci cyklu „Między wojnami".

Czy postawione tu zarzuty są zakwestionowaniem wartości pisarskich osiągnięć Brandysa w kreśleniu wielkiej panoramy epoki, które podjął? Nie sądzę.

Czy podjęcie przez niego walki z warsztatem psychologistycznym było niesłuszne i niepotrzebne? Było na pewno potrzebne i było na pewno słuszne. Mówi o tym cały rozwój twórczości Brandysa od „Drewnianego konia" do „Człowiek nie umiera", rozwój realizmu jego powieści, który na kolejnych tomach jego cyklu da się wyraźnie prześledzić.

I właśnie tylko w imię tego pełnego realizmu upominamy się o psychologiczne pogłębienie postaci Pankrata i Tola Szarleja. Walka bowiem z psychologizmem powieści burżuazyjnej nie oznacza rezygnacji z psychologicznego pogłębienia postaci w dziele realistycznym. Tolo byłby ciekawszy, gdyby czytał książki i gazety, tak jak czyta je sam Brandys, gdyby mówił nam, co o nich myśli, gdyby rozmawiał na światopoglądowe tematy z Pankratem, towarzyszami pracy lub narzeczoną, gdyby miał parę drobnych cech charakterystycznych, po których moglibyśmy go zawsze i wszędzie poznać. Pankrat byłby prawdziwszy, gdyby będąc w Paryżu też trochę zwracał uwagi na przykład na piękno jego architektury, gdyby nie stanowiło to monopolu Juliana Szarleja. Miłość córki robotnika mogłaby na pewno ukazać nam powaby mniej przelotne, niż ma to miejsce z Augustynką, odbijającą wyraźnie na niekorzyść Beaty Orszanki. Zetempowcy, robotnicy i żołnierze nie występowaliby, jak to się niekiedy Brandysowi zdarza, w charakterze dużych dzieci, szlachetnych i naiwnych prostaczków, wygłaszających zabawnie brzmiące w ich ustach maksymy filozoficzne. W ogóle trochę sztuczna jest u Brandysa ta dziwna apoteoza „człeka z prosta", dziwnie trącąca wyspiańszczyzną, pewnymi tendencjami powieści mieszczańskiej, a nawet osiemnastowieczną utopijną tęsknotą do natury. Ten prostaczek Gold, ten rezygnacyjny charakter małżeńskiego szczęścia Augustynki, ten pęd Tola Szarleja do kierownicy — nie malują chyba najlepiej właściwego kierunku dążeń pełnego, współczesnego człowieka do awansu umysłowego i społecznego.

I tu warto podkreślić, że zagadnienie realizmu powieści Brandysa ma jeszcze i drugi aspekt, obok wyżej zaznaczonego. Kto wie, czy nie ważniejszy. Jest nie tylko zagadnieniem stosunku do nagromadzonych doświadczeń własnych, życiowych i literackich pisarza-inteligenta, ale zagadnieniem zdobywania doświadczeń nowych, zagadnieniem żywego kontaktu pisarza z rzeczywistością, ludźmi, od których musi on przejmować stale również ich doświadczenia, elementy ich myślenia.

Pod tym względem Brandys, pisarz obdarzony nie tylko dużą kulturą umysłową i literacką, ale i dużą spostrzegawczością oraz wyobraźnią konstrukcyjną, ma niewątpliwie najwięcej do zdziałania i do zdobycia. Zwycięstwo elementów realistycznych w jego twórczości zależy w tej chwili, jak mi się zdaje, przede wszystkim od wzbogacenia tych doświadczeń, na których by jego wyobraźnia i zmysł konstrukcji mogły się wesprzeć. Główny sukces ostatniego tomu powieści polega też na tym, że pisarz wykorzystał w nim w pewnej mierze nowe doświadczenia, pokazał nowych ludzi, jeśli nie zawsze w sposób zupełnie plastyczny, to w każdym razie o wiele szerszy i pełniejszy niż w tomach poprzednich.

Cykl powieściowy Brandysa był bowiem początkowo — jak na powieść o założeniach mimo wszystko realistycznych — bardzo, zarówno pod względem konstrukcyjnym jak i językowym — „literacki". Uderza to szczególnie w „Samsonie", zwłaszcza jego części pierwszej. Później występuje w nieco mniej jaskrawej postaci, ale trwa do końca. W pierwszej części „Samsona" zwraca uwagę swoiste obnażenie szkieletu konstrukcji powieściowej. Widzimy tu Polskę sanacyjną, składającą się — nie przesadzając — z około dziesiątka osób, które los ciągle ze sobą sprzęga i plącze. Każda z nich ma w ten sposób wymowę nieomal symboliczną. Wszystkie nici wiodą do Kalenia i do wszechmogącego generała Orszy. Tę alegoryczność, która koliduje z naszym poczuciem realizmu, potęguje zarówno swoista mitologizacja, której wyrazem są tytuły pierwszych trzech części cyklu, jak i swoisty aforystyczny styl Brandysa. Niekiedy formuły, w które pisarz zamyka ogólne prawdy o ludziach i epoce, są trafne i zwiększają wymowę opisywanych wydarzeń, gdzie indziej jednak rażą jako peryfrazy czysto zdobnicze, nadają stylowi Brandysa pewną niepotrzebną pretensjonalność. Posługiwanie się aforyzmami jest trudne i niebezpieczne. Zbyt blisko głębia sąsiaduje tu z mieliznę.

We wszystkich tomach Brandys stosuje niezbyt też moim zdaniem szczęśliwy i niezbyt potrzebny zwyczaj wiązania wydarzeń powieściowych z ogólnym tłem politycznym, przy pomocy przedzielającego tekst publicystycznego komentarza. Potrzeba takiego komentarza wynikła, jak sądzę, początkowo z poczucia pewnej bezradności autora wobec nie dość realistycznej konwencji powieściowej, w której ramach trudno było powiedzieć o otaczającym świecie to wszystko, co powiedzieć zdaniem autora należało. W dalszych tomach, w miarę wzbogacania powieści w elementy realistyczne, sens owych publicystycznych komentarzy staje się coraz bardziej wątpliwy. Razi sztuczny nieco sposób dozowania informacji o postaciach takich, jak Bór-Komorowski czy Mikołajczyk, o szabrze na ziemiach zachodnich, wojnie w Grecji czy Vietnamie na marginesie akcji powieściowej. Wydarzenia te i postaci można było pokazać w rozmowach bohaterów, związać w sposób naturalny z tokiem akcji. Gdyby na przykład występujący w czwartym tomie powieści robotnicy i działacze rozmawiali o tych wydarzeniach tak jak rozmawiają w rzeczywistości, i tak jak to

(Dokończenie na str. 10-ej)

*) W powieści jest odwrotnie: firanka przesłania Goldowi jego „żydowską" twarz, ale sens jest ten sam.

ANDRE WURMSER

OSKARŻAM ZDRAJCÓW*)

Proces wytoczony Jouvenelowi, autorowi „Międzynarodówki Zdrajców" i Wurmserowi, autorowi przedmowy do tej książki — to epizod znacznie szerszej sprawy — okupacji Francji przez USA.

Francja stanowi twardy orzech do zgryzienia dla robotów przyzwyczajonych do żucia lepkiej, nijakiej gumy do żucia. Kraj tradycji rewolucyjnych, kraj, w którym co czwarty przechodzień głosował w zeszłorocznych wyborach na Partię Komunistyczną, kraj Raymonde Dien i Henri Martina... Roboty nie rozumują inaczej niż w kategoriach dolarowych (100.000.000 dolarów na dywersje przeciw ZSRR i krajom demokracji ludowych!), roboty nie rozumieją Francji i dlatego w reżyserowaniu procesu w założeniu — prowokacji przeciw ZSRR i demokracjom ludowym—popełnili błąd, który sprawił, że oskarżeni w tym procesie przemienili się w — oskarżycieli.

Taki obrót rzeczy zdeterminował nie tylko sam przebieg procesu, ale przede wszystkim tło wydarzeń politycznych z nim równoległych. Proces toczy się bowiem w chwili, kiedy rząd Faure'a wzięty w kleszcze żądań Adenauera i szantażu Ameryki godzi się na odbudowę Wehrmachtu, a przez eleganckie, neonowe wielkie bulwary Paryża przechodzą tłumy manifestantów - robotników w beretach witane przyjaźnie nawet przez „kapeluszowych" drobno - mieszczańskich przechodniów.

Intelektualiści? Tutaj jest jeszcze gorzej dla USA. Nie udało się izolować grupy pisarzy i artystów komunistycznych. Nie udało się zastraszyć 5-ma kolejnymi (w przeciągu jednego tygodnia dokonanymi) zamachami bombowymi na księgarnie, czytelnie i lokale organizacji postępowych. Nie pomogło zniszczenie rzeźby Henri Martin na wystawie w Lyonie. Po faszystowskich bombach wybuchła jeszcze jedna, najmniej może spodziewana: „Action" ogłosiło wywiad z Jean Paul Sartrem, w którym Sartre pisze: „Wojna w Indochinach jest dla mnie wojną bezsensowną. To prawdziwa zbrodnia przeciw młodzieży naszego kraju — nie mówiąc już o tym, co przedstawia ona dla narodu indochińskiego..." Do szerokiej akcji protestacyjnej przeciw terrorowi policyjnemu, przeciw krępowaniu wolności twórczej, rozpoczętej przez KPF, przyłączają się pisarze i artyści skądinąd bardzo dalecy komunizmowi...

Przestraszony Jean Paul David, szef „Paix et Liberté", finansowanej z Ameryki organizacji propagandowej antykomunistycznej (w okresie okupacji administrator burdelu „Nur für Deutsche") wyjeżdża pospiesznie do Waszyngtonu na zaproszenie FBI. Ta dzisiejsza „konsultacja" szefa trockistowsko - amerykańskiej propagandy na terenie Francji z szefem służby wywiadowczej w Waszyngtonie, przypomina wczorajszą „konsultację", przeprowadzaną przez pułkownika Kowalewskiego z Canarisem w czasie wojny.

Płk. Kowalewski wytoczył Jouvenelowi proces o zniesławienie. Moralność szpiega jest specyficzna. Kowalewski potwierdził bowiem bohaterskim tonem na rozprawie sądowej i swoje kontakty z Canarisem, i swoje prohitlerowskie poglądy, sformułowane w wywiadzie udzielonym w roku 1947 „Voelkischer Beobachter". Można jeszcze porównać wystąpienie Kowalewskiego w czasie procesu z jego tłem politycznym, z planami remilitaryzacji Niemiec Zachodnich, a wniosek będzie prosty: proces został wyreżyserowany w Waszyngtonie. „Oskarżyciele" chwalą się więc na nim współpracą z hitleryzmem tak, jakby pisali życiorysy na użytek biur personalnych wywiadu amerykańskiego.

Przeliczyli się jednak. Liczyli, że Francja okupowana jest przez USA bez reszty. Nie wzięli tego pod uwagę, że policja potrafi wprawdzie oskarżać i więzić obrońców pokoju, nie potrafi jednak uwięzić myśli i uczuć żadnego narodu. Francja wrze. Pan Dianu i pan Kowalewski nie przewidzieli, że mogą sparzyć się na procesie, którego są „bohaterami". A sparzyli się boleśnie.

„Wychodząc z Pałacu Sprawiedliwości przez bramę, która otwiera się na wybrzeże des Orfevre, pierwsi przechodnie, których spostrzegłem, to byli G. I.-meni w mundurach koloru khaki, turyści najczęściej spotykani dziś w naszej stolicy. Pomyślałem wtedy o Dworcu Wschodnim, dokąd kierowałem swe kroki, podobnie jak każdego wieczoru, Dworcu, gdzie stworzono niedawno urząd „US Army Information and Warrants". Kilka lat wstecz to nazywało się Bahnhofsamt."

Tak zakończył swoje sprawozdanie z procesu „Międzynarodówki zdrajców" Regie Bergeron w „Les Lettres Françaises".

sk.

Od ćwierćwiecza, gdy piszę, i to nie mało, po raz drugi zostałem potraktowany jako oszczerca. W oczach wszystkich jest rzeczą oczywistą, że te dwa wypadki stanowią w istocie jeden, że ten dzisiejszy drugi proces jest w rzeczywistości jedynie powtórzeniem pierwszego: oto znowu znajdujemy się przed XVII sądem karnym, są tu ci sami adwokaci: Izard i Heiszmann z jednej, a Nordman i Matarasso z drugiej strony, ten sam oskarżony — a na ławie „oskarżycieli" w miejsce dezertera, którego karygodne zachowanie się upoważniło wszystkich uczciwych ludzi do surowego osądzania go, do wymierzenia mu słusznego i surowego potępienia — na miejscu Krawczenki zasiada 4 jego następców. Taka sama co wówczas reklama otacza obecną rozprawę. Ta sama propaganda wywołała ją. Ten sam reżyser prowadzi grę i wreszcie, chcąc czy nie chcąc, ta sama teza będzie tu broniona przez naszych przeciwników, a sprowadza się ona do tego, że zdrada jest czynem wysoce chwalebnym, że wszyscy ci, którzy zdradzili swój kraj, są obrońcami wolności.

Prasa międzynarodowa ujawniła, że Krawczenko, który utrzymywał jakoby „wybrał wolność", jest dziś właścicielem kopalni srebra w Peru. Prowadzi on — cytuję dziennik francuski, który bynajmniej nie zbliża się do moich poglądów — „życie wielkiego pana w pewnym hotelu w Limie". Krawczenko miał oświadczyć dziennikarzom: „Kontynuuję tylko w trochę inny sposób to, co rozpocząłem w ZSRR. Tam miałem do czynienia z kopalnią soli, a tutaj z kopalnią srebra". Pewien dziennik szwajcarski dodaje: „Krawczenko wielkodusznie omija małe różnice między swoim życiem robotnika w kopalni radzieckiej i życiem właściciela kopalni południowoamerykańskiej". Krawczenko zresztą jeszcze raz skłamał, gdyż nigdy nie pracował w kopalni radzieckiej i nie utrzymywał tego nawet w swojej książce. Te drobne różnice — jak ironicznie zauważa mój kolega — warte są podkreślenia: Krawczenko był niegdyś technikiem w kraju, w którym nikt nie posiada na własność kopalni, fabryki lub banku, w kraju, gdzie dawne kolonie carskie Azji Środkowej i Kaukazu, narody niegdyś tak samo ubogie jak dziś Egipt i Iran, są federacyjnymi republikami równymi innym republikom radzieckim. Krawczenko jest dziś obywatelem pewnego kraju. Nie mówię tu o Peru lecz o Stanach Zjednoczonych, których obywatelstwo zostało przyznane Krawczence specjalną ustawą za zasługi oddane rządowi amerykańskiemu. Claude Morgan i ja byliśmy postawieni przed sąd właśnie za zdemaskowanie tych usług dość osobliwego charakteru. Krawczenko jest zatem dziś obywatelem amerykańskim, a jednocześnie właścicielem peruwiańskiej kopalni srebra. Oznacza to, iż dzięki temu co nazwaliśmy zdradą, Krawczenko jest dziś człowiekiem ciągnącym olbrzymie zyski z pracy nieszczęsnych Indian. Krawczenko należy dziś do rasy panów, kolonizatorów, wyzyskiwaczy. Krawczenko jest w Peru tym, czym w Polsce lub w Rumunii byli finansiści angielscy lub francuscy, amerykańscy lub niemieccy, Krawczenko dzieli ich poglądy na sprawę upaństwowienia kopalń. Krawczenko w istocie wybrał wolność, wolność robienia interesów pozwalającą na nieograniczone działanie przeciw wolności ludów. Gdy pan Krawczenko zasiadał w tej sali z rewolwerem w kieszeni, czym się później sam chwalił — Claude Morgan był dyrektorem „Les Lettres Françaises", gdzie prowadziłem dział krytyki literackiej. Od tego czasu nasza sytuacja nie zmieniła się. Ani Claude Morgan, ani ja nie zyskaliśmy nic prócz obelg przy wykonywaniu pracy uważanej przez nas za prawdę. Straciliśmy nawet: trzy franki, trzy franki, które francuski wymiar sprawiedliwości uznał za słuszne przekazać przy pomocy pincetki panu Krawczence. Oddałem Krawczence trzy franki, aby mógł je wręczyć przewodniczącemu komisji badania działalności antyamerykańskiej. Tym razem jestem oskarżony o „zniesławienie" przez 5 osób, które rychło zredukowały się do liczby czterech, gdyż piąta uznała za rozważniejsze uniknięcie rozgłosu. Jestem oskarżony o zniesławienie przez cztery osoby, które zredukowały się rychło do trzech, gdyż czwarta uznała w ostatniej minucie, że ostrożniejsze będzie niedostarczanie okazji, aby o niej więcej mówiono. Jestem zatem oskarżony o zniesławienie przez te trzy osoby, które jak panowie widzicie, w tej chwili na ławie „oskarżycieli" zredukowały się do dwóch osób. Moneta zdrady szybko topnieje.

Jestem oskarżony o zniesławienie nie na skutek artykułu prasowego, lecz w związku z przedmową, o którą poprosił mnie mój przyjaciel Renaud de Jouvenel w związku z drugim wydaniem książki, której pierwsze wydanie nikomu nie wydało się „oszczercze".

Jestem oskarżony przez ludzi, których nawet nie wymieniłem z nazwiska. Jestem oskarżony za tekst, w którym wyłożyłem moje poglądy na problem zdrady, na problem degeneracji patriotyzmu w łonie pewnej kategorii społecznej, na cynizm okazywany dziś przez tych ludzi, którzy udawali patriotyzm za czasów Clemenceau, pacyfizm za czasów Brianda i poszanowanie dla ustroju innych państw za czasów Wilsona. Oto fakt nowy przynajmniej we Francji: wyrażanie pewnych opinii, wyłożenie pewnych myśli jest uważane za przestępstwo przez emigrantów, pragnących, abyście wy, panowie sędziowie — ograniczyli z kolei w naszym kraju swobodę wypowiadania się wyłącznie do afirmacji planów, będących według nas i według milionów Francuzów wytyczną polityki zdrady.

Chciałbym jak najobiektywniej omówić moją własną działalność. Od 20 lat prawie jestem dziennikarzem, i to dziennikarzem politycznym. Do mojego zawodu doprowadziły mnie moje przekonania. Atakowałem — niejednokrotnie gwałtownie — ludzi, których działalność uważałem za szkodliwą.

Pierwsi zdrajcy zostali przeze mnie zdemaskowani (co za zbieg okoliczności!) w piśmie kierowanym przez Renaud de Jouvenel — a nazywali się — Pierre Laval i Doriot. Potem wykazałem w licznych artykułach i w książce, iż prawa ręka gen. de Gaulle, pułkownik Passy jest oszustem. Pisałem — i znacie panowie sędziowie dokumenty, na których opierałem się, gdyż zostały one złożone w sądzie—że dzisiejszy podsekretarz stanu pan de Chevigne popełnił przestępstwo nakazując wbrew instrukcjom najwyższych władz sędziowskich — egzekucję głównego świadka w procesie deputowanych malgaskich na 3 dni przed rozpoczęciem rozprawy. Ani pan de Chevigne, ani pułkownik Passy nie próbowali mi odpowiedzieć.

Nie oskarżam lekkomyślnie obcych zdrajców, podobnie jak lekkomyślnie nie oskarżałem Lavala lub Doriota. Przedmowę napisałem tak samo sumiennie, jak moje artykuły i książki. Czyż zresztą pryncypałowie dzisiejszych moich oskarżycieli nie zostali publicznie skazani przez sądy ich krajów w obecności dziennikarzy obu kontynentów?

Gdy Renaud de Jouvenel okazał mi swoją przyjaźń prosząc o przedmowę, chodziło o to, aby drugie wydanie „Międzynarodówki zdrajców" mogło być rozsprzedawane w chwili, gdy Światowy Kongres Pokoju odbywał swoje obrady w Paryżu. Książka jest aktem pokoju, podobnie jak ten proces jest aktem wojny. My, a wraz z nami ponad połowa ludzkości uważała i uważa, iż rzeczą użyteczną i nieodzowną dla utrzymania pokoju jest demaskowanie zdrajców, szpiegów i agentów obcych państw, przygotowujących wojnę zaczepną pod płaszczykiem „wyzwoleńczej krucjaty".

Napisanie przedmowy do książki o takiej tematyce uważałem za zaszczyt. Znałem wówczas kilka demokracji ludowych. Dziś znam je wszystkie z wyjątkiem Albanii. Nie przejeżdżałem przez demokracje ludowe jak turysta, lecz mieszkałem tam w ciągu długich miesięcy i powracałem, aby z notatką z uprzedniej podróży w ręce móc zmierzyć postępy dokonane w dziedzinach, co prawda mało interesujących, moich „oskarżycieli", to znaczy postępy w budownictwie mieszkaniowym, w podniesieniu stopy życiowej, w rozwoju oświaty publicznej. Jeśli zajdzie potrzeba, inni opowiedzą tu jeszcze, jakie wzruszenie budzi niezmierny zbiorowy wysiłek nad przemienieniem przyrody i człowieka — wysiłek narodów zajętych wyłącznie pokojową pracą. Pragnę tylko podkreślić, że ja — a wraz ze mną więcej niż połowa ludzkości każdą nową odbudowaną w Warszawie ulicę, każdą nową fabrykę otwartą w Czechosłowacji, każdy nowy traktor na równinach węgierskich, nowy szyb naftowy w Rumunii, każdą nową szkołę otworzoną w Bułgarii i zdemaskowanie każdego nowego zdrajcy w Warszawie, Pradze lub Tiranie uważamy za osobiste zwycięstwo, za jeszcze jedną szansę dla pokoju.

Wiedziałem, co zdradzają zdrajcy, dziś wiem o tym jeszcze lepiej. Wiedziałem też oczywiście o istnieniu zdrajców nie tylko dlatego, iż sądy ich krajów wielu z nich zdemaskowały i skazały, lecz także dlatego, iż posiadam trochę wiadomości historycznych i trochę zdrowego rozsądku. Każda rewolucja społeczna wywołuje zdradę. Miałbym nawet pokusę powiedzieć, że zdrada to dowód realności rewolucji społecznej. Rewolucja 1789 roku doprowadziła szlachtę do przyłączenia się do armii Kondeusza. Rewolucja Październikowa sprawiła, iż generałowie carscy sprowadzili obcą inwazję na swój kraj.

Ta określona zdrada — zdrada klas dawniej uprzywilejowanych — jest wszędzie i zawsze podobna. Arystokraci francuscy w czasach pierwszej Republiki, arystokraci, obszarnicy i finansiści rosyjscy w czasach Rewolucji Październikowej, Czang Kai-szek w czasie rewolucji chińskiej, wszyscy oni szkalowali swoje kraje. Wszyscy przyjmowali zapłatę za rzucanie oszczerstw na swój kraj. „Tyrani — mówił Robespierre — zadowoleni ze śmiałości swych emisariuszy, skwapliwie wystawiali przed oczyma poddanych kupione przez siebie kreatury, udawali, że wierzą, jakoby był to naród francuski i mówili do tłumów: Co wygracie przez zrzucenie waszego jarzma? Widzicie przecież, że republikanie nie są warci więcej od nas".

Zastąpcie tyranów finansistami, Francuzów Rumunami i będziecie mieli wyjaśnienie tylu fałszywych wiadomości o demokracjach ludowych oraz wyjaśnienie tego procesu.

Wszyscy ci zdrajcy popychali klasy uprzywilejowane innych narodów do wojny przeciw swoim krajom. Emigranci francuscy nawoływali monarchów Europy do wojny przeciw republice francuskiej. Wielcy książęta i generałowie carscy podburzali 14 rządów interwencyjnych przeciw republice Sowietów. Czang Kai-szek podburza dziś swych wspólników - finansistów z Wall-Street przeciw Chińskiej Republice Ludowej

Renaud de Jouvenel i André Wurmser w czasie rozprawy

Dlaczegoż ludzie rządzący niegdyś w krajach, gdzie obecnie panuje ustrój demokracji ludowej, mieliby pozostać poza działaniem prawa historii, które głosi, iż każda klasa społeczna broni się przed wyrwaniem jej władzy lub próbuje odzyskać straconą już władzę przy pomocy zagranicznych sprzymierzeńców?

Przecież gdyby ludzie ci nie opierali się na zagranicy, to skąd otrzymaliby poparcie? Oczywiście we wszystkich demokracjach ludowych są ludzie posiadający zrozumiałe racje, aby nie lubić tego ustroju. Człowiek, którego zamek został przerobiony na sanatorium, nie jest zadowolony. To jest oczywiste. Obszarnik, którego niezmierne dobra podzielono między robotników rolnych, nie jest zadowolony. To jest oczywiste. O wiele przyjemniej też być właścicielem rentownej kamienicy czynszowej, aniżeli samemu płacić czynsz. Ilu ludzi jednak tęskni za starym światem? Garstka. Jaka jest ich siła? — kilku sabotażystów i kilku propagatorów fałszywych wiadomości. Ale czy można wyobrazić sobie tłumy rumuńskie lub polskie, manifestujące na placach publicznych z okrzykami: Chcemy powrotu fabrykantów! Niech żyją towarzystwa akcyjne! Chcemy trustów!

Czy człowiek zwalczający swój kraj dlatego, iż kraj ten dokonał kroku naprzód — jest patriotą? „Ojczyzna — mówił w 1793 emigrant hrabia d'Antregues — jest słowem pozbawionym sensu. Ojczyzna oznacza tylko całokształt praw, pod którymi się żyło. Miłość ojczyzny, gdy ojczyzna traci dawne prawa, zwyczaje i przyzwyczajenia, oznacza absurdalne bałwochwalstwo". Oto typowe pojmowanie ojczyzny przez klasy niegdyś uprzywilejowane. Co oznacza patriotyzm obojętny wobec losu narodu?

Pisałem: „Budujący i pouczający są ci zdrajcy, których zdrada datuje się od ich własnego wywłaszczenia". Czyż to nie oczywiste? Oto pułkownik Kowalewski, który należał nie tylko do służb szpiegowskich, ale i do tej kasty pułkowników, którzy Polskę doprowadzili do katastrofy. Znałem Polskę przedwojenną, Polskę ghetta i pogromów, Polskę straszliwej nędzy robotniczej i chłopskiej, Polskę milionów żebraków.

A oto pan Dianu, który był dyplomatą i reprezentował za granicą monarchię rumuńską tak bardzo skorumpowaną i okrytą skandalami. W chwili gdy pan Dianu pełnił swoje funkcje, obecny minister spraw zagranicznych Rumunii Anna Pauker była w więzieniu z kulą w nodze, kulą wystrzeloną przez policjanta już po jej aresztowaniu. Pan Dianu, który nigdy nie był niczym wielkim, i dziś nie jest niczym wielkim.

A oto pan Guemeto, niegdyś polityk, obecnie tylko sekretarz tej międzynarodowej organizacji, która odbyła niedawno w Londynie konferencję, po trosze tak jak na karnawale weneckim: wspólnie jedli kolację zdetronizowani królowie z „Candide".

Jednakże ja, panowie sędziowie, gdy myślę o Polsce, Rumunii i Bułgarii, nazwy ich nie przypominają mi ani pułkownika - szpiega, ani skończonego dyplomaty we fraku, ani polityka uciekającego przed wymiarem ludowej sprawiedliwości dzięki pomocy obcej ambasady. Widzę górników, chłopów, kustosza muzeum, kowala rolniczej spółdzielni produkcyjnej, ślusarza na wakacjach w dawnym pałacu, poetę, przewodniczącego spółdzielni i dzieci w żłobku, studentów w bibliotece, a trzeba przy tym wziąć pod uwagę, że żłobków i bibliotek o których mówię, nie widziałem często w czasie moich przedwojennych podróży do tych krajów...

Lecz właśnie to, co widzieliśmy naszymi oczyma daje miarę klasycznej zdrady uprzywilejowanych. Dlatego też pragniemy gorąco, aby powodowie i ich świadkowie zostali sprowadzeni do istoty sprawy, to jest do porównania między tym czym był ich kraj w czasach, kiedy w Polsce panowali pułkownicy, a w Rumunii Maniu i Bratiano, a tym czym stał się ich kraj — dzisiaj. Chcielibyśmy, panie przewodniczący, aby pan spytał powodów i ich świadków, do kogo należała rumuńska nafta, port w Gdyni i fabryka Skody. Dlaczego węgierska ruda i aluminium były eksportowane do Niemiec, a nie jak dzisiaj, przerabiane na Węgrzech? Chcielibyśmy, aby pan spytał ilu Polaków i Słowaków było co roku zmuszonych do emigracji na skutek straszliwej nędzy, którą znosili we własnym kraju? Ilu bezrobotnych liczyła Czechosłowacja w 1932, a ilu analfabetów Rumunia w 1944? Ilu kolejarzy i górników zostało zamordowanych przez policję rumuńską? Jeśli znajdą się francuscy świadkowie powodów, chcielibyśmy, panie przewodniczący, aby pan kazał im potwierdzić, iż procent synów robotników w bardzo uprzemysłowionym okręgu paryskim wynosi na wyższych uczelniach 5 proc., a że na wszystkich wyższych uczelniach Francji procent synów robotników przemysłowych i rolniczych nie sięga 3 proc. Natomiast nasi świadkowie opowiedzą, jaki jest rozwój kulturalny tych wszystkich narodów, na które zdrajcy śmią rzucać oszczerstwa. Rzeczą ważną jest bowiem los ludzi, a nie los zdrajców.

Próbuje się wszystkich środków, aby wywołać zapomnienie niewoli, w jakiej żyły te narody i aby zniekształcić i zatuszować prawdę o demokracjach ludowych i ZSRR. Zabrania się rozprzedawania we Francji czasopism i książek, nawet tygodników satyrycznych, odmawia się wiz cenzury wszystkim niemal filmom, a przede wszystkim filmom dokumentarnym, pokazującym wielkie roboty publiczne, nowe miasta... Jesteśmy zalewani fałszywymi nowinami. Zaledwie Anna Pauker znowu zdążyła popaść w niełaskę, a już opowiada się nam o morderstwie na Rokossowskim. Świadectwo tych, którzy widzieli prawdę i samą prawdę, trzeba za wszelką cenę utopić w powodzi oszczerstw. Taki jest jeden z motorów tego procesu.

W biuletynie Stowarzyszenia zwanego „Zieloną Międzynarodówką", którego generalnym sekretarzem jest jeden z obecnych tu — pan Guemeto Dimitrow — czytaliśmy:

„Opinia, jakoby było rzeczą możliwą uzyskanie od Sowietów zgody na uregulowanie międzynarodowych spraw i pokojowe współistnienie dwu ustrojów, jest tak niekompetentna, że aż śmieszna"... I jeszcze dalej: „Wszelkie uregulowanie tej sprawy na podstawie rokowań nie rozwiązuje niczego... Opinia publiczna w USA wyleczyła się z wiary w możliwość współistnienia." W czasie konferencji odbytej w Londynie w towarzystwie uczniów ucznia Hitlera — Mosleya (internowanego z tego powodu w czasie wojny) można było usłyszeć następujące zdania: „Opowiadamy się definitywnie za ustrojami narodowo-socjalistycznymi, które wypadnie ustanowić po wojnie...", po czym nieostrożny mówca poprawił się: „Chciałem powiedzieć *po wyzwoleniu* naszej części Europy". W wyniku tej konferencji pokojowe współistnienie dwóch ustrojów, między które dzieli się dzisiejszy świat, uznano za „niemożliwe".

Czy trzeba dzielić moje przekonania polityczne, aby zrozumieć, iż takie twierdzenia o „niemożliwości" pokojowego współistnienia, o tym, jakoby rokowania nie mogły niczego uregulować, oznacza po prostu, że wojna jest nieunikniona?

Pozwólcie mi, panowie, na krótkie porównanie. Na terytorium mego kraju — nikt nie może temu przeczyć — obozuje obca armia, korzystająca z praw armii okupacyjnej. O życiu gospodarczym mego kraju nie rozstrzyga się w Paryżu, lecz za granicą. Wysokość naszych kredytów wojskowych ustala kto inny, a eksportujemy to co pozwala się nam eksportować. Renaud de Jouvenel i ja należymy do tych, których ta sytuacja oburza. Przyjmijmy zatem panowie, że Renaud de Jouvenel i ja zwrócilibyśmy się do rządów podziwianych i szanowanych przez nas krajów z następującymi wywodami: „Niechaj wasza opinia publiczna wyleczy się z wiary w możliwość współistnienia! Rokowania niczego nie przynoszą i nie regulują. Opinia, jakoby USA mogły na podstawie międzynarodowych układów zgodzić się na współistnienie jest tak niekompetentna, że aż śmieszna. Opowiadamy się definitywnie za ustrojami socjalistycznymi, które trzeba będzie ustanowić po wojnie, przepraszam, po wyzwoleniu naszej części Europy".

Zbombardujcie Merignae, nasi polscy przyjaciele! Szybko! Jedną bombą atomową na Chateauroux, nasi bracia czechosłowaccy!". Otóż gdybyśmy rozumowali w ten sposób, bylibyśmy zdrajcami i zbrodniarzami wojennymi. Prawdą jest, iż niezależnie od naszych osobistych przekonań mamy inne „drobne" przyczyny, aby nie zwracać się w ten sposób do rządów demokracji ludowej. Wiem z góry, że nie wysłuchano by nas, że uważano by nas za zbrodniarzy wojennych i zdrajców.

Prawda jest bowiem jedna: po to, aby nasz kraj, nasza Francja, wznowiła swój pochód naprzód, po to, aby odzyskała ona swą niezawisłość polityczną i gospodarczą, musimy stawiać nie na wojnę lecz na pokój. Nie na napięcie międzynarodowe, lecz na odprężenie międzynarodowe.

Dlatego właśnie — powodowany pogardą dla zdrady i miłością dla pokoju napisałem moją przedmowę do książki o historycznym znaczeniu, jaką jest książka Jouvenela.

André Wurmser

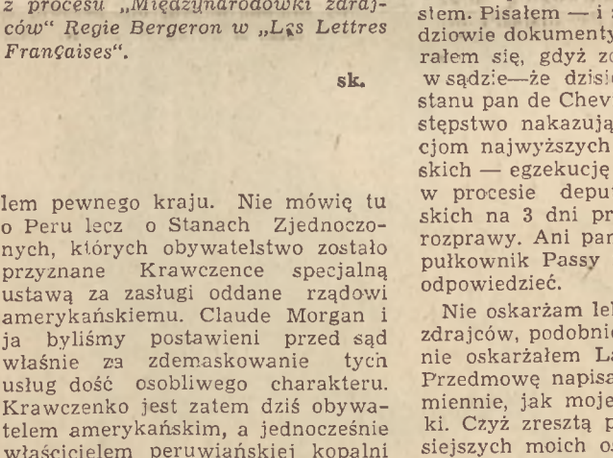

Francja okupowana przez wojska USA. Na zdjęciu — patrol żołnierzy amerykańskich w okolicach St. Etienne.

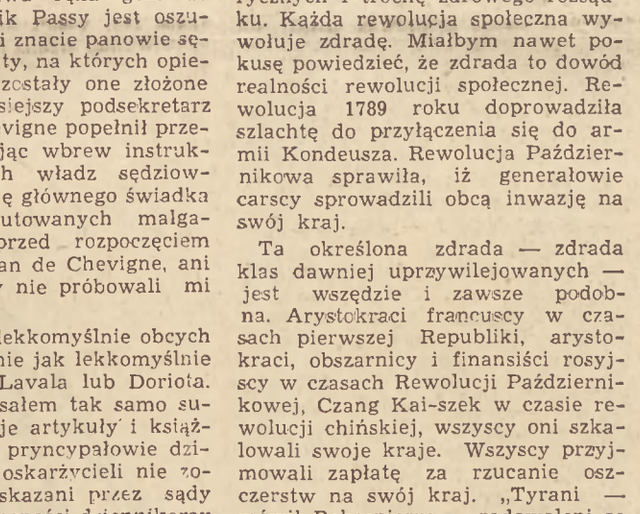

...i Francja okupowana przez własną burżuacje. Na zdjęciu — policja i agenci maltretują uczestnika demonstracji pokojowej.

*) Fragmenty z przemówienia wygłoszonego na procesie „Międzynarodówki Zdrajców".

STANISŁAW BROSZKIEWICZ

WIĘCEJ STALI...

A więc dzisiaj? — Głos Kuli drżał nieco. Inżynier Kopeć raz jeszcze zbliżył suwak do zmęczonych oczu.— Dziś. Pozostało nam do wykonania planu 134 tony...

— To jest... 4 wytopy — skomentował Kula.

— Aha, cztery. Na pewno cztery...

Inż. Kopeć i nadmistrz Kula spojrzeli sobie w oczy i uśmiechnęli się. Siedzący z drugiej strony biurka inż. Koss wstał, podszedł do okna i zaczął bębnić palcami po szybie. Myślał, że w ten sposób ukryje wzruszenie.

— O osiemnastej, co tam o osiemnastej! Siedemnasta trzydzieści — wpadł Kopeć w Kossowe bębnienie. — Wawro idzie szybkościowym?

— Tak jest...

— Tkaczyk?

— Przyśpieszonym.

— Kubica, Szołtysek?

— Tak samo...

Zapadło milczenie. Nagle Marciniak, sekretarz oddziałowy stalowni, zerwał się z krzesła i wybiegł z pokoju. — Towarzysze — zawołał stanąwszy na mostku ponad iskrzącą czeluścią zlewni — towarzysze — wołał, by przekrzyczeć wrący w martenach huk gazów i ciągły grzmotliwy trzask łuków elektrodowych.— Dzisiaj naszo stalownia wykonuje plan roczny! Jeszcze momy tylko 134 tony, towarzysze, mówił inżynier... Drugi... rok Planu 6-letniego!... Marciniak zakrztusił się gęstym, drażniącym pyłem pryskającym spod zwalanych na spong kapsli, zerwał więc czapkę z głowy i machał nią jak flagą...

Poruszyło się na oświetlonych purpurowo przedpolach pieców. Dostrzegli go. — Hurra! Wykrzyknął młody pomocnik od Wawry 20-letni Klaszczyk. Wściekłe dudnienie młotów pneumatycznych zagłuszyło odzew...

*

Ryszard Wawro nasunął na oczy niebieskie okulary i szybko przesunął w prawo dźwignię zaworu. Z wnętrza pieca buchnął wraz z oślepiającym blaskiem potężny trzask. Tak, teraz dopiero, przez szafirowe szkło widać zbałwanioną srebrzyście kipiel stali i bełcące ją seledynowe płomienie elektrod. Trzy ujarzmione pioruny serią straszliwych wyładowań biją w płynną ciężką masę.

— Czego się śmiejesz, co się stało Richard?

Ach, to Stefan Kajfasz, drugi wytapiacz. — Pewnie myśli, żem zgłupioł — przemknęło Wawrze przez myśl.

— Węgiel! Rzuca komendę. Klaszczyk i Szwejkowski silnymi wyrzutami ramion miotają miał w gardziel przeraźliwego światła. — Próba — dyktuje dalej Wawro. Kajfasz bierze ją ostrożnie z samego środka tańczącego pod gromami piekła. Ważna to próba, siódma przed spustem...

— Stefan, pytałeś z czego ja się śmieję?

— Aha, no właśnie...

— Bo widzisz... bo... dobrze jest żyć, nie?

Druga próba... pierwsza i ostatnia. Suwnicowy Bernard Trójca zawieszony w małej kabinie nad ziejącą ogniami przestrzenią steruje 30-tonową kadź pod szamotowe koryto, którym za chwilę...

Gong. — Spust! krzyczy jakoś chrapliwie Wawro. Kajfasz i Szwejkowski odskoczyli od nadrąbanej calizny dolomitu i cofając się, ciągle kłuli sztangami — celnie i szybko.

Inż. Kopeć patrzy na zegarek: 6 godzin, 30 minut. Wpija palce w ramię Wawry. — Wawro! Gratulu... Wawro! A niech cię najjaśniejszy szlag trafi!

Wawro kiwa głową, jakby niczego innego sobie nie życzył.

Gong wywalił z otworu pierwsze bryzgi iskier. Poszły wysoko, pod strop, niknąc w złotym dymie. I zaraz runęło — iskrzyście, szerokim, grzmotliwym strumieniem, piorąc gorącem po twarzach i rękach ludzi.

Piec-kolos pochyla się ku kadzi, rzekłbyś w ukłonie pełnym dostojnej kurtuazji. Wydycha z siebie żar, oddaje swą wrzącą krew...

Wawro przeciera czoło z potu i sadzy. Chłopcy dyszą ciężko z trudu i uniesienia. Dziś o godzinie 10.10 wykonali drugi rok 6-latki. Ale cała stalownia jeszcze nie. Za godzinę będzie spuszczał Tkaczyk, za półtorej godziny Kubica, o trzeciej Szołtysek i wreszcie o 17.30 znów Tkaczyk. I to będą ostatnie tony stali wyprodukowanej w planie na rok 1951.

Brygada Wawry rozpoczyna remont średni. Taki remont trwał dawniej 4 dni. A teraz trwa tylko dwie doby. Od maja. Bo gdzie jest plan napięty, tam muszą być napięte i harmonogram robót i organizacja pracy.

*

W stalowni szturm idzie na całego. Z pełnym rozmachem, zawzięcie, uparcie. A jednocześnie precyzyjnie i rozważnie. Idzie jak sprinter umiejący gospodarować oddechem i siłą mięśni. Idzie niepowstrzymany, zwycięski, coraz bliższy mety. W łoskocie pneumatycznych werbli, w grzmocie piorunowych salw, w zawierusze wyjącego gazu.

Spuścił już Tkaczyk, dokonał spustu Szołtysek. Już bierze ostatnie próby Kubica, a do Tkaczykowego pieca, którego obecna kampania jest pointą dnia i roku, walą się tony złomu, rudy, węgla, krzemu i wapnia.

Szybujący pod pułapem wsadowi przenoszą kadzie nad koliska cylindrów. W tych cylindrach zastyga ta właśnie świetna, szlachetna stal, ostatnia, jaką na ten rok przewidział Wielki Plan. Suwnicowy Bernard Trójca porozumiewa się z brygadzistami umówionymi znakami. Np. dwa palce w górę to znaczy: daj jeszcze jeden ładunek złomu. Kciuk w górę: stój z kadzią, kciuk w dół: stój ze wsadem. Albo dłoń na płask i cyfra pokazana na palcach znaczy: tyle a tyle stopni w lewo lub w prawo...

Bernard Trójca przenosi setki ton leciutkimi drgnięciami ręki zaciśniętej na sterze, nieznacznymi naciskami stopy na ster wysokości. Wygląda jak zahypnotyzowany. Ale to on hypnotyzuje 500-tonową suwnicę, że chodzi jak rower niosący Hadasika.

Bernard Trójca „jeździ" na suwnicy 20 lat. Ale od paru lat zaledwie czuje się w swej ciasnej kabinie jak człowiek współtworzący natchnioną robotę kolektywu. To jest jasne.

Pomyślicie: Phi, cóż to takiego jeździć sobie w kabinie i na dawane znaki przyciskać rękę lub nogę? Albo nawet i tak pomyślicie: No niech będzie, że to praca trudna i poniekąd odpowiedzialna. Ale jak Trójca może czuć się *współtwórcą*? Przecież robi, co mu każą...

Ho, ho... Tak może mówić ten, co jest w hutnictwie „gorolem". Przecież od Trójcy zależy w znacznej mierze szybkościowy wytop. Tym szybkościowym wytopom Trójca poświęcił całą swą maestrię sterowania, całą umiejętność wyczucia maszyny, całą pasję wykonania planów wsadów według napiętego harmonogramu. I Kubica odbierający wsad od Trójcy pokazuje mu dwie złożone dłonie. To znaczy: Fajna robota, Bernard, dzięki tobie możemy już topić. To znaczy także: Jesteś kochany chłop, Bernard, masz złote serce i złote ręce. I znaczy to jeszcze: Wygramy Bernard, wygramy bitwę o plan, pierona.

*

Błękitny obłok gazu szaleje nad zbałwanioną stalą jak orkan nad oceanem. Tkaczyk oblizuje zeschnięte wargi. Wypija kubek letniej kawy. Papieros.

Tkaczyk wie, że teraz trzeba dodać wapnia. Wiedział oczywiście i przy pierwszym dzisiejszym wytopie. A dzwonił do Kopecia ot tak tylko. Żeby pod pokrywką obojętnych na pozór słów wymienić rozsadzającą radość.

Już pozostałe piece skończyły robotę. Teraz wytapiają stal na rok przyszły. Tylko jeszcze Tkaczyk dopina plan. Taki zaszczyt przypadł mu w udziale...

Te jego, Tkaczyka 34 tony i... koniec. Koniec z planem. Tkaczyk goni ze swej platformy młodzików od Wawry, bo przybiegają co chwila spojrzeć przez szkła w czeluść pieca. Tkaczyk niby nie ma nic przeciwko temu, ale lubi porządek przy robocie. A te młodziaki jeszcze rzucają fachowe rady. Jemu, Tkaczykowi! No nie, nie można powiedzieć, znać, to się znają. I jeżeli Kopeć siedzący od 4 godzin murem przy Tkaczyku nic nie mówi...

Godzina 15.10. Stary wyjadacz stalowni Tkaczyk czuje jak ogarnia go niepokój. A nuż coś się stanie i kończący plan szybkościowy wytop przedłuży się? Tkaczyk wie, że to nonsens, ale przecież nie co dzień robi się plan roczny...

Idą próby. Kopeć odbiera je sam. Trochę zamieszania, bo cała brygada Tkaczykowa się ciśnie. Godzina 15.27, 15.28, 15.29 — jeszcze jeden rzut oka w głąb pieca na manometry i zawory, jeszcze raz na tablicę z wypisaną próbą i... gong! Zabrzmiał jakoś uroczyściej. Biegną tu wszyscy, cała załoga stalowni, otaczają wieńcem pomost... — Spuuust!!

Prysnęła dolomitowa ściana. Pierwsze tony stali uderzyły o dno kadzi. Jasnoczerwony blask niesamowicie pomalował twarze ludzkie.

6 godzin, 22 minuty. Tkaczyk czuje, że coś ściska go za gardło. Spluwa, nie pomaga. Oczy towarzyszy przywarły do ognistej rzeki i prowadzą ją pewnie i nieomylnie... Ostatnie bulgotliwe wytryski.

Ludzie stoją w ciszy. — No i co — odzywa się wreszcie Klaszczyk.

— A co ma być, trąby anielskie mają grać?

— No ja, to my już fertig — mówi Kubica. Patrzą wszyscy po sobie. Tak jakoś tkliwie, po babsku, no tak, jakby na przykład Kajfasz chciał powiedzieć Szołtyskowi — patrz Karlik jak ładnie to zrobiłeś...

Nie, nie było wiwatów ani oklasków. Jakoś to nie idzie: bić sobie brawo. Zresztą wielki patos dnia wypalił się w robocie. Więc teraz wystarczy, że to już koniec. Radosny i dumny. No ja...

— Ile damy ponad plan towarzysze? 5.000 ton, co inżynierze? Kopeć odczytał z suwaka. — Możemy dać i 5, ale trzeba będzie wykombinować nowy odpust dla żużla...

Ten i ów machnął ręką. Nie dlatego, że to bagatela, lecz dlatego, że się to samo przez się rozumie...

St. Broszkiewicz

(z pierwszych rozdziałów powieści p.t.: „Cyrk przyjechał")

MARIAN PROMIŃSKI

W C Y

Prince jest dzisiaj niespokojny. Na ruję za wcześnie, żarcie dostał wyśmienite, temperatura w miarę, insekty go nie gryzą, a jednak o mało nie zaczepił Władka przy sprzątaniu klatki. „Słowo daję, że łobuzowi przyświęcę, kiedy zechce mi pokazywać swoje fanaberie".

Jan Kossakowski stał w przejściu dla artystów i czekał na swój numer. Występował z lwami ostatni i w korytarzu pod orkiestrą nie było już nikogo i nic prócz niektórych rekwizytów poupychanych po programie: futerał na basetlę komików, traingle po numerze muzycznym, dwa nie uprzątnięte stoliki żonglera. Pod lakierami chrzęściło mu trochę heblowin, spojrzał na buciki i otrzepał je z pyłu. Na lewo w wylocie korytarza — noc, nieoświetlone pakowy, sterczące na horyzoncie jak graniaste sarkofagi i dalej parę perełek światła tam, gdzie biegła aleja poza obejściem cyrku. Bezmyślnie stanął przy tablicy z okólnikami i programem wypisanym na kartce pismem maszynowym: 1. Bambuk, 2. Persz, 3. Repryza — słomkowy kapelusz, 4. Żongler... — znał każdą literkę do obrzydzenia, stając tutaj codziennie przed występem. Szapito pełne, buczy jak chmara bąków na łące. Teraz Tarzan robi na sztrabatach blansz przedni, słychać to po akcencie oklasków; zamarło — teraz trick ze spadaniem. Burza! No, dojeżdżamy do końca. Jan przełożył bicz do prawej dłoni i wetknął trzonek pod mankiet, nie władał dobrze tą ręką, ale wchodząc na arenę lubił dwa-trzy razy strzelić z prawej. Muzyka do schodzenia po drabinie sznurowej i rozsypane oklaski. Wzmożone oklaski: kłania się, stanąwszy na ziemi. Powraca dwa razy. Koniec. Kotarę rozerwał nagi, spocony, muskularny młodzieniec z przepaską lamparciej skóry na biodrach i nie spojrzawszy wybiegł w ciemność na zewnątrz namiotu. Z boku spoza pakowy z rowerami ukazała się w białym fraku Jolanta, pełniąca zastępczo funkcję konferansjerki, i powłóczystym, pięknym krokiem szła zapowiedzieć pogromcę.

— Jak, Jan? — spytała w przejściu.

— Prince niespokojny.

— Wiem. Skrócisz numer?

— Nie.

Jolanta zniknęła za kotarą. Słyszał jej głos. Powracając, znowu zatrzymała się przy nim.

— Ognia cię poproszę. — Wyjęła spod fularu w kieszonce papierosa z ustnikiem i zbliżyła się do niego utuszowanymi i przyprawionymi rzęsami. Obfite smugi różowej szminki — z bliska — nie wystarczały już, by pokryć jej zmęczenie i senność. Powieki i białka miała zaognione. Teraz rozległo się kilka głuchych, dudniących pomruków. Władek przepędza lwy do przedziałki przy tunelu.

— Kseni lepiej? — zapytał z kolei Kossakowski.

— Lepiej. Czuwałam przy niej całą ubiegłą noc. Już drugą. Ale chwała Bogu, to nie dyfteryt, gardło ma czyste. Z nóg lecę. Dobranoc, Jan. — Zawróciła i z bladym uśmiechem pokazała mu ściśniętą pięść z kciukiem zwróconym ku ziemi — „pereat" — co było między nimi umówionym znakiem i zabobonem — na powodzenie. — Dobranoc, Jan.

— Dobranoc, Jola.

Obciągnął na sobie czarny garnitur i stanął przy szlicu kotary. Orkiestra grała już „Egipską pszenicę". Wchodził przy piątym takcie.

Publiczność wydała mu się dzisiaj wesoła. Stanąwszy w obrębie kraty i chyląc czoło przed reflektorami, zatoczył wzrokiem półkrąg po balaskach, przez które sypały się wieńcem głowy widzów w nieprzeliczonych setkach i ruchome ręce przy oklaskach. Zauważył, że jedna kwatera jest umieszczona krzywo na spojeniu i zdublowana z sąsiednią, przez co krąg zmniejszył się, choć niepozornie, ale to mogło mieć znaczenie przy pracy. Sprawdził rozstawienie postumentów i ułożył sobie bicz na piasku. Portierzy wiązali za nim bramkę konopną liną i w orkiestrze skończyła się introdukcja. Wzniósłszy rękę leniwie strzelił — raz, dwa razy z bicza i obrócił się ku wylotowi tunelu. Płowy grzbiet Berty przeświecał już między zielonymi prętami w miejscu niewidocznym dla publiczności pod uchylonym brezentem bocznej ściany namiotu. Za Bertą sunęła płynnie w takt muzyki młodsza Carmagnola, zwana krótko: Carmen. Najpierw jedną, a potem drugą odprowadził końcem bicza — nie dopuszczając na środek — do ich postumentów po bokach i pousadzał dość sprawnie i prędko. Ich pięknie utuczone cielska i połyskliwa, żywa sierść sprawiały mu radość. Kocie, ale szlachetnie wydłużone łby obu samic zwróciły się ku niemu z wysokości postumentów roztropnie i w wyczekiwaniu. Jan upewniwszy się, że nie mają zamiaru zeskoczyć, strzelił trzeci raz na Prince'a. Lew toczył się długo w tunelu, jak nadciągająca chmura, by stanąć wreszcie u wejścia na arenę ze sztywno uniesionym karkiem i z brunatną brodą wypełniającą cały otwór. Parę żółtych ślepi blado wlepił przed siebie. Jan poczuł na sobie ich wąskie szczeliny źrenic i stwierdził, że ma kontakt.

— Dobra, Prince — strzelił z bata — na miejsce. — Prince ruszył powoli drogą przez środek i mijając pogromcę na odległość bicza, zatrzymał się na trzech łapach. Prawą przednią machnął dwa razy w jego kierunku i pokazał nadkruszony dolny kieł. — Dobra, dobra, Prince. — Lew był przyuczony do okazywania pewnej agresywności, więc w porządku, ale przedtem jeszcze drgnęły mu nozdrza zarysowane w lirę i to był poniekąd nadprogram. Jan cofnął się do środkowego postumentu i zastukał trzonkiem bata w jego denko, wzywając Prince'a do skoku. Prince stał nieruchomo i nie dawał się namówić. Wytworzyła się sytuacja prawie komiczna i coś należało przedsięwziąć. Pomyślała już o tym Carmen, to chyląc się, by zleźć na piasek, to na przemian próbując miękko dosięgnąć Jana łapą w kark. Odwrócił do niej trzonek bicza i zatrzymał łatwo: — Nie rusz, Carmen. — Zrezygnowała z wdziękiem, pokazując mało ruchomym pyskiem, że to w ogóle nie było pomyślane na serio. Ale Prince tkwił wciąż nieporuszony, jak swój własny posąg Sekundy mijały i nieprzyjemny szmer zdziwienia potoczył się po rzędach. Jan zaszedł lwa od lędźwi i wielkim wysiłkiem wolí zdołał go ruszyć z miejsca. Samiec poskoczył żywiej, ale w pół drogi wygiął się do niego przodem i wykonał krótki, błyskawiczny ruch, który Jan stłumił rozwartą dłonią, nie cofając się więcej niż na pół kroku. Nie słyszał już teraz widowni. Podszedł do postumentu i zastukał znowu. — Hop, hop, Prince, hop. — Zwierz uniósł się ciężko do skoku, jakby ważył co najmniej dwie tony i zaraz zaripostował gest pogromcy. Sadowiąc się na podeście naparł zadem na kraty, tak że poruszyły się w krąg i publiczność przyjęła to szmerem obawy i potem lekkimi przyjaznymi brawami, kiedy niebezpieczeństwo okazało się iluzoryczne. Jan szybko porwał jeden z przewróconych podestów spod ściany i wprawnymi ruchami ustawił go przed samcem w odległości niespełna dwóch metrów, posługując się więcej lewą niż prawą ręką. Diabli nadali taką robotę. Nie dość, że Luiza, najlepsza z

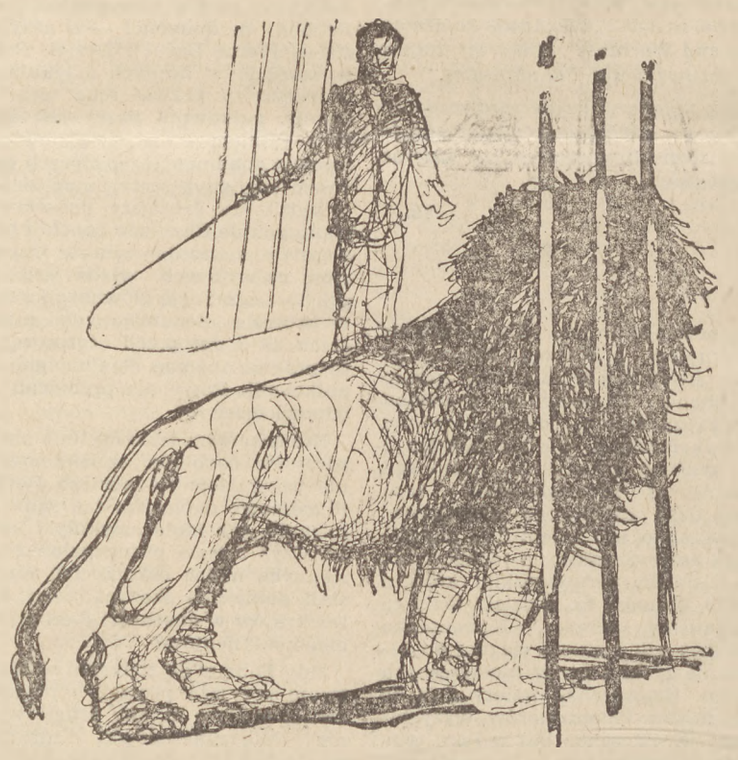

czwórki, ale za ostra, nie nadaje się teraz do tresury, to jeszcze ten łobuz zaczyna pokazywać swoje fochy. Z dwiema młodymi samicami nie będzie już wcale numeru. Czuł, że go czeka dzisiaj mordęga, skoro tak się zaczęło. Zapukał w podest. — Prince. — Zapukał jeszcze raz. — Prince. — Samiec nie patrzył na niego, wzrok skierował wysoko, w orkiestrę. „Udaje, że mnie nie widzi. Och, ty draniu". Jan nie bił, kochał swoje zwierzęta, ale w tej chwili pożałował, że nie wziął krótszego bicza. Mniej trzasku, ale większy efekt. Także lwice zaczęły mu się kręcić na podestach. — Prince! — No, nareszcie. Zdecydował się przerzucić przednie łapy na drugi postument, tworząc z siebie jakby przęsło mostu. Posłuszeństwo powetował sobie kilkoma kłapnięciami paszczy. — Możesz demonstrować, mam cię w nosie — pomyślał Jan, przygotowując pośpiesznie inne postumenty dla Berty i Carmagnoli. Skłonił się krótko w podzięce za brawa i zmierzał do następnego tricku, starając się sztucznie stworzyć tempo, ale nie szło to, naprawdę nie szło; krople potu swędziały go w bruzdach przy kącikach ust.

Zbliżał się trick końcowy. Z jednej strony zgrupował trzy postumenty; dwa niższe, na których stały Berta i Carmagnola tylnymi łapami, i jeden wyższy pośrodku, na którym wspierały się przodem. Koło nich na wyższej platformie pozostawał niespełna metr kwadratowy przestrzeni. Prince stał w znacznej odległości od nich na tak wąskim kwadracie, że cztery łapy miał pod sobą jak związane. Z tego miejsca musiał wykonać skok długości trzy i pół metra na małą platformę obok samic — dość zręcznie, by nie obalić całej grupy. Dodatkowo woltą w tej sytuacji niemiły jest ten moment, kiedy zostaje się wobec drapieżnika bez tej ostatniej i jedynej broni, ale Jan wykonywał ów gest zawsze z nonszalancją, Carmen miała w sobie jeszcze coś szczenięcego i jej nie bał się wcale.

Jan minął korytarz, zanim hurmem po schodach spadli tam orkiestranci, i znalazł się w polu. Chciał pójść do lwów, ale tylko z daleka obejrzał sobie tego drania Prince'a — klatki były oświetlone i krzątał się przy nich Władek, półnagi i w drelichowych portkach. Obejrzał go sobie... i z nijakim uczuciem skręcił w drugą stronę, do swego wozu.

Wspiąwszy się na schodki pchnął drugie okienko w wozie, żeby był przewiew, pospędzał muchy z sera ułożonego na talerzu na stole, zdjął marynarkę, cisnął na łóżko i usiadł głęboko w fotelu. Żarówka świeciła niezbyt jasno. Przez dobrą chwilę nie mógł pozbierać myśli. Z oddali szumiał tłum opuszczający gwarnie szapito. W drzwiach zjawił się Władek i zasłaniając swoim potężnym, opalonym torsem całe wejście, zapytał od progu, czy ma obrać kartofle na kolację.

— Kartofle? Jak chcesz...

— To ja, proszę pana, obiorę.

— Obierz.

Władek wziął dwie miski, do jednej nalał wody, do drugiej usypał ziemniaków z papierowej torby i z kozikiem w ręku uśmiechał się i wiercił przy swojej czynności, pokazując dwa spróchniałe, szeroko rozstawione pniaki w młodej gębie. Chciał się odezwać:

— Panie Janku, coś mnie się zdaje, że Prince czuje miętę do Luizy.

Jan obudził się — Prince? Dał mi dzisiaj łobuz szkołę.

Powiedział o nim „łobuz", to znaczy, że gniew w nim pomału ostygał i że dzisiejszy występ Prince'a pozostaje w granicach normalnej krnąbrności.

— Dwa razy miałem z nim taką przeprawę, że nie daj Boże! Coś takiego zauważył?

— No co, wiadomo! I ona, Luiza, bardzo potulna. Bertę i Carmen pędzi od siebie — skurczybyk! Ja bym radził dać z nim na razie spokój.

— Kiedy trzeba, Władek, przynajmniej jakiś czas... Stanowimy najlepszy numer. A jak długo tu jesteśmy? Sześć dni. Jeszcze tydzień i potem zrobimy przerwę. Jemu się na razie tylko coś przywidziało, to samo miałem z nim w Duisburgu.

Władek jeździł z Kossakowskim dopiero dwa lata i cały okres tournée po Niemczech był dla niego niejasną plamą, pogmatwaną i w mapie i w czasie.

Na tym urwała się na razie rozmowa, bo do wozu wsadziła głowę, ściągając szlafrok na piersi, Mroczkowa, żona flecisty. Chciała zapytać, która godzina.

— Za dwadzieścia jedenasta. Niech pani wejdzie.

— Kiedy nie mam czasu, panie Kossakowski. Szyjemy nowe kostiumy dla tych gerlasek Haliny, z tafty. Mają być na środę. Przepraszam, że ja tak przeskakuję: czy baba ze śmietaną była u pana dzisiaj, bo do mnie nie zaszła?

— Była? — spytał Władka.

— Była, ale nie wziąłem, bo ona nosi skisłą.

Kiedy Mroczkowa wspomniała numer baletowy, Jan pomyślał, że dobrze by było, żeby Zosia zajrzała do niego, jeszcze nie za późno, może jeszcze przyjść. Władek mu trochę przeszkadzał, trzeba by go gdzieś wyprawić.

— Pędzę — powiedziała Mroczkowa. Mięso zaczęło skwierczeć puszczając wodę, a Jan tymczasem uchyliwszy firanki wsparł się na futrynie okiennej od strony alei. Pachniało stamtąd — chociaż z daleka — lipami, ludzie chodzili w grupach i pojedynczo, czasem przemknął samochód i wówczas asfalt świecił sino pod latarniami. Ładnie. „Po co ja nadstawiam karku — zadumał się — taki sam sukces ma Chamroń, i akrobaci, i Halina, i żongler. Trzydzieści cztery lata — ładny wiek dla pogromcy. Statystyka mówi, że jeszcze sześć latek... Et bzdury..."

*

Dyrektor Adam Bartłomiejczyk owdowiał przed piętnastu laty i nie ożenił się powtórnie, syna miał gdzieś w świecie i prawie z nim nie korespondował, żył sam i było mu z tym względnie dobrze. Rozmaicie mówiono o jego kwalifikacjach zawodowych, zwłaszcza wówczas, gdy ktoś pokrzywdzony — a takich nigdy nie brak — chciał udowodnić w gronie kolegów, że Bartłomiejczyk nie rozumie artystów. Dawniej, bardzo dawno, bo prawie przed dwudziestu laty, Bartłomiejczyk rzeczywiście z cyrkiem ani w ogóle z publicznymi produkcjami nie miał nic wspólnego, gdyż był księgowym w jakimś małym, prywatnym banczku. Kryzys w 1932 r. dotknął i jego i wysadził po cichu ze stołka w kantorze, pogrążając na dwa lata bezmała w bezimiennej rzeszy bezrobotnych. Po tym czasie można było powrócić do zawodu i gdzieś się przyczepić, ale Bartłomiejczyk nie powrócił, miał w ręku drugi fach, dotąd lekceważony i uprawiany z uśmiechem zakłopotania. W owym okresie mianowicie sprzed 32-go, kiedy nie brakowało mu nigdy na butelkę porteru z tłustą przekąską i na partię bilardu o zakład, popisywał się wśród znajomych sztuczkami karcianymi i na małych przyborach, jak pieniądz i naparstek, potargane serwetki bibułkowe i nieprzezroczysty kubek, itp., zdobywając powszechny aplauz. — Masz złote ręce — wmawiała mu jego kompania — i tym byś więcej zarobił, niż ślęczeniem nad saldo-conti.

Mieli, jak się okazało, słuszność. W czasie chudych lat 1932 — 1934 były księgowy coraz częściej przysiadał się do obcych stolików w obcych lokalach, zwłaszcza tam, gdzie w towarzystwie mężczyzn znajdowały się rozgrymaszone i wymagające panie, i z łatwością zarabiał swoim popisem na kolację dla siebie oraz na pakiecik wędlin i pakiecik ciastek dla chorowitej żony i jedenastoletniego synka. Widząc powodzenie i tędy jedyną drogę wyjścia z rozpaczy, rozszerzył swój repertuar, pokumał się z zawodowcami i pewnego dnia wystąpił na osobności — przed gospodarzem prowincjonalnego kabaretu — jako iluzjonista. Powiodło mu się od razu i odtąd Adam Bartłomiejczyk żył w ciągłych rozjazdach od jednego do drugiego nocnego lokalu czy teatrzyku rozmaitości, ścigany nieubłaganym terminarzem biur pośrednictwa.

W miarę upływu lat Bartłomiejczyk łysiał, tył i nabierał humoru. Sam mówił o sobie, że żyje z gapiowatości ludzi i niezdrowej ciekawości, a takiego u nich zażywa szacunku, jak gdyby był kieszonkowcem na urlopie. Wymyślał burżujom ile wlezie, co mu zjednało rozgłos bardzo radykalnego. Bar-

Ilustrował SAMUEL MIKLASZEWSKI

R K U

Bartłomiejczyk był czynny w związku zawodowym, raz miał nawet ostry zatarg z policją, w czasie wojny otarł się o obóz, ale na krótko i oględnie, wychodząc bez szwanku poniesionego na zdrowiu. Przy obdziale stanowisk zawodowych w młodym państwie dostało mu się miejsce kierownicze. Ale cóż z tego? Bartłomiejczyk był niepoważny. To znaczy: był poważny na oko, dzisiaj reprezentował typ dobrze utrzymanego mężczyzny po pięćdziesiątce, z brzuszkiem, z pełną twarzą i z szerokim, szpakowatym, równo przyciętym wąsem. Tegi był z niego administrator-finansista dzięki przebiegłości przypomnianej z kantorku bankowego, ale i z tym razem był niepoważny. Mówiło się, że jest za dobry, albo trochę gorzej — jest miękki i stronniczy, nie umie utrzymać ludzi w ryzach i być sprawiedliwym. I rzeczywiście trudno było takiemu zadaniu sprostać, kiedy się miało obyczaje właśnie Bartłomiejczyka.

Buchalter Orełko np. nigdy nie brał reszty przy jakiejś wymianie monetarnej między nimi dwoma wprost z rąk dyrektora. Wiedział, że go niechybnie czeka jakiś kawał. Kazał sobie odliczyć na stół i długo patrzył, nie dotykając palcami, ile tam jest banknotów i bilonu. Ale i tak najczęściej na kwadrans przynajmniej bywał oszukany. Głowił się obliczając kasę, ślinił ołówek, drapał się w brodę, którą nosił szeroką jak łopatę, by zakończyć swoje zmartwienie okrzykiem: — A niech cię szlag trafi, Adam! — bo właśnie w tej chwili Bartłomiejczyk bez uśmiechu podtykał mu brakującą kwotę i szedł do swoich czynności. Można by powiedzieć, że dyrektor Bartłomiejczyk ma silnie rozwinięty zmysł humoru. Niestety używał go swemu otoczeniu nazbyt bez zastanowienia. Jeśli z równie niefrasobliwą miną potrafił wyciągnąć jajko z włosów lub z ucha siedemnastoletniego uniformisty zamiatającego arenę, i chłopak rechotał się ze sztuczki i niemal klepał dyrektora po brzuchu, to takim zachowaniem się starsi artyści nie byli zbudowani. Podnosiły się głosy, że w ten sposób zarabia sobie na popularność — czerwony dyrektor — faworyzuje dół kosztem góry w układzie społecznym cyrku. W istocie pobudki działania u Bartłomiejczyka były prostsze — zgodnie ze swoim zewnętrznym nastawieniem patrzył na świat trochę jak na panoptikum — z jednym okiem dowcipnie przymrużonym. Ten człowiek, którego produkcje na estradzie stały podobno na średnim poziomie, w życiu chciał być i był prawdziwym iluzjonistą.

*

Dyrektor Bartłomiejczyk - iluzjonista stał na środku areny i pukając stopą w podłogę, popędzał opieszałych do zajmowania miejsc w kilku rzędach ustawionych przed nim krzeseł. — Siadać, siadać, koledzy, co za interesy na bokach, skoro się mówi o pierwszej, zatem o pierwszej. — Jego zdawkowa niecierpliwość nie przyśpieszała jednak ani o sekundę uporządkowania tej zaimprowizowanej sali obrad. Balet Haliny Zasławskiej — nie w komplecie — miał jakiś wesoły interview na trocinach poza kręgiem podłogi, chłopcy skriskiego częściowo stojąc, a częściowo siedząc w ostatnim rzędzie, zgrzani od niedawnego kopania, bawili się piłką z wypuszczonym powietrzem, a tylko tu i ówdzie siadał w pojedynkę jakiś „numer" spośród starszych artystów z miną już przygotowaną do słuchania. Szantroch, kaskader Białko; Wiesia Winczewska wpadła jak raca świecąca szminką i przycupnęła na pierwszym z brzegu krześle z miną uczennicy, która spóźniła się na lekcję i udaje, że jest tam już od dawna. Z grupy Mańkowskich tylko stary chłopczyk Norbert pałętał nóżkami w pierwszym rzędzie i poważnie oglądał dach i niebieskie szpary w płótnie. Woltyż i palot — Goreccy, zwani tak po swoim nauczycielu, nadciągali po jednym, po dwoje, a bokiem usadowiła się orkiestra, służba i stajenni. — Jest nas około stu osób — wołał z wesołą przyganą Bartłomiejczyk — osiemdziesiąt chciałbym tu widzieć na maneży, a tymczasem pfff... — rozłożył ręce. Uniformista Michaś, ten najmłodszy, z krętymi włosami, z których tak zgrabnie wyskakiwało jajko, nadbiegł od tyłu i zaanonsował, że reszta już idzie — „wszyscy w majtkach, panie dyrektorze, takie gorąco". — Dobrze. Usiądź sobie, Michaś, już więcej nie biegaj. — Śmiech. — Cisza tam! Wiem, czym was zachęcę — ciągnął Bartłomiejczyk, ubawiony, skrzywiając pół wąsa — poczta, panie i panowie, poczta tu u mnie na stole — przycisnął palcem stosik rozmaitych listów.

Zbiegli się — i ci, co odszukali swoje nazwiska, rozrywali koperty na poczekaniu. Czytając, niekiedy natrafiali na treść, nadającą się do zakomunikowania publicznie. Z niektórych listów wypadały fotografie przyjaciół i przyjaciółek, z którymi pracowało się niegdyś we wspólnym programie. Te same twarze, ale dojrzalsze, albo postarzałe o rok, o dwa; inne ubiory i obok blisko inni znajomi, przyjaciele, koledzy. — Patrzcie, patrzcie, teraz on z nią — albo ona z nim. — Zainteresowanie, ciekawość, czasem wesołość lub szorstki śmiech i chwila gorzkiej zadumy. Płynie przez kraj i czas ta niezwykła marynarka, flotylla dziesięciu cyrków, i pozdrawia się z miasta do miasta.

Bartłomiejczyk posadził przy stole obok siebie Orełkę i przewodniczącego rady zakładowej, starszego stawiacza Sobalę, po czym przystąpił do wyjaśnienia — jaki miał cel w zwołaniu dzisiejszego zebrania. Nie jest to zwyczajna narada produkcyjna, choć na porządku dziennym będzie kilka spraw bieżących — sprawa dyscypliny, wykonania planu finansowego, i zatargów osobistych między niektórymi kolegami... Wypowiadając te ostatnie słowa spojrzał na twarz Chamronia i Kossakowskiego w rozbieżnych kątach, obydwie bez wyrazu, nie zachęcające, i dokończył uwagą, że ten punkt będzie rozpatrywany szerzej w ściślejszym gronie. Najważniejszą nowością jednak jest próba wprowadzenia do ich zebrań momentu politycznego i ideologicznego w formie pogadanek i dyskusji. Odtąd też co tydzień będzie odczytywana rubryczka pt. „przegląd prasy", którą tym razem on sam

opracował, ale na przyszłość poprosi do współpracy co młodszych i bardziej wyrobionych kolegów. Omawiając aktualne wydarzenia w świecie i w kraju artyści i pozostały personel będą mieli sposobność odejść od zagadnień ściśle zawodowych, rozszerzyć swoję horyzonty i zainteresowania, oraz pogłębić swoją świadomość społeczną i polityczną. Będzie to niewątpliwie z korzyścią dla nich samych, jak i dla sprawy — chciał już powiedzieć — dla sprawy pokoju — tak mu te słowa płynęły gładko, składnie i bezosobowo, ale zorientował się w porę, że zjawiska te są cokolwiek niewspółmierne, więc skręcił jakoś i zakończył, że cyrk nie może być odosobnioną wyspą, do której nie docierają głosy ze świata.

Nie był on najlepszym człowiekiem do prowadzenia tego rodzaju roboty. Co drugi widział w lekkiej gestykulacji towarzyszącej słowom dyrektora chęć wyczarowania jajka z powietrza, co samo przez się nie byłoby niczym karygodnym, gdyby w tym człowieku poza osłoną ze słów pozostawało coś więcej niż dusza emeryta ideowego. Sam o sobie mawiał w przystępie szczerości, że on już swoje dla sprawy zrobił we właściwym czasie, a teraz niech ciągną inni. Bartłomiejczyk młodniał z wiekiem, to znaczy: spoza jego nomimalnego czy nawet rzeczywistego doświadczenia wyzierało coraz natarczywiej i bez osłonek zamiłowanie do pustej zabawy. A teraz te słowa... Zakończył okrągło, z wdziękiem, że dla urozmaicenia poranku uprosił koleżankę Hannerle i kolegę Macika (z Goreckich) do recytowania wierszy Majakowskiego i Broniewskiego. Obecnie prosi o zabieranie głosu w sprawie przedstawionego projektu. Mówił trudno, w sposób dostępny co najwyżej dla połowy zebranych. Kiedy przerwał i rozejrzał się wesoło, maneż pogrążoną w upale zaległo solenne milczenie.

Młodsi oglądali się na starszych, starsi na młodych i przez dłuższą chwilę nie dało się nic z tego audytorium wyciągnąć poza czyimś zdawkowym sądem, że myśl jest dobra, owszem, ale trudno na razie dyskutować, wpierw trzeba zobaczyć, jaki przebieg będzie miało to pierwsze zebranie. Wówczas poważnie i z namysłem poprosił o głos stawiacz Sobala, który czuł się przedstawicielem pracowników fizycznych i milczał dotąd powściągliwie, czekając aż się wypowiedzą artyści, ale ponieważ na to się nie zanosiło, a nikt z jego ludzi na pewno nie odezwie się pierwszy, spróbował wesprzeć dyrektora.

— Towarzysze i obywatele — powiedział, pukając palcem w stół prezydialny, który był rekwizytem kaskadiera Białki — rzecz jest prosta. Czytacie przecież wszyscy gazety, na świecie dużo się dzieje, czasy są, co tu gadać, gorące, każdy sobie coś pomyśli czytając taki jeden czy drugi artykuł albo wiadomość, ale nie ma o tym komu powiedzieć. W domu do swoich nie zawsze ma ochotę i nie zawsze na to pora. Więc zdusi to w sobie i zapomni. Nie ma z tego korzyści... to z tym tak samo, i od drugiego się więcej człowiek nie dowie w tej materii, bo wśród kolegów prędzej się gada o fachu, gdzie co trzeba przybić i przyłatać, albo jakie tam salto i tak dalej. Otóż tu będzie miejsce i czas, na „prasówkach", aby pogadać sobie o tych rzeczach, które wprost człowiekowi chleba do gęby nie dają, ale są pożyteczne i pouczające, jak to się mówi — mobilizują.

Dostał brawo, i zaraz wstał na to przyjemnie wyglądający chłopiec z grupy Goreckich, Stanisław Macik, ten, który miał recytować Majakowskiego, i podniósł z uznaniem słowa Sobali dotyczące zadania tych prasówek, ale co do pierwszego punktu jego przemówienia nie mógłby się zgodzić. Z czytaniem gazet wcale nie jest tak dobrze, jak to sobie niektórzy wyobrażają. Przeciwnie, on na podstawie rozmów z młodymi kolegami może powiedzieć, że tych gazet albo się wcale nie czyta, albo czyta się źle — po łebkach, po tytułach tylko, i nie sądzi, żeby wśród starszych artystów sprawa przedstawiała się lepiej. Każdy jest zagoniony pracą, albo sam się tylko w taką nerwowość wpędza nawet wówczas, gdy mógłby sobie uszczknąć godzinkę lub więcej na lekturę. Dlatego tym większe będzie znaczenie takiego zredagowanego już przeglądu prasy, który niewprawnym część trudu odejmie, a na przyszłość nauczy należytego czytania. — Przemówienie szło Macikowi sprawnie, logicznie. Głos przejaśniał z początkowej chrypki, zawinionej przez tremę. Jak z początku zaatakował na wąskim odcinku poddanym mu przez przedmówcę, tak później swój atak znacznie rozszerzył. Oparł się rękami o krzesło przed sobą i powiedział tak:

— Koledzy „w ogóle proponuję, abyśmy więcej rozmawiali ze sobą o sprawach, które nas dotyczą. Abyśmy nie przemilczali publicznie tych rzeczy, które są dobre i stanowią zdobycz socjalną w naszym demokratycznym ustroju, i nie szeptali po kątach o tych, które nam się nie podobają. Na wierzch z jednym i drugim! Jak dotąd, to ja nie słyszaem, żeby któryś z młodych, bo to nas przede wszystkim dotyczy, pochwalił się tutaj publicznie, że ja — proszę kolegów — jestem pierwszy rok w cyrku i po niecałym roku szkoły, ale mam swoją skromną kategorię IIIb i zarabiam 860 złotych i jestem w ogóle numer i artysta, a dawniej praktykowałem dziesięć lat u byle zirkusmana za łyżkę marnej strawy i dostając często-gęsto po uchu. Ja nie słyszałem, żeby któryś nawet starszy i dobry artysta powiedział: sezon się kończy, ale ja się nie boję, żebym poszedł zimą na zieloną trawkę, względnie na śnieg, bo mnie poślą na obóz kondycyjny i swoją płacę będę brał przez cały okrągły rok. Ja nie słyszałem, żeby któryś z całkiem starych powiedział: bieda, koledzy, jeszcze sezon, jeszcze dwa, a nie nadam się na arenie i pójdę chyba o żebraczym kiju. Bo nie może tak powiedzieć. Wie, że pójdzie do administracji, albo jako instruktor do szkoły, albo w najgorszym razie dostanie rentę. Tymi rzeczami nikt się u nas nie pochwali, Ale za to słyszałem nieraz, na osobności: — Mało, cholera, płacą!

Doszedłszy do tego kulminacyjnego punktu dostał brawa, gdyż trafność i dowcip sformułowania zawsze porywa, nawet tych, którzy słuchali jednym uchem. I potem już szybko zakończył przy powtórnych oklaskach

Z kolei poprosił o głos komik Esmeraldo, pełniący zarazem funkję kucharza, jak na cyrkowca stary już dziad, chudy, wysoki, z dolną szczęką przykrywającą trochę brak kilku zębów w górnej, i przez to nadającą jego fizjonomii dowcip i „charakter". Był to znany facecjonista, umiejący całymi kwadransami gadać zabawnie o niczym. Podniósł się i mlasnął kilka razy językiem, jakby próbował smaku tego, co powiedział Macik, po czym odezwał się cicho i malowniczo, rysując słowami cały pasterski obrazek:

— Tu kiedyś wychodzę sobie tak z wozu, mogła być pierwsza, albo pierwsza z czymś, zupa mi się już zagotowała, myślę sobie — reszty już dziewuszki same przypilnują, te z dyżuru, od pani Haliny, więc pójdę na maneż, zobaczę co tam chłopaki robią, słyszę że ćwiczą, bo jakieś głosy dochodzą, a człowieka ciągnie popatrzeć, bo przecież robiło się samemu to i owo. Wchodzę — rzeczywiście — koty same się bawią, to znaczy nasi gladiatorzy młodzi, tylko że bez kocura, to znaczy pana Skalskiego. — Po rzędach przeszedł przyjemny śmiech i Esmeraldo uśmiechnął się i skłonił w stronę wymienionego kolegi, który zwrócił ku niemu głowę. — Siadam w loży i patrzę. A no, jedni dźwigają się na zwelmanhoch, drudzy na dreimanhoch, inni znowu robią stójkę albo mostek i tak rozmawiacie. Czasem im to wychodzi, a czasem nie. Zaczynam z nimi rozmawiać, i wtedy nie pamiętam już który z kolegów, Wójcik czy Baląg — Esmeraldo mrużąc oczy poszukał po rzędach — a tak Wójcik, powiada do mnie te słowa: panie Esmeraldo, pan przecież jest stary akrobata, który można powiedzieć zęby zjadł na tym, co my dopiero próbujemy, pokaż nam pan tę to figurę, która nam nie wychodzi i kilka komicznych. Nam się przyda, a widzieliśmy, że pan to robi. Rzeczywiście coś im nie wychodziło. Myślę sobie — diabła tam, kości stare, treningu porządnego już ze dwa lata nie miałem, ale mnie podkusiło. Zakasuję rękawy i u-ha! na dywan i pokazuję im to i owo. Mnie samemu jakoś to szło, ale nie nadzwyczajnie, tak na trzy-czwarte. Tum się zachwiał, tam pośliznął, ale oni dziękowali, że all right, że skorzystali — mówią. A ja do siebie — ty stary pierniku, nic już nie potrafisz. Wreszcie — mostek i jak się z mostku wybić na nogi: lekko na kark, potem jeszcze nieznacznie pomóc sobie łokciami i już stoisz. Ale gdzie tam! Co się poderwę, to pac na podłogę, co się poderwę, to pac na podłogę...

Audytorium zaczęło bawić się jego opowiadaniem i szerocki, aprobujący śmiech towarzyszył ostatnim słowom, ale ktoś się trzeźwo zorientował: — Tylko do czego to zmierza, panie Esmeraldo, co pan chce przez to powiedzieć?

— Co chcę powiedzieć? — Esmeraldo niby spoważniał. — Chcę powiedzieć z przeproszeniem siedzących tu niewiast na sali, że stary tyłek nie chce się unosić. Obawiam się, że z tymi prasówkami to będzie taki właśnie słomiany ogień, zwłaszcza gdy chodzi o nas starych. Posłuchamy, pewnie, to bardzo piękne, ale nie nadążamy, pożytku z nas już wielkiego nie będzie.

Wówczas podniósł się kaskader Białko, grubo młodszy od Esmeralda, ale jednak ze starej gwardii cyrkowej, i oświadczył, że się sprzeciwia w całej rozciągłości temu, co tu tak barwnie i po gawędziarsku zostało opowiedziane, ale w treści swojej jest niesłuszne. Po czym użył niezawodnego chwytu przeciwstawiając to, co jest młode duchem — temu, co jest stare ciałem, i tak dalej, wybijając od czasu do czasu buńczuczne akcenty: my wcale nie chcemy pozostać w tyle. Jego przemówienie pozbawione niespodzianek było tak jasno skonstruowane, że wszyscy już z góry wiedzieli, co zechce powiedzieć, i nie mając przeto obowiązku słuchania, szeptem przez krzesła i rzędy naciérali na Esmeralda. Stary bronił się i opędzał wytrząsaniem rąk i zduszonymi okrzykami — ja nie wróg, ależ proszę, proszę! — i wreszcie wyciągnął ręce w górę z gestem poddania się tak, żeby Białko to zobaczył, ale ten skończył według planu dopiero w dwie minuty później.

A zatem duskusja szła i nie utykała. Dyrekor Bartłomiejczyk cieszył się, uśmiechał z aprobatą, gdyż lubił ruch w interesie, mianowicie — gdy ludzie byli przeciwnego zdania: zacierał ręce i od czasu do czasu gorączkowo przerzucał przed sobą papierki do dalszych punktów programu. W ten sposób zwycięsko przeprowadził zebranie przez swoją dobrze zestawioną rubryczkę — przez przegląd prasy z dyskusją, przez recytacje, które były zakończeniem części uroczystej, potem przez dyscyplinę pracy, mając już z góry przez radę zakładową przygotowane upomnienia, czyli tzw. awiza za niektóre wykroczenia przeważnie młodych kolegów. Pogroził palcem Kamilce Sygnało i Zosi Misiównie, notorycznie niewypłacalnym i spóźniającym się na próby i przedstawienia. Przy Misiównie wzrok mu się ześliznął na Kossakowskiego, jakby i on w tym ponosił część winy. Zresztą był to przytyk w wyrazie oczu dyrektora ciepły i koleżeński. Potem zakomunikował obecnym o wynikach gospodarki finansowej, na który to okres składał się rezultat kasy po potrąceniu wydatków, co było czystą formalnością, zarówno dlatego, że wynik był zadowalający, jak i dlatego, że personel nie miał na te sprawy bezpośredniego wpływu. Jeden punkt tylko odsuwał na sam koniec z tchórzostwa, do którego się w duchu przyznawał — spór o maneż między Chamroniem a Kossakowskim. Nie chodziło tam zresztą tylko o przestrzeganie godziny prób, o jeden wczorajszy zatarg: między tymi dwoma ludźmi chodziło o wszystko. Zdawało się, że jest im razem za ciasno w jednym miejscu pracy.

Kiedy wreszcie siłą bezwładu przyszła kolej i na tę sprawę, na próbę publicznej mediacji, i pierwszy wstał Charmoń, żółty jak kukurydza, chłop uparty, w wieku Kossakowskiego... ze zgrubiałą od stajni granistą garścią, którą odsuwał kosmyk włosów znad oka — Bartłomiejczyka przeleciał dreszczyk lęku. Oko Chamronia wlepione było wyraźnie w jego nos i tak nieubłagane w poczuciu własnej racji, że dyrektor na próżno szukał w myślach jakichś argumentów, którymi można by utorować drogę porozumienia. Znał już tę historię do najdrobniejszych szczegółów, była mu obmierzła, ale słuchał. Chamroń zaczął metodycznie od początku.

— Kiedy wczoraj wyczyściłem rano konie i powiedziałem Zdubielowi — wypuszczaj!... — i może jeszcze wycedził ze dwa zdania, gdy wśród rzędów powstał ruch i Bartłomiejczyk zobaczył, że Kossakowski wychodzi.

Przeprosił Chamronia i zawołał: — Kolego Kossakowski, dlaczego pan wychodzi?

Kossakowski wcale nie zareagował i już miał wolną drogę poza krzesłami. Obejrzał się tylko z wyrazem żalu, który nie był wystarczającym usprawiedliwieniem za to, że naraża na szwank autorytet dyrektora.

— Kossakowski, — Kossakowski! — krzyknął jeszcze dwa razy Bartłomiejczyk, prawie w rozpaczy, ale nic się nie dało poradzić, tamten nie usłuchał i zniknął za uchylonym fartuchem namiotu.

Chamroń usiadł z pełną usprawiedliwioną nienawiścią i rozejrzał się po otoczeniu. Dyrektor wyszarpnął paperosa z rozłożonej papierośnicy i trząsnął zapałką. Wstał i powiedział stłumionym głosem: — Sprawę obydwu tych kolegów rozpatrzymy na koleg'um dyscyplinarnym. Zamykam zebranie i dziękuję wam za obecność.

Podnieśli się z miejsc w przykrej ciszy i tylko krzesła stukały, przerywając hałasem wymowę tego milczenia. Bartłomiejczyk odwrócił się od stołu, jeszcze z jedną ręką opartą na kancie, a drugą przysłonił na sekundę czoło i oczy. — Wolałbym być wszędzie indziej na świecie, niż tutaj w tej chwili — pomyślał z dogłębną goryczą ludzi nie przygotowanych na niepowodzenie i wyszedł przejściem popod orkiestrą.

Marian Promiński

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

POWIEŚĆ O LUDZIACH CYRKU

Cyrkowa epopea Edwarda Bassa *) obejmuje z górą sześć dziesięcioleci (1862—1925), sięgając początkiem opowieści w jeszcze odleglejszą przeszłość — i spisana została w tomie o 560 stronicach drobnego druku. Książka, niepozbawiona pewnych cech środowiskowej oryginalności, przedstawia dzieje „Cyrku Humberto", który rozpoczynał swe istnienie w postaci wędrownej budy jarmarcznej, dzięki zapobiegliwości i koligacjom rodzinnym właścicieli osiągnął stopniowo wysoki poziom rozkwitu i zasobności, później — na skutek trudności gospodarczych — pochylił się ku upadkowi i uległ likwidacji, by odrodzić się znowu w innej — bardziej zgodnej z ówczesną modą — formie teatru „Variétés".

Głównym bohaterem tej długiej i skomplikowanej historii jest syn biednego chłopa czeskiego, Wacław Karas, który jako siedmioletni chłopiec, wraz z poszukującym zarobku ojcem, znalazł się pewnego dnia, raczej przypadkiem, w cyrkowym królestwie „Humberto".

Pod kierunkiem wytrawnych mistrzów młody Karas studiuje rozmaite dziedziny umiejętności cyrkowych, poznaje ich specyficzne tajemnice. Występuje przed publicznością, zbiera oklaski i sukcesy. Mimo braku szkolnego wykształcenia chłopiec jest inteligentny, spostrzegawczy, przedsiębiorczy, a charakter ma na wskroś uczciwy. Toteż staje się ulubieńcem całego zespołu, nie wyłączając dyrekcji — więc w końcu starzejący się Berwitz oddaje mu rękę swej córki, wraz z berłem dyrektorskiej władzy. W okresie likwidacji cyrku i przekształcenia go na teatr „rozmaitości", Wacław Karas nie traci energii, zapału i wiary w swoje siły, zakłada nowe przedsiębiorstwo w Pradze, kieruje nim szczęśliwie w ciągu 35 lat i wreszcie — syt laurów wszelkiego rodzaju — odchodzi na zasłużony wypoczynek, wykształciwszy przedtem wnuczkę na tancerkę o światowej sławie. Jej sztuka właśnie ma rozdmuchać iskrę humbertowskich tradycji w płomień nowej świetności i utrwalić na długo nazwisko założyciela cyrkowej dynastii.

W opowieści Bassa jest dużo pogodnego humoru i ciepłej życzliwości w stosunku do ludzi i świata. Autor zna doskonale życie cyrkowe i jego realia, a cały ten osobliwy światek ukazuje nie w sztucznych blaskach ekscytującej dziwności, lecz przede wszystkim od strony kulis — garderób, stajni i kancelarii dyrektorskiej. Zdejmując z postaci cyrkowców popisowy blichtr i szminkę, Bass — całkiem słusznie — przedstawia ich jako ludzi ciężkiej i odpowiedzialnej, a zazwyczaj również niebezpiecznej pracy, którzy tylko w pocie czoła i za cenę wieloletnich wysiłków zawodowych osiągnąć mogą sukcesy na arenie.

Gdzieniegdzie, jak np. w rozdziałach, opisujących schyłek cyrku Humberto, Bass stara się powiązać swą narrację z wydarzeniami politycznymi i gospodarczymi ogólnego znaczenia. Komentuje więc konieczność likwidacji cyrku nie dopustem bożym i nie obojętnością kapryśnej publiczności, lecz warunkami kryzysu ekonomicznego, jaki w latach osiemdziesiątych ub. stulecia ciężko dotknął Europę. Tej zasadzie szerszych i głębszych powiązań narracyjnych Bass nie zawsze jednak pozostaje wierny. O wojnie światowej 1914 — 1918, r., która przyniosła w wyniku m. in. upadek monarchii habsburskiej i powstanie Republiki Czechosłowackiej, nic się nie mówi w tej książce czeskiego autora, mimo że i bohater jej jest Czechem, zaś akcja toczy się wówczas w Pradze.

Rysunek poszczególnych postaci cyrkowców jest przeważnie ostry, charakterystyczny i realistyczny, lecz jako całość zespół ten wygląda dość dziwnie. Są to bowiem niemal bez wyjątku istoty pozbawione zwykłych ludzkich wad i niedostatków, które w stosunkach wzajemnych myślą jedynie o tym, jakby tu nieba przychylić bliźniemu. Uwydatnia się to szczególnie na płaszczyźnie stosunku pomiędzy przedsiębiorcą — właścicielem cyrku a podwładnym mu personelem najemnym: właściciel jest „surowy, lecz sprawiedliwy", zaś personel posłuszny i wierny. W okresach „chudych" dyrektor Berwitz wraz z rodziną niemal głoduje, byleby tylko pensje artystów i robotników wypłacane były w porę. W zamian za to członkowie zespołu darzą swego dyrektora niemal synowską miłością i oddaniem.

Prawdopodobieństwo tego patriarchalno - idyllicznego obrazu jest niezmiernie wątpliwe. Bo „Cyrk Humberto", podobnie jak każde inne przedsiębiorstwo tego rodzaju, jest przedsiębiorstwem kapitalistycznym i opiera swój byt na określonych podstawach handlowych. Choćby nawet właściciel cyrku odznaczał się wyjątkowymi zaletami osobistymi i, poza tym, słynął jako genialny „iluzjonista", nie potrafi przecież zamienić kapitalistycznej imprezy w jakąś oazę arkadyjskiej szczęśliwości na ogromnych obszarach wyzysku i upośledzenia pracy najemniczej. Przeidealizowanie i przesłodzenie tych bardzo ważnych spraw wewnętrznych Cyrku Humberto jest najgłówniejszym spośród autorskich grzechów przeciwko realizmowi i prawdzie życiowej. Również epilog swej książki autor wystylizował na sposób libretta starej operetki, w której arystokraci z reguły żenią się — dla „happy endu" — z cyrkówkami i tancerkami.

Książka Bassa jest prawdziwą encyklopedią umiejętności cyrkowych. Znajdziemy tu obszerne studia poświęcone arkanom sztuki jeździeckiej, akrobatyki, tresury dzikich zwierząt itp. Znajdujemy tu m. in. rewelacyjne niemal obserwacje, dotyczące życia i zwyczajów tresowanych bestii. Któż by uwierzył, że niespodziewane wtargnięcie wiewiórki do klatki lwów zdolne jest wywołać popłoch wśród „królów pustyni" albo że słonie - olbrzymy najbardziej boją się... myszy.

Niezależnie od wszystkich swych zalet i wad, książka Bassa musi razić dzisiejszego czytelnika niewspółczesnością i obcością w stosunku do tego, co stanowi aktualną i realną problematykę społeczeństw, wolnych już od kajdan burżuazyjno - kapitalistycznego systemu.

Nie chodzi tu o wybór tematyki, lecz o sposób ustawienia i przeprowadzenia pomysłu pisarskiego. Temat cyrku i artystów cyrkowych, jako pewnego kolektywu pracy, może być równie dobry i interesujący, jak wiele innych tematów współczesnych. Ale styl i forma narracji Bassa ze względów zasadniczych nie mogą nam już odpowiadać: przedsiębiorstwa takie, jak Cyrk Humberto i jego kontynuacja, należą u nas do przeszłości; nie wyrzekając się bynajmniej widowisk cyrkowych i ceniąc trud ich wykonawców, opieramy dziś egzystencję cyrku na zgoła innych, niż dawniej, podstawach społecznych i artystycznych.

Biorąc to wszystko pod uwagę, nie sądzę, by wydanie książki Bassa w przekładzie polskim było z jakichkolwiek względów nieodzowną potrzeba.

Bolesław Dudziński

---

*) Edward Bass „Cyrk Humberto". Tytuł oryginału: „Cirkus Humberto". Z czeskiego przełożył Zdzisław Hierowski. Okładkę projektował Piotr Baro — Warszawa „Książka i Wiedza", 1950 — Str. 556 i 4 nlb.

JAN STRZELECKI

Opowiadania o nowych ludziach*)

M. Czernyszewski

Lata sześćdziesiąte są okresem, w którym odbywa się zasadnicza zmiana w czołowych szeregach rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, zmiana przebiegająca wśród ostrych starć, sporów i walk między przywódcami nowego i starego pokolenia.

Dochodziło w owym czasie do głosu nowe pokolenie rosyjskich rewolucjonistów — pokolenie *raznoczyńców*, „myśliaszczyj proletariat", jak nazwał Pisarew bohaterów książki Czernyszewskiego. Jeszcze w roku 1847 Bakunin w paryskim przemówieniu opisując sytuację ruchu rewolucyjnego w Rosji zwracał uwagę przede wszystkim na *młodzież szlachecką*. „Wśród młodzieży szlacheckiej jest masa ludzi wykształconych, szlachetnych patriotów, którzy rumienią się ze wstydu i ze zgrozy nad naszym położeniem, którzy pałają nieubłaganą nienawiścią przeciwko cesarzowi i jego rządom". W dziesięć lat później układ sił uległ zmianie. Pochodnia myśli postępowej przeszła w inne ręce. Pochwyciły ją rece plebejusza - raznoczyńca, którego koryfeusze szlacheckiego liberalizmu nazwali z przekąsem i nie bez lęku — *Pugaczowem z uniwersytetu*.

Liberałowie epoki mikołajewskiej — Onieginowie, Pieczorinowie, Rudinowie, ówczesna cświecona szlachta nie wzbudzała w raznoczyńcach szacunku. Posłuchajmy słów słynnego artykułu Dobrolubowa „Co to jest obłomowszczyzna", artykułu, który ostrością swej spokojnej, bijącej w liberałów ironii, wzburzył krew nawet w Hercenie.

Cóż pisał Dobrolubow w swej recenzji z powieści Gonczarowa?

„Dawno już zauważono, że wszyscy bohaterowie najcelniejszych dzieł literatury rosyjskiej cierpią, ponieważ nie widzą celu w życiu i brak im pola działania. Dlatego są znudzeni, czują wstręt do wszelkiej pracy i pod tym względem są zdumiewająco podobni do Obłomowa.

W samej rzeczy, otwórzcie na przykład „Oniegina", „Bohatera naszych czasów", „Kto zawinił", „Rudina" lub „Niepotrzebnego człowieka" czy też „Hamleta Powiatu Szczygrowskiego" — znajdziemy w nich wszystkich cechy prawie identyczne z cechami Obłomowa".

Ostra krytyka społecznego typu Obłomowa jest uderzeniem o wyraźnie skierowanym adresie: „Rysem wspólnym dla tej kategorii ludzi jest to, że w życiu ich nie ma nic takiego, co byłoby dla nich koniecznością życiową, czymś świętym, religią, nic takiego co by się z nimi organicznie zrosło, tak że pozbawienie ich tego rysu oznaczałoby pozbawienie ich życia. Wszystko jest u nich powierzchowne; nie leży w ich naturze głęboko. Zwróćcie tylko uwagę na to, jak zmienił się pogląd wykształconych, pięknie rozprawiających leniuchów, *których przedtem uważano za prawdziwych działaczy społecznych*."

„Jak silnie *odczuwamy tchnienie nowego życia*, kiedy po przeczytaniu Obłomowa zastanawiamy się, skąd wziął się ten typ w naszej literaturze. Obecnie wszyscy ci *bohaterowie usunęli się już na drugi plan*, utracili poprzednie znaczenie, nie wprowadzają nas więcej w błąd swoją zagadkowością i tajemniczym konfliktem między nimi a społeczeństwem, dysproporcją między potęgą ich indywidualności a znikomością ich czynów".

I Dobrolubow w imieniu raznoczyńców odkrywa karty, ujawnia polityczne ostrze swej literackiej krytyki.

„Gdy czytam w czasopismach liberalne wystąpienia przeciwko nadużyciom — wydaje mi się, że to wszystko pisze się z Obłomówki.

Gdy znajdę się w towarzystwie ludzi wykształconych, którzy mają tak wiele zrozumienia dla potrzeb ludzkości i w ciągu wielu lat z niesłabnącym zapałem opowiadają wciąż te same, a czasem i nowe dowcipy o łapownikach i ucisku, wszelkiego rodzaju nadużyciach, doznaję mimo woli wrażenia, że przeniesiono mnie do dawnej Obłomówki.

Przerwijcie tym ludziom ich szumne perory i powiedzcie im: „...cóż tedy należy robić?" *Okaże się, że nie wiedzą.* Zaproponujcie im najprostszy środek — powiedzą: „jakże to tak nagle?" *Nie spodziewajcie się po nich nic więcej, gdyż leży na nich wszystkich piętno obłomowszczyzny*".

*

„Nowi ludzie" — którym Czernyszewski posłał z więzienia swą powieść, to raznoczyńcy, wolni od piętna obłomowszczyzny. Kirsanow, Łopuchow — bohaterowie „Co robić", ci — mówiąc słowami Pisarewa — „robotnicy intelektu, kochający swą pracę", wiedzieli dobrze czego chcieć — budowali naukę i budowali przyszłość Rosji wolną od pańszczyzny, caratu i kapitalizmu. Posłuchajmy artykułu Pisarewa, poświęconego powieści Czernyszewskiego: „Nowi ludzie uważają pracę za absolutnie niezbędny warunek ludzkiego życia; dla nich praca i radość zlewają się w jedno ogólne pojęcie, przyjmujące miano zadośćuczynienia potrzebom organizmu. Odejść od pracy mogą tylko wtedy, gdy ich porazi paraliż, lub gdy się ich zamknie do klatki". Pisarew mówi tu o pracy, której Kirsanow i Łopuchow oddawali „wszystkie swe siły" — o twórczej pracy naukowej, o tej pracy, z której zrodziła się wielka plejada rosyjskich naukowców drugiej połowy XIX wieku. Pawłowa rzeczywiście trzeba by było zamknąć do klatki, żeby przestał badać swoje psy. Ale raznoczyńcy zapalali znicze nie tylko na ołtarzach medycyny, fizjologii, chirurgii. Nie tylko „krajali żaby, dokonywali setek sekcji trupów i przy sposobności zakładali własne laboratoria chemiczne". Rozczytywali się w socjalistycznej literaturze, czcili Fouriera, Owena, Bielińskiego, walczyli o wyzwolenie spod pańszczyzny, o emancypację kobiet, stworzyli kadrę rewolucyjnej demokracji lat sześćdziesiątych. „Gotowi są do walki z wszelkim wyzyskiem, z wszelką krzywdą, z wszelkimi formami ucisku" — to słowa Pisarewa... Dobrolubow dostrzegał w nich ludzi, „którzy pracują dla swej ukochanej sprawy spokojnie, bez pozy i fanfaronady, po prostu tak, jak jedzą i piją". Daleko jesteśmy od bajronizmu liberałów. Ta ukochana sprawa, to już nie medycyna czy chemia. To sprawa wyzwolenia chłopstwa, sprawa agrarnej rewolucji.

Koniec epoki Mikołajewskiej przyniósł — wraz z wstrząsem carskiego aparatu przemocy, wywołanym klęską w Krymskiej Wojnie — nasilenie rewolucyjnych nastrojów. W niektórych powiatach pojawiały się odwieczne znaki podnoszenia się rewolucyjnej fali — pożary szlacheckich dworów. Ziemiańscy liberałowie, przejęci katastroficznym lękiem wobec widma chłopskich buntów, szukali kompromisu z carem. Cała Rosja żyła w przededniu wielkich przemian. „W przededniu" — ten tytuł powieści Turgieniewa posłużył Dobrolubowi do scharakteryzowania nastroju czasu. Czernyszewski, przywódca radykalnej, raznoczyńskiej inteligencji, oddawał swą powieść w ręce młodzieży żyjącej w przededniu oczekiwanej rewolucji. Książka ta nie jest epiką rewolucji. Jest raczej etyką jej poprzedników. Jest obrazem, kodeksem i teorią moralności narastającego pokolenia ówczesnych nowych ludzi. Jest *wizerunkiem cnót pokolenia*. I na tym polega jej znaczenie, to było przyczyną jej wielkiego wpływu, to jest po dzień dzisiejszy źródłem jej wartości i swoistego piękna. Raznoczyńska młodzież, ci „materialiści, nihiliści, Pugaczowowie uniwersytetu", w których Turgieniew - liberał dostrzegał tylko uosobienie negacji, otrzymywali w tej książce swój portret. „Miłośnicy pięknych idei i obrońcy wzniosłych dążeń" — kpi Czernyszewski z liberałów w swej polemice z „wnikliwym czytelnikiem", prowadzonej jako intermezzo poprzez karty książki — „uważali materialistów za ludzi lichych i amoralnych". „Opowieść o nowych ludziach" jest manifestem nowej moralności.

*

„Typ ten zrodził się niedawno; za moich młodych czasów nie było go, chociaż nie jestem starym, wcale nawet nie starym człowiekiem" — pisze Czernyszewski w komentarzu, którym opatruje zasadnicze sceny swej powieści. „Chciałem przedstawić zwykłych, porządnych ludzi nowego pokolenia, ludzi, których spotykałem setkami. Cóż robią nadzwyczajnego? Nie robią podłości, nie tchórzą, mają zwykłe, uczciwe przekonania, starają się według nich postępować, i tyle". — Te „zwykłe, uczciwe przekonania" zawierały w sobie negację wszelkich podstaw życia starej Rosji. Gdyż naczelnym kanonem społecznej i indywidualnej moralności Łopuchowa i Kirsanowa, miarą, którą jak wyrok potępienia przykładali do instytucji i obyczajów „Królestwa mroku", była miara pożytu, pożytku z punktu widzenia najistotniejszej wówczas sprawy — wyzwolenia chłopa.

Pisarew w swym artykule o powieści Czernyszewskiego w ten sposób podsumowuje cechy moralnego typu nowych ludzi: „I. Nowi ludzie pracują z zapałem nad społecznie użytecznym dziełem. II. Korzyść osobista nowych ludzi pokrywa się z korzyścią społeczną, a ich egoizm mieści w sobie najszerszą miłość człowieczeństwa. III. Między rozumem a uczuciem nowych ludzi panuje zupełna harmonia, gdyż ani ich rozum, ani uczucia nie uległy skażeniu w chronicznej walce o byt, toczącej się w społeczeństwie".

Nad „zwykłymi, porządnymi ludźmi nowego pokolenia" rysuje Czernyszewski typ rewolucyjnego przywódcy. Rachmietłow — to już nie zwykły człowiek, to bojownik rewolucji, mający zapalić już nie tyle chęć naśladowania, co podziw dla wielkości. Odrzuca od siebie wszystko, co może go krępować. Zwiedził wszystkie kraje Europy, aby poznać dolę i niedolę mas. Był człowiekiem znad Wołgi, by poznać życie rosyjskiego ludu. Ma stalowe ciało i stalowy umysł — jest wcieleniem ideału ludowego bohatera i mędrca. On jeden wprowadza do powieści tchnienie chłopskiej rewolucji, której ma być zwiastunem, siewcą i przywódcą. On jeden wyrasta ponad klimat utopijnego socjalizmu, przenikający opowiadania o nowych ludziach. Gdyż rewolucja nie pojawia się na kartach książki w postaci Wielkiego Niemowy — rosyjskiego chłopa, wstrząsającego, żagwią i toporem, posadami feudalizmu. Pojawia się w snach Wiery Pawłowny, stanowiących zasadniczą część książki, jako bogini miłości, kapłanki wyzwolenia kobiety. Miłość jest dla pisarza jedną z najjaśniejszych sił życia, jej okaleczenie jednym z najcięższych grzechów ustroju... I tak jak rosyjscy wielcy socjaliści dziewiętnastego wieku poświęca sprawie kobiety i sprawie miłości gorące karty swoich pism. Poświęca jej właściwie całą książkę — gdyż zasadniczym wątkiem opowiadania o nowych ludziach jest historia rozwoju uczuć Wiery Pawłowny, będąca wykładnikiem poglądów Czernyszewskiego na zagadnienia logiki serca. Przyjrzyjmy się bliżej temu wątkowi. Oddają go dość wiernie tytuły rozdziałów: „Życie Wiery Pawłowny w domu rodzinnym; Pierwsza miłość i legalne małżeństwo; Małżeństwo i druga miłość; Drugie małżeństwo; Nowe osoby i rozwiązanie". — Dom rodzinny to dom administratora petersburskiej kamienicy i jego żony, skrzętnej i zrzędnej drobnomieszczańskiej wiedźmulki, której zasadniczą troską jest osiągnięcie jak największego procentu z rodzimego dorobku, na który składa się córka i kilka tysięcy rubli. Obie gwarancje przyszłości wymagają przemyślanej lokaty — i stąd Maria Aleksiejewna z przymusu wydaje nieco grosza na stroje dla córki i stara się przysposobić ją na łowy męża, kupca albo oficera gwardii.

N. A. Nielczarow, N. A. Dobrolubow, A. N. Gynin, G. J. Jerlisejew i M. Czernyszewski

Z tej dżungli matrymonialno-handlowych spekulacji wybawia Wieroczkę Łopuchow, student medycyny, syn riazańskiego mieszczanina, korepetytor jej młodszego brata. Małżeństwo z nim wiąże się z ucieczką z domu — jest „wyjściem z piwnicy na światło". Na światło życia poza zasięgiem mieszczańskiego świata. W moralnym klimacie socjalistycznych kółek petersburskiej młodzieży studenckiej Czernyszewski malując rolę kobiety na tej wyspie przyszłości macza co chwila pióro w kałamarzu pełnym głębokiego, nieporadnego często wzruszenia. Spod dłużyzny przeładowanych teoretycznie dialogów, spod spiętrzenia komentarzy, spod przetkliwionych charakterystyk i opisów bije cześć dla kobiety, dla twórczych sił miłości.

Ten hymn na cześć miłości przerywa Czernyszewski sceną dramatu, pozwalającą mu tym wyraźniej scharakteryzować obyczaje nowych ludzi. Wiera poznaje z czasem, że to co łączy ją z Łopuchowem, to wdzięczność za wyzwolenie i głęboka przyjaźń. Rodzi się w niej miłość do przyjaciela męża, Kirsanowa. Po wielu perypetiach, ukazujących na przemian szlachetność całej trójki, zwycięża logika uczuć — i teoria Czernyszewskiego, nakazująca młodym ludziom żyć w zgodzie z najgłębszym nurtem serca. „Kirsanowowie tworzą ośrodek centralny już dość znacznej liczby rodzin, przeważnie młodych, żyjących tak samo zgodnie i szczęśliwie jak oni, posiadających takie same przekonania jak oni, muzyka i śpiew, opera i poezja, wszelkie zabawy i tańce wypełniają wszystkie wolne wieczory każdej z rodzin tego grona".

To wezwanie do czystego szczęścia jest, obok wzoru Rachmietowa, drugim z przykazań, jakie Czernyszewski przesyłał z więzienia pokoleniu swych następców. Książka jego jest testamentem Wielkiego Wychowawcy. „Z tymi ludźmi, których wam w całej pełni pokazuję— wzywa Czernyszewski owych młodych przyjaciół — możecie się zrównać, jeżeli zechcecie popracować nad swoim rozwojem. Wydostawajcie się więc ze swojej nory piwnicznej, przyjaciele, podnoście się; to wcale nie jest tak trudne. Wychodźcie na wolny jasny świat, dobrze w nim żyć i droga jest łatwa i ponętna. To tylko rozwój, dźwiganie się wzwyż... — Pożądajcie szczęścia, tylko to pragnienie jest potrzebne. Dla niego będziecie z rozkoszą dbać o swój rozwój, bo jest w nim szczęście. Ileż rozkoszy czeka człowieka dojrzałego i świadomego". Te słowa pisał człowiek uwięziony, wyrwany z nurtu życia w najlepszym okresie rozwoju. Czy nie zdawał sobie sprawy z sił „królestwa mroku"? Czy za Fourierem i Owenem wyciągał rękę ku utopii? Po części — tak. Ale przede wszystkim wzywał do przyłączenia się do sił nowego życia, do nowego pokolenia, które tak jak on znajdowało swe szczęście i dumę w walce ze wszystkim, co dławiło rozwój człowieka. I dlatego książka ta stała się manifestem swego pokolenia — i jeśli ujmiemy ją w owym oddechu wyzwalającego się człowieka, pozostanie ona nie tylko historycznym dokumentem; będzie bliska również ludziom dzisiejszym.

Jan Strzelecki

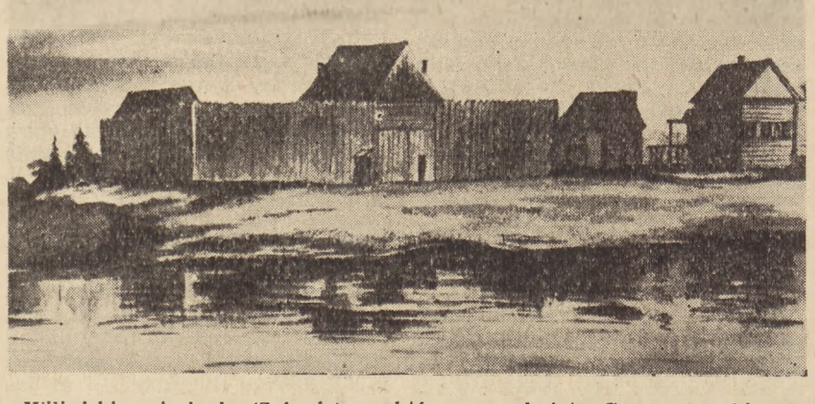

Wiliujskie więzienie (Syberia), w którym zamknięto Czernyszewskiego w 1872 r. jako specjalnie niebezpiecznego przestępcę. Przebył on w więzieniu i na wygnaniu ponad 20 lat.

*) M. Czernyszewski „Co robić" — przekład J. Brzęczkowskiego. „Książka i Wiedza". Styczeń 1951.

MIKOŁAJ GRIBACZOW

WIOSNA W „ZWYCIĘSTWIE"

(fragment poematu)

Wychodzisz w polel Smagnie wicher,
wstrząśnie pierzasty czub zieleni;
od ostrza pługów z szmerem cichym
odpadnie skiba mokrej ziemi;
południe solą plecy nęka,
suchym wystrzeli krew płomieniem,
i będzie pachnieć twoja ręka
naftą
i świeżym czarnoziemem;
grom się przetoczy nad rozłogiem,
ponad rozwidleniami bruzd,
podane w niebo,
niczym ogień,
w gajach listowie zadrga brzóz;
i huknie echo — zamierając
spłynie do jaru —
chwilka jeszcze —
i ptaki hurmem uciekają,
i bije skoczny werbel deszczu:
na drobne przemłócone ziarna,
jeziora
z chmur
na ziemię czarną,
ażeby sokiem napęczniała,
na czas, jak rozczyn, nabrzmiewała,
żebyś —
o, przyłóż do niej ucho,
usłyszał ciche wzejście kiełka,
co poruszany życia iskrą
rozprostowuje wolno, z lekka,
jak nad rodzimym gniazdem piskle,
dwa listki,
niczym dwa skrzydełka!
I z biciem w dzwony — w lato frunie.
Roso, na ziemię spłyń obficie...
Człowiek najprostszą z prawd rozumie —
ten tylko żyje, kto rodzi życie!

tłumaczył **Leopold Lewin**

JÓZEF RURAWSKI

PAMIĘTNIK NOWEGO TYPU

Wojna narodowa była dla ludzi radzieckich szkołą i źródłem wielkich przeżyć i doświadczeń. Z ich gleby wyrosła już niezwykle bogata literatura powieściowa i pamiętnikarska.

Obok pisarzy z zawodu za pióro chwytają także ludzie, którzy dotychczas byli jedynie czytelnikami książek.

Ostatnio ukazała się książka inżyniera - chemika P. K. Ignatowa „Notatki partyzanta".*)

Pierwsze pytanie, jakie nasuwa się po przeczytaniu tej książki, to sprawa określenia jej jako gatunku literackiego. Czy to pamiętnik? Reportaż? Czy powieść?

Tradycyjne pamiętniki pisane w pierwszej osobie, w centrum zainteresowania stawiały osobę autora, jego przejścia psychiczne lub fakty i zdarzenia, w których brał on udział. Zdarzenia i fakty opisywane w pamiętniku, dobierane w zależności od ideowego stanowiska autora, służyły przeważnie jedynie jako tło jednostkowych czynów i przeżyć narratora.

Książka Ignatowa pisana jest w pierwszej osobie. Jednak autor opisuje nie tylko przeżycia własne oraz fakty i zdarzenia, w których brał udział, lecz także i działalność, a nawet przeżycia psychiczne innych osób. Cały drugi tom jego książki poświęcony jest opisowi walk partyzanckich, w których brali udział przyjaciele i uczniowie „szkoły dywersyjnej" Ignatowa.

Fakt, że autor domyśla się niejako przeżyć innych osób w pewnych sytuacjach, zbliżałby jego książkę do gatunku powieściowego. Jednak poszczególnych wątków nie łączy nic poza ogólną ideą książki. Bohaterowie bowiem i teren działania zmieniają się i fragmenty opisujące bohaterskie czyny partyzantów kubańskich mogą być z powodzeniem czytane jako nowele. Wierność opisu, prawdziwość i autentyczność postaci oraz brak elementu fikcji literackiej nadają książce cechy reportażu. Do tego ostatniego gatunku literackiego będzie zbliżała książkę Ignatowa typowość postaci i zdarzeń, pojmowana nie jako indywidualizowane uogólnienie i synteza pewnych cech charakterystycznych danego zjawiska (jak to ma miejsce np. w powieści), a jako zasada wyszukiwania w życiu zjawisk i charakterów już typowych. Ta ostatnia zasada jest przede wszystkim warunkiem sine qua non reportażu literackiego.

Widzimy więc, że omawiana tu książka posiada cechy charakterystyczne, cechy trzech gatunków literackich. Czym więc jest ona w istocie? Jak wytłumaczyć to łączenie cech poszczególnych gatunków? Wrócimy na chwilę jeszcze do pamiętnika.

Gdyby pamiętnik Wiery Inber, poetki radzieckiej opisującej przeżycia w oblężonym Leningradzie, przełożyć z pierwszej osoby, w jakiej jest pisany, na osobę trzecią, książka nie straciłaby na tym nic, a ujrzelibyśmy wówczas bohatera pozytywnego w całej pełni tego słowa, z jego cechami dodatnimi i ujemnymi.

Książka Ignatowa to powieść-pamiętnik nowego typu — to pamiętnik socjalistyczny, którego *bohaterem jest kolektyw*.

Książka Ignatowa poświęcona jest walce partyzantów kubańskich z faszystami niemieckimi. Oddział „Batia" — Ignatowa to oddział niezwykły już w samym składzie społecznym. Rekrutował się on bowiem głównie z przedstawicieli inteligencji miejskiej, dyrektorów wielkich zakładów chemicznych Krasnodonu, inżynierów, pracowników partyjnych, naczelnych ekonomistów i wykwalifikowanych robotników. Byli to przedstawiciele nowej inteligencji wyrosłej już w okresie władzy radzieckiej, inteligencji pochodzącej z ludu i dla niego pracującej. Ten specjalny oddział miał specjalne zadania, specjalny charakter „produkcji". Była to grupa miniersko - dywersyjna, niszcząca mosty, pociągi, drogi samochodowe i czołgi.

Niezwykłość oddziału polegała także na tym, że był to swego rodzaju „Kombinat partyzancki". Prowadzono tam bowiem pracownie zecerskie, stolarskie i gospodarcze, które obsługiwały sąsiednie grupy partyzanckie. Prowadzono wreszcie „wyższy zakład naukowy", gdzie poznawali praktycznie i teoretycznie roboty miniersko-dywersyjne najlepsi partyzanci sąsiednich grup.

Ludzie oddziału „Batii" to zgrany, nieustraszony, nie cofający się przed żadnym zadaniem zespół, dobierany niezmiernie starannie po długich forsownych ćwiczeniach wyrabiających odwagę, wytrwałość i sprawność fizyczną.

Ignatow opisując proces przygotowywania oddziału ukazuje rolę partii troszczącej się o zapewnienie maksimum bezpieczeństwa ludziom tak bardzo potrzebnym w okresie pokojowej budowy. Partyzanci - inżynierowie, którzy całe swe życie poświęcili twórczemu dziełu budowy, musieli niszczyć mosty i zakłady przemysłowe, częstokroć budowane przez nich samych. I to był wielki dramat tych ludzi. Odcięci od swoich rodzin, bliskich i przyjaciół, nieustannie walczyli z przeważającymi siłami wroga. Siłę do walki czerpali z wielkiego umiłowania wolności, ojczyzny, z nienawiści do faszyzmu, nienawiści świadomej, dającej hart i energię. Książka Ignatowa ukazuje nam galerię wspaniałych postaci jakże typowych, a zarazem umiejętnie zindywidualizowanych.

Trafny dobór wypadków charakterystycznych dla walk partyzanckich pozwala czytelnikowi zorientować się dobrze w niebezpiecznym życiu ludzi, działających głęboko na tyłach wroga.

Tę niezwykle pasjonującą, głęboko ludzką i pouczającą (bez taniego dydaktyzmu jednak) książkę, czyta się naprawdę jednym tchem. Ukazuje ona siłę moralną ludzi wychowanych w duchu miłości człowieka i nienawiści zła. Ukazuje bez patosu wielkie poświęcenie i bohaterstwo pozbawione koturnowości i napuszenia. O wielkiej wartości tej książki świadczą słowa M. Kalinina, skierowane pod adresem autora: „Uważam, że dokonaliście dzieła dobrego, potrzebnego, pożytecznego dla wychowania naszej młodzieży, albowiem z książki tej uczyć się można wielkiej miłości i poświęcenia dla ojczyzny i świętej nienawiści do tych, którzy niosą żagiew wojny".

Powieść-pamiętnik bohatera-partyzanta, mająca być według słów autora „pomnikiem na grobie jego bohaterskich synów" — przepojona jest miłością do radzieckiej ojczyzny i poległych dzieci.

Poprzez ukazanie życia, walki i śmierci bohaterskich synów Ignatowa, pozwala nam jego książka rozumieć współzależność spraw społecznych i osobistych oraz konieczność poświęcania spraw własnych i własnego życia dla wspólnego dobra.

Trzeba na koniec podkreślić wysoki poziom artystyczny przekładu, dokonanego przez Alicję i Anatola Sternów.

Józef Rurawski

*) P. K. Ignatow „Notatki partyzanta" T. I. str. 467, t. II str. 584, wyd. M. O. N. W-wa, 1951 r. Tłum. A. i A. Sternowie.

JERZY POMIANOWSKI

Wniosek nagły w sprawie nieformalnej

Placówki dyskusji nad projektem konstytucji pootwierano już jak Polska długa i szeroka. Wydawnictwa nie poprzestają na swoich ustalonych planach — także przecież nie obojętnych politycznie — i wydają dodatkowo raz po raz aktualne i przez to cenne publikacje, że wymienimy tylko „Prawo do kultury" Leona Kruczkowskiego, „Konstytucję ludu polskiego" Jerzego Tepichta, czy wybór z przedwojennych pamiętników bezrobotnych, chłopów, emigrantów i lekarzy, p.t. „Było to wczoraj", opracowany przez Zb. Mitznera. Ani radio, ani prasa nie zadowalają się ogłoszeniem wiadomości bieżących, ale ogniskują uwagę czytelników i słuchaczy na zagadnieniach ustrojowych, pomagają nam wyjaśnić sobie sens i kształt wielkiej przemiany przez konfrontację osiągnięć ludowej demokracji, konfrontację perspektyw socjalizmu z prawdziwym stanem rzeczy w świecie wyzysku. Podkreślmy, że wymienione instytucje zajmują się taką działalnością społeczno-wychowawczą nie tylko od wielkiego dzwonu, od wypadku do wypadku, ale że stanowi ona w ogóle stałą wytyczną ich pracy. Jednakże — okres dyskusji nad konstytucją słusznie je zobowiązał do głębszej, szybszej, b a r d z i e j w y c z e r p u j ą c e j o d p o w i e d z i n a p i l n e z a m ó w i e n i e s p o ł e c z n e.

Jak się zdaje, zamówienie to nie dotarło jeszcze tylko do naszego teatru i filmu. Wymowa polityczna, dobitność obrazów scenicznych i filmowych nie wymaga rekomendacji. Wpływ ekranu i sceny na świadomość mas nie wymaga przypominania. Jednakże właśnie plany repertuarowe tych instytucji nie uległy żadnej zmianie, aczkolwiek od długiego już czasu wiadomo było, że dyskusja nad projektem konstytucji stanie się ważkim etapem w rozwoju świadomości całego narodu. Brak inicjatywy w tym zakresie niepokoi. W kinach demonstrują nam co prawda od pewnego czasu kilkuminutowe nadprogramy traktujące o wybranych zagadnieniach naszego wolnego bytu społecznego. Dobry to pomysł, ale czy na tym się poprzestanie? W organizowanych dotąd festiwalach filmowych pozycje programowe dobierane były zazwyczaj pod kątem czysto zewnętrznym, w gruncie rzeczy — paszportowym. Czy nie mamy wreszcie okazji do szybkiego zorganizowania festiwalu filmów dobranych pod jedynie rozsądnym kątem — wedle wspólnej funkcji społecznej, filmów o zbliżonym zasięgu politycznym i jednakowym celowniku? Czemuż to nie wznawia się filmów tak ważnych dla pokazania podszewki burżuazyjnych wolności politycznych, wyborów, zasad ustrojowych, jak wyborne taśmy „Rada bogów" i „Tajna misja", jak na dłoni demonstrujące międzynarodową zmowę finansjery i faszystów; jak włoskie filmy powojenne — chociażby ów „Cud w Mediolanie", który aż się prosi o pokazanie go dzisiaj właśnie polskiemu widzowi? Listy tej nie myślę ani kontynuować, ani wyczerpać — inicjatywa winna tu właściwie należeć do zainteresowanej instytucji. Podobnie niesposób wymienić wszystkich filmów radzieckich, których jednoczesne wystawienie mogłoby ze szczególną jasnością unaocznić masom, jak wygląda socjalizm w akcji, jakie są prawa, jaka jest władza człowieka pracy w ojczyźnie prawdziwej wolności. Ano, zacznijmy tylko: „Członek rządu", „Cyrk", „Delegat floty"...

A jak tam w teatrach? Tu panuje spokój całkiem już niewzruszony. Czas nareszcie wyjaśnić sobie, że żadne plany w tej liczbie i repertuarowe nie mogą być i nie bywają dobre „w zasadzie" czy „na ogół". Wartość wszelkiego planu sprawdza się przez konfrontację z konkretnymi zadaniami stawianymi przez życie. Nic tu nie pomoże zgodność ze scholastycznymi regułami procentowymi, wedle których dobierane są przez teatry pozycje repertuarowe z różnych dziedzin literatury dramatycznej, jeśli jednocześnie budowniczowie świadomości mas nie znajdują ze strony teatrów dostatecznej, konkretnej pomocy w momentach szczególnie ważnych. Przedstawiciele naszych teatrów podkreślali niejednokrotnie, że pragną, aby teatr stał się trybuną wychowania i agitacji. Cóż, hic Rhodus, hic salta. Kogóż tu urazi słowo „agitacja"? Dyskusja o zasadach rozumnego, ludzkiego życia, to nie kolejna kampania w „miesiącu czystości". Nie są chyba te uwagi demagogiczne, ani nieziszczalne.

Trudno wymagać, by teatry włączyły z dnia na dzień do repertuaru sztuki dotąd nie grane, ale jednocześnie należy sobie uprzytomnić, że zamówienie społeczne, o którym mowa, nie zostaje anulowane z chwilą zamknięcia dyskusji o projekcie konstytucji. Skądinąd przecież nic w tej chwili nie stoi na przeszkodzie doraźnemu wznowieniu sztuk niedawno granych. Przypomnę tylko „Zgubiony list" I. L. Caragiale, sztukę o „wolnych wyborach" w przeciętnym państwie burżuazyjnym, błyskotliwą komedię, „jak znalezioną" dla chwili bieżącej. Apel o jej wznowienie przez Teatr Powszechny w Warszawie, zamieszczony w „Expressie Wieczornym", pozostał głosem wołającego na puszczy. Czy nie warto przypomnieć właśnie teraz „Zwykłej sprawy" Adama Tarna? Tylko naiwni mogą sądzić, że jej problematyka ogranicza się do kwestii procesu politycznego. W tej wybornej sztuce pokazany został z wyjątkową celnością i jasnością upodlający i miażdżący mechanizm rządzenia burżuazyjnego; ta sztuka — to właściwie pokazowa sekcja wszelkiej „kierowanej demokracji". A „Zagadnienie rosyjskie" Simonowa? A... a zresztą, nic tu nie pomogą pobożne życzenia krytyka. Czekamy na konkretne propozycje teatrów. Przy takich właśnie okazjach wychodzi zresztą na jaw, jak ważną postacią w ich życiu powinien być kierownik literacki. Bo i kto winien właśnie teraz zaproponować wystawienie „Powrotu posła" Niemcewicza? Bo też kiedy więcej było powodów do przypomnienia tej sztuki! Kto pokaże nareszcie „Drugą wyspę Johna Bulla" G. B. Shawa — rzecz o sławetnych irlandzkich wyborach? Któż odświeży w pamięci i widzów, i kierowników życia teatralnego taki „Związek młodzieży", Ibsena? Kto... Może Centralny Zarząd Teatrów, Oper i Filharmonii?

Planom repertuarowym należy się na pewno analiza gruntowna i pomocna. Sprawa tu poruszana jest drobnym zaledwie przyczynkiem do walki o zbliżenie tych planów do konkretnych zadań życia społecznego. Na polu tym uczyniono już coś niecoś — jak widać jednak, często jeszcze tylko w t zw. zasadzie.

Jerzy Pomianowski

ERWINA GROTEN-SONECKA

Historia mieszczańskiego dziecka

Okuty w powiciu*) — powieść André Wurmsera, znanego poza tym ze świetnej działalności krytycznej w „Lettres Françaises" — ukazuje nam dalekie od wszelkich romantycznych walk i porywów dzieciństwo chłopca ze sfery drobnomieszczańskiej, Juliana Dubroc, przedstawione na tle życia jego najbliższych — rodziny Marcadetów w Paryżu z początkiem XX wieku. Zaznaczmy od razu, że tło jest może zbyt skromnym określeniem roli Marcadetów w powieści, rodzina Marcadetów wysuwa się przecież od razu na plan pierwszy i przytłacza nikłą postać bohatera — narratora. „Okuty w powiciu" jest opowiadaniem najmłodszego potomka tej typowo drobnomieszczańskiej familii, we własnym pojęciu wielce czcigodnej. I oto pikantny paradoks: w toku wspomnień Juliana, owianych rzekomą mgiełką sentymentu i pietyzmu wyłania się przed nami jakby odbity we wklęsłym zwierciadle obraz jego rodziny, wykazujący z pełną precyzji złośliwością i subtelną ironią wszystkie jej grzechy i grzeszki.

Charakterystyczny szczegół: powieść zaczyna się od opisu mieszkania „tej świątyni i muzeum rodziny Marcadetów", będącego ze swoim tradycyjnie skostniałym urządzeniem („nigdy nie przestawiono żadnych mebli") i bezduszną martwotą symbolem tego środowiska, zastygłego w bezwładzie, odgraniczającego się murem swoistych, rozpaczliwie ciasnych poglądów i zasad od wszelkich śmielszych myśli i uczuć, od świata. Poznajemy kolejno poszczególnych Marcadetów, dziadka i trzech jego synów — odmiany jednego i tego samego typu bezmyślnego, konserwatywnego drobnomieszczanina. Tępota, bezideowość i ignorancja Marcadetów, reprezentacyjnych wręcz okazów gatunku ludzi obdarzonego przez Tuwima mianem „strasznych mieszczan", jest równie humorystyczna jak przerażająca. Chociaż rodzina Marcadetów żyje w Paryżu, jej niesłychanie prymitywny i ciasny sposób myślenia tchnie zaśniedziałą prowincją w najgorszym tego słowa znaczeniu. Do świadomości tych drobnych — z ojca na syna — komiwojażerów, tkwiących uparcie, z upodobaniem w swym zaskorupiałym środowisku, nie docierają żadne echa z szerszego świata, a epokowym wydarzeniem jest uroczyście obchodzone w 1907 r. (niemal jedyna data podana w powieści) 50-lecie firmy, dla której pracują.

A pracować — to znaczy dla Marcadetów — sprzedawać, zarabiać. Co prawda, ambicje ich nie są wygórowane, zadowalają się skromnym zarobkiem, ale zdobycie co miesiąc tych kilkuset franków stanowi właściwie jedyny cel i funkcję ich pogrążonego w bierności życia. Chociaż z typowo mieszczańską obłudą w rodzinie Marcadetów mało mówi się o pieniądzach, grają one zasadniczą rolę w ich życiu, są dla nich jedynym kryterium oceny człowieka, podstawą szacunku, poważania. Ta pod cienkim pokostem dobrych form i uczuć rodzinnych kryjąca się chęć zysku ujawni się najpełniej w ich ustosunkowaniu się do kariery i upadku wuja Lucjana. Kiedy uśmiech losu wydźwignie go o szczebel wyżej w mieszczańskiej hierarchii i użyczy mu krótkotrwałego dobrobytu, Lucjan staje się przedmiotem dumy i kultu rodzinnego. Gdy na giełdzie przegra swoje i sprzeniewierzy cudze pieniądze, straci posadę, papadnie w nędzę, rodzina odniesie się do niego jak do napiętnowanego. Nie wchodzi tu w grę moralny osąd jego postępowania — grzechem w pojęciu Marcadetów nie jest naruszenie podstawowych zasad uczciwości, tylko — u t r a t a p i e n i ę d z y.

Kształtowanie się osobowości uczuciowego, marzycielskiego dziecka o zdolnościach poetyckich w tym środowisku przesiąkniętym moralnością kapitalistyczną, konfrontacja jego przeżyć, spostrzeżeń, doświadczeń ze światopoglądem jego dziadków, wujów, matki tworzy zasadniczą kanwę treściową powieści Wurmsera.

„Krępowało mnie więcej drobniutkich więzów, niż Gulliwera spętanego przez Liliputów i więzy te tak mocno wpiły mi się w ciało, że nie mógłbym żadnego z nich zerwać nie raniąc się do krwi" (str. 38). Tak brzmi znamienne wyznanie bohatera, spoglądającego z perspektywy lat na swoje dzieciństwo spętane niewidzialnymi a tak silnymi kajdanami małomieszczańskiej obyczajowości.

Zaciążyły one fatalnie nad wychowaniem Juliana — młodziutkiego kandydata na poetę. O ile pierwsze wiersze okolicznościowe 8-letniego Juliana budzą podziw rodziny, o tyle dalszy rozwój jego zdolności w tym kierunku wyda się klanowi familijnemu zatrważający, bo poezja i hazard to dla tych spokojnych, sfilistrzałych groszorobów dwa bardzo do siebie zbliżone i równo niebezpieczne pojęcia, zagrażające podwalinom solidnej, kupieckiej, mieszczańskiej egzystencji. Matka przerażona utworem opiewającym młodego rewolucjonistę, wezwie do pomocy instancje szkolne, profesora Juliana i nie cofnie się w imię swej fałszywej miłości macierzyńskiej przed moralnym szantażem, byle syna sprowadzić ze złej drogi. Ten cichy pojedynek drobnomieszczaństwa, uosobionego w Marcadetach z żywiołem poetyckim dochodzącym do głosu u Juliana trwa przez cały ciąg powieści. Pytanie, co okaże się silniejsze — indywidualność chłopca czy przytłaczająca go atmosfera rodzinna, czy Julian potrafi się wyłamać z kręgu uświęconych familijnych tradycji i pójść własną ścieżką — oto centralne zagadnienie „Okutego w powiciu".

Nie wchodząc w nieistotne dla nas rozważania, jak dalece historia Juliana jest autobiografią, spowiedzią samego powieściopisarza, stwierdzić trzeba, że niewątpliwie świetnie, drobiazgowo wycieniowany obraz tego środowiska zawdzięcza „Okuty w powiciu" wspomnieniom i przeżyciom samego autora. O obecnym jego stosunku do opisywanego przez siebie świata świadczy najwymowniej forma tej powieści, utrzymanej konsekwentnie w tonie dyskretnej, ale niezwykle celnej ironii. Z takim pogodnie złośliwym uśmieszkiem, czasem nawet pełnym upokarzającej litości, można spoglądać jedynie na etap bezpowrotnie odrzuconej, przezwyciężonej i ostro osądzonej przeszłości. Odpowiednio dawkowana i stopniowana ironia, idąca w parze z pełnym wytrawnego sarkazmu humorem i prawdziwie francuskim dowcipem, okazuje się niezawodną bronią, przy pomocy której autor osiąga swój cel — odsłania nicość społeczną rodziny Marcadetów, typowego produktu ustroju kapitalistycznego.

Skala artystycznych możliwości autora nie ogranicza się jednak tylko do świetnego operowania ironią. Dowodzi tego subtelne, liryczno-nastrojowe odtworzenie niektórych epizodów z dzieciństwa Juliana (wzruszająca w swej prostocie scena pożegnania z małą przyjaciółką) i jedyna bez ironii ujęta, wyraziście naszkicowana i szczerą sympatią autora obdarzona sylwetka starego żydowskiego proletariusza - przedstawiciela świata, o którym rodzina Marcadetów nie chce nic wiedzieć.

Chociaż Wurmser nie nazywa pewnych spraw po imieniu i zostawia niejedno domyślności czytelnika, powieść jego posiada swoją jasno określoną wymowę.

Dla polskiego czytelnika żyjącego w kraju twórczego socjalizmu, w którym ludzie typu Marcadetów są już tylko przeżytkiem, a rówieśnicy Juliana mogą bez rozterki wewnętrznej dzięki stworzonym im przez państwo ludowe dogodnym warunkom pójść za głosem powołania i kształcić się swobodnie, „Okuty w powiciu" — historia mieszczańskiego dziecka — stanowi doskonałe malowidło obyczajowe p r z e s z ł o ś c i, dokument dnia wczorajszego. W odniesieniu do francuskiej rzeczywistości powieść Wurmsera jest cenną i wciąż jeszcze aktualną satyrą demaskatorską.

Erwina Groten-Sonecka

*) André Wurmser: Okuty w powiciu. Czytelnik, 1951. Tytuł oryginału: L'enfant enchainé. Z języka francuskiego tłumaczyła Irena Krzywicka.

ANNA KAMIEŃSKA

„Pisz mój Alfredzie, oto świat sprawdzalny"

1

Do ostatniej wydanej książki poetyckiej „Warszawskie cegły*) szedł Aleksander Rymkiewicz długimi krokami swoich trzech uprzednich tomów. W roku 1936 ukazał się w Wilnie „Tropiciel", w roku 1938 „Potoki", następnie dopiero w 1947 roku wyszły w zbiorze „Z narodem" wyniki odczuć i przemyśleń wojennych. Cztery książki poetyckie Rymkiewicza nie przedstawiają jakiejś ciągłej, wyraźnie zarysowanej drogi rozwoju. Kłębi się w książkach poprzednich i w dużej mierze także w ostatniej — wiele wątków wyobrażeniowych i problemowych, wiele stylów. Nie rozwija Rymkiewicz konsekwentnie prawie żadnego nurtu swojej poezji. Fantastyka, baśniowość, poemat alegoryczny — to jeden z tych nurtów. Od młodzieńczego „Tropiciela" aż do „Zatoki jaskółek", „Polarnej ballady" niemalże do tytułowych „Warszawskich cegieł" nie licząc innych baśniowych poematów. Tu z poszarpanych, spiętrzonych wizji poetyckich buduje Rymkiewicz świat demoniczny, groźny, w którym przyroda wstaje, aby — jak w „Polarnej balladzie" ścigać człowieka. Jest tu i spokój ludowego wątku baśniowego, bajecznego skandynawskiego krajobrazu, niemniej — alegoryczność wizji odnosi je do tego nurtu poezji Rymkiewicza. Drugi z tych nurtów — to monumentalna w zarysach, refleksyjna poezja patriotyczno-ojczyźniana, typ poematu neoromantycznego, jakiego inspiratorem mógł być przede wszystkim Słowacki ,poematu bogatego w obrazy poetyckie, ale zarazem retorycznego. Ten nurt oczywiście płynie nie tylko poematami, rozgałęzia się także na mniejsze utwory.

Nurt trzeci — z obu jakby wynikający — to stylizacja ludowa, stylizacja, bo ludowy jest ten nurt poezji nie ze względu na program artystyczno-ideologiczny, ale tylko ze względu na styl. Korzenie tego nurtu — ludowości tkwią gdzieś w drobno - szlacheckiej glebie takich poetów naszych, jak Svrokomla, Pol, Lenartowicz. Ludowość to więc podwójnie wtórna.

Jest jeszcze i czwarty nurt poezji Rymkiewicza, mieszczący się w trzech innych, wszędzie mniej lub bardziej obecny, ale nie wszędzie na należnych mu prawach — nurt realistyczny, który przedziera się poprzez gąszcz alegorycznych obrazów, poprzez patetykę neoromantyzmu i stylizację ludową, a jeśli nie zawsze buduje w całości konsekwentne w stylu utwory, to błyska i świeci tu i ówdzie blaskiem prawdziwej wartości poetyckiej. „Pisz, mój Alfredzie, oto świat sprawdzalny"—zwraca się poeta do swego ironicznego bohatera w poemacie „Kolumna Zygmunta". Zbliżenie się lub odchodzenie od owego obrazu „świata sprawdzalnego", to historia poezji Rymkiewicza, to jego poetyckie klęski i zwycięstwa.

Recenzja ta zajmie się bliżej omówieniem zarysowanych tu tendencji poetyckiego rozwoju poety na tle „Warszawskich cegieł".

2

Swój program poetycki przedstawia Rymkiewicz w najlepszym bodaj swoim poemacie „Kolumna Zygmunta czyli sierpień 1939". Poemat to neoromantyczny w stylu i kompozycji przeplatania się wątków satyrycznych i lirycznych oparty na tradycji Słowackiego, poemat, w którym zdobywszy się na wiele auto-ironii i samokrytki, poeta dojrzał też do zerwania z nadmierną aluzyjnością dawnych poematów. „Kolumna Zygmunta" skupiając wokół siebie kręgami historię całego kraju, jego swojski pejzaż, jego ludzi — stawia problem kultury polskiej. Ten problem jest tu atakowany z wielu stron, od coraz nowych postaw społecznych. Przy tym Warszawa — serce Polski została w tym poemacie pokazana z szerokiej perspektywy narodowej.

„Śpi jeszcze miasto, a Zygmunta krzyż
ciemnieje na wstążce seledynu nieba.
I z n a ł t o r a m i ę ś w i t a m i c i o s a n e
i t e n, c o t u t a j n i g d y n i e z a w i t a ł,
może z gazety wyciął, gdy przeczytał,
S ł ą z a k, i G ó r a l, i K a s z u b n a d s i e c i ą,
że Zygmunt stoi jak miecz nad zamiecią..." (Podkr. moje) A.K.

W kontraście z pełnymi plastyki, realistycznymi opisami ojczystego pejzażu, przedmieść robotniczych, wsi podzielonej na dwa obce światy — chłopski i pałacowy — występują satyryczne wątki — podobnie jak w „Beniowskim" Słowackiego, angażujące nie tylko ironię, ale także w pewnej mierze sympatię autora.

Otóż jest i poeta — Alfred cierpiący na kompleks Zachodu, jak byśmy dziś powiedzieli — na kosmopolityzm, poeta stroniący od tłumu niewtajemniczonych, tłumu, który „nie widząc mija stolik, gdzie kawa przenośnię rozwija", poeta, który „nadrealną stopą" błądzi po bardzo realnych polach, podwórkach chłopskich, przedmieściach, który niezbyt się kwapi do poezji „świata sprawdzalnego" i który, gdy nadeszła wojna, zbudził się wreszcie i zobaczył:

„Wieś podwarszawską leżącą warstwami
pastwisk i lasów, i dymów, i chmury,
mosiężną, hukiem idącą do góry",

ale który wówczas:

— „choć pisał zawile, uciekał prosto".

Auto-ironia nie jest tu oczywiście bezpośrednia. Rymkiewicz jako poeta zawsze lgnął do tych obrazów kraju rodzinnego, które nazywa „światem sprawdzalnym". A jednak w „nadrealnej stopie" Alfreda jest coś z samego autora, który dość często opuszcza granice świata sprawdzalnego dla swoich fantastycznych koncepcji wyobrażeniowych i myślowych.

„Kolumna Zygmunta" to poemat, który roztrząsa problemy bytu i kultury narodowej w osłonach symboliki neoromantycznej. To, za czym autor się opowiada, to są niemal owe trzy znaki na sztandarze, oznaczające słowo LUD, jest to owa trzecia najniższa „wstęga" rzeczywistości narodowej „pługiem, kilofem poprzecinana":

„złe serce tylko jej nie uwierzy
i każdy grom w nią najpierw uderzy".

Tak to widzimy, że styl poematu i jego sens ideologiczny — pokrywają się i wynikają z siebie. Jak tu nie podumać o roli tradycji literackiej, do której poeta się zwraca, o roli tego źródła inspiracji nie tylko przecież tzw. formy, ale w szerokim tego słowa znaczeniu — postawy ideologicznej poezji tworzonej współcześnie. A. Rymkiewicz do takich rozważań krytycznych tym bardziej prowokuje, że jego poezja tkwi głęboko w tradycji polskiej poezji XIX wieku.

3

W „Kolumnie Zygmunta" Rymkiewicz ostrzega Alfreda, rozżalonego na brak sławy u Francuzów:

„Już za granicą twej ojczystej ziemi
broń pełznie nitką szarą wśród zieleni.
Po żyto tych wydm, po robocze ręce
szli będą, jakby sierpów im zabrakło
i zboże u nich słońcem się nie mieni,
broń tylko rodzą żyzne ich Nadrenie".

Nie jest to już tzw. katastrofizm, jaki odczytać można było z „Tropiciela" i z wielu wierszy w „Potokach". Szczególnie frapuje poetę ten „sierpień 1939 r.", ten moment przed wybuchem wojny, w którym jest jakby chwila na namysł i ocenę przeszłości, ale nic już nie powstrzyma tego, co staje się wkrótce zbyt okrutną wiedzą o życiu i o człowieku — wojny narzuconej przez faszyzm. Wojna w twórczości wielu poetów generacji Rymkiewicza stanowi przełom ideologiczny i artystyczny. Jest to wielkie, zbiorowe doświadczenie historii. Trafnie zmetaforyzował postawę Rymkiewicza Ryszard Matuszewski pisząc w recenzji z tomu „Z narodem" o wojnie w „dobrzyńskim zaścianku". Drobnoszlachecki inteligent odczuł wojnę jako zachwianie się praw moralno-społecznych, wobec zagadnienia faszyzmu stanął bezradny:

„chmury i miasta z portalem kościołów
chwieją się, huczą, stoją i lecą
nad p r a c ą d a r e m n ą, n a d p r a c ą c z ł o w i e c z ą".

Dla Rymkiewicza epoka pieśni to przede wszystkim zachwianie całego dotychczasowego systemu moralnego. Znamienny jest w tej mierze wiersz „Dekalog":

„Człowieku prosty, oduczono ciebie litości,
kiedy miotały kratery kominów
dym z kości..."

Podkopana zostaje wiara w cywilizację opartą na dziesięciu przykazaniach moralności:

„C y w i l i z a c j e s p a l o n e w ś r ó d l i ś c i
d e s z c z s p ł u c z e
i morze strzaskany dekalog na brzegi
wyrzuca."

Ta wiara w cywilizację i w człowieka zostaje przywrócona poezji Rymkiewicza w innym wymiarze— w obrazie „świata sprawdzalnego", w realistycznym opisie zwłaszcza „Wieńca jezior". W poematach zaś, w nowszej fantastyce i alegorii Rymkiewicza panuje ów posępny nieco antycywilizacjonizm i antyhumanizm, postawa taka odosobnicna, rzadka w naszej powojennej poezji.

W bardzo przeciążonym symbolami i alegorycznością poemacie, a właściwie dużej balladzie, „Żelazo, prawo i pieśń" — poeta stawia właśnie problem cywilizacji i sztuki. Żelazo — ten symbol współczesnej cywilizacji „wieku żelaznego" jest w rękach złego olbrzyma, rządzącego światem — symbolem zniszczenia i zagłady, jako miecz idący na podbój i jako pług wydzierający ziemi plony, i jako przemysł fabryczny, co związuje niebo „kominów obrożą". Metafory — tak, ale ich barwa jest wyraźnie dezaprobująca. Idąc dalej w niebezpiecznym alegoryzowaniu narzuca Rymkiewicz wniosek, że to nie człowiek tworzy historię, skoro jest ona igraszką w ręku owego złego „olbrzyma." Powraca w coraz nowym kształcie „dziwoląg" — tropiciel, który już zapowiadał zagładę skazanej na nią kultury:

„Tropiciel, tropiciel — skrzypią chmury
nad stolicami plemion koczowników,
może nas pogna po ziemskim nasypie
ogniami gniotąc wspaniałe kultury,
a nasze ciała przez dym narkotyków
zatrute roztrzęsie, spopieli, rozsypie".

4

Demoniczny olbrzym z poematu „Żelazo, prawo i pieśń", to jakiś nietzscheański nadczłowiek, wykuwający prawa „silnym na sławę". Świat tego poematu, jak i „Polarnej ballady", przynoszącej znów deklarację antyhumanizmu, nie jest światem sprawdzalnym. Obok niesprawdzalnych i całkowicie błędnych koncepcji myślowych poematy te przynoszą równie niesprawdzalne, nierealistyczne obrazy jakiegoś wyimaginowanego, sztucznego świata. Równie chybiony w stylu i w treści wydaje się poemat „Atlas" i „Powrót do pieknej" — oba te poematy już nawet nie neoromantyczne, ale młodopolszczyźniane, niepohamowane w rozlewności, werbalizmie, przymiotnikarstwie. Fantastyka poematów rozgrywa się często na tle wyimaginowanego, północno - skandynawskiego krajobrazu, stanowiącego od „Tropiciela" obsesję wyobraźniową Rymkiewicza.

Antyhumanizm „Polarnej ballady", to znów przedstawienie zwycięstwa przyrody nad człowiekiem, to jakby zemsta żywiołów.

„Ludzie są groźni, kiedy gromadą
przychodzą, założą miasta kamienne,
w nich swoje prawa ogłoszą wojenne..."

W „Atlasie" występuje ta sama demonizacja kultury w samym obrazowaniu. Dźwigi portowe nazywa poeta „szyjami żelaznych ptaków" dodając:

„Tym ptakom człowiek skrzydła odebrał..."

Jest tu przecież odwrócenie istoty cywilizacji, która parafrazując poetę polega raczej na uskrzydleniu martwego żelaza.

Niebezpieczeństwo baśniowości i fantastyki odzywa się nawet w tytułowym poemacie tomu „Warszawskie cegły". Podczas gdy „Kolumna Zygmunta" była jednak poematem historycznym, „Warszawskie cegły", oparte na legendarnym wątku srebrnej płyty, na której rzekomo zbudowana jest Warszawa, grzeszą ahistorycznością i alegorycznością.

5

Społeczna koncepcja poematu „Warszawskie cegły" — to oddanie sprawiedliwości dziejowej — nieznanym budowniczym Warszawy, nieznanym ludziom odbudowującym stolicę po zniszczeniu ostatniej wojny. Nieznany, bezkształtny demos, ta czarna „spracowana ręka" konkretyzuje się w szablonowej raczej postaci murarza Pawła. Apoteoza kielni i owego nieznanego bohatera pracy. Wydaje się, że pisząc o odbudowie stolicy socjalistycznego kraju, nie powinien był poeta podkreślać charakteru „nieznanego bohatera pracy", zwłaszcza w analogii do nieznanego żołnierza pierwszej wojny światowej, nieznanego żołnierza, który był jednym z uzbrojonych niewolników armii nieludowych.

W pięknym, plastycznym wierszu „Polska ręka" domyśleć by się można tej samej ogólnikowości. Tylko że można by ją uznać za usprawiedliwioną do pewnego stopnia przez to, że to ona, „czarna ludzka ręka" ocala wiarę poety w człowieka, obalając ów sztuczny, udrapowany monumentalnie antyhumanizm fantastycznych i alegorycznych poematów.

„Lecz jedna ręka uszła, czekała
i znowu nad Wisłę wróciła.
Zobacz — jak dźwiga, słuchaj — jak bije

*) Aleksander Rymkiewicz — Warszawskie cegły. — „Czytelnik" 1951. str. 84.

w górę i z góry, i na dół.
Wypuszczaj dzwonki, lodowe skowronki,
rzuć swoje śniegi, biegunów brzegi,
czarnej ręce, zaciętej ręce.
Bagnetem mignęła, kilofem wróciła
i śmierć ją, i troska rzeźbiła."

Głębsze zastanowienie wzbudza fakt, że nawet „Pieśń górników" nosi tę samą cechę ahistoryczności pracy ludzkiej i jej ogólnikowości społecznej. Górnik w ujęciu tej pieśni, to po prostu zawód, fach, mający swoją zawodową dumę, ale funkcja społeczna tego zawodu leży poza zasięgiem słowa poetyckiego, które dla swej pieśni znajduje poeta.

6

Ludowość — i ze względu na ocenę powstających utworów literackich, i ze względu na postulaty krytyczne — to już dziś problem. Przywykło się kiwać głową z uznaniem na utwory operujące elementami pieśni ludowej, nie sprawdzając autentyczności ludowego źródła, nie rozpatrując jego funkcji dla współczesnej poezji. A funkcja ta, to sprawa bodaj najważniejsza. Czy ludowość „ballad i romansów" romantycznych nie miała funkcji społeczno - ideologicznej oprócz — artystycznej? Czy ludowość późniejszych poetów — apologetów szlachetczyzny: Pola, Syrokomli, Lenartowicza — miała to samo społeczne źródło, co tamta romantyczna? Czy funkcja tej właśnie ludowości nie była raczej wsteczna w porównaniu do romantycznej? Czy nie idealizowała bytu spokojnego chłopka, urodzaju ziem polskich, pastuszej fujarki? Czy ludowość Konopnickiej nie była programem społecznym, czy nie odbił się w niej wyraźnie mimo stylizacji i poprzez nią — byt chłopa pańszczyźnianego, który „wolny" stał się „wolnym najmitą" we wsi, już nie w pełni feudalnej, lecz kapitalistycznej? Czyż wreszcie ludowość wielu utworów młodopolskich nie odsłania nam fałszu mieszczańskiej ludomanii, kierującej się już ku określonej wsi — barwnej i kolorowej, kmiecej wsi kułackiej? Pytanie pozostanie retoryczne. Nie chodzi tu bowiem o rozstrzyganie problemu.

Wydaje się, że dialektyka ludowości w poezji uczy nas tego, że ludowość nie jest tylko stylem, lecz nosicielem określonych postaw społecznych, że spełnia określoną funkcję przekraczającą daleko funkcje czysto artystyczne.

„Rybaczka" i cykl wierszy „Na Kujawach" to wynik zainteresowania Rymkiewicza pieśnią ludową. Dobrze podpatrzona w swoich chwytach i wdzięczna jest jednak ta poezja wtórną stylizacją bez owej głębszej dialektyczności. Ludowość nie stanowi bowiem w poezji Rymkiewicza jakiegoś kierunku programowego, chyba ten, że ocenimy ją jako nawrót do wymienionych wyżej drobnoszlachecko - mieszczańskich poetów, w których poezji stylizacja ludowa miała określoną funkcję. Nutami „Pieśni o ziemi naszej" Pola pobrzmiewają chyba świadomie strofy „Na Kujawach":

„Ziemia nasza piękna,
ziemia nasza żytnia..."

Pozostają trafnie uchwycone śpiewki ludowe. Zatraciło się to, co w obrazowaniu, barwie słów czy melodii, bo przecież rzadko bezpośrednio — odbijało w jakiś sposób byt chłopski, zatraciło się to, co dialektycznie stanowi dla nas sens i wartość ludowej poezji.

7

„Czy znasz historię warszawskiej cegły?
— Najpierw łopaty glinę kopały
i komin cieniem dokoła chodził
po robotniczym osiedlu małym.
Rano wskazywał glinianki błoto,
w południe składów dachy drewniane,
wieczorem drogę odmierzał powrotu,
gdzie rosły warzywa pod niską ścianą.
Tak horyzontem piasków przebiegły
ten cień komina, osiedle i cegły."

Jest to fragment „Warszawskich cegieł", właśnie tego poematu tak pogmatwanego w czasie, że ahistorycznego, poematu na pół alegorycznego, odbijającego właściwą Rymkiewiczowi skłonność do mitologizacji. Obraz zarysowany we fragmencie jest poetycko realistyczny. Poezja Rymkiewicza obfituje w takie realistyczne obrazy. Surowcem tej poezji poza napuszoną retoryką neoromantyczną są elementy realistyczne. Obrazy składające się na szeroką syntezę kraju ojczystego z poematu „Kolumna Zygmunta" narzucają się wyobraźni czytelnika z dużą siłą plastyczną. Umiejętnie i z upodobaniem poezja Rymkiewicza gra elementami swojskości pejzażu nizinnego i zadymionych przedmieść. Z tych obrazowych elementów realistycznych rzadko przecież powstają utwory mogące pretendować do miana utworów realistycznych. Nie realistyczna bowiem jest koncepcja świata w zasadzie negująca świadomy udział człowieka w rozwoju historii, wątpiąca o wartości cywilizacji, widząca w zasadniczej sile historii — dość mglisty, bezkształtny, nie zindywidualizowany tłum bezimiennych rak czarnej pracy. Z elementów realizmu nie powstaje realistyczny obraz świata, nie powstaje obraz świata sprawdzalnego. Najbardziej konsekwentne w założeniach realistycznych są wiersze opisowe cyklu „Wieniec jezior". Są wśród nich prawdziwie piękne utwory. Dla przykładu przeanalizujemy dwa spośród nich:

„Dąb i Fryderyk", to wiersz na pół satyryczny. Poeta znajdujący się po wyzwoleniu na tle pejzażu mazurskiego, gdzie Fryderyk pruski niegdyś biwakował w drodze „po Warszawę", pozwala sobie na z.lekka humorystyczne i ironiczne potraktowanie tejże zamierzchłej już dla dnia opisywanego — historii. Dąb, pod którym Fryderyk miał spożywać wówczas śniadanie — stał się bohaterem lirycznym wiersza. Poeta osiąga dużą trafność poetyckiego skrótu przeciwstawiając szlachetnej trwałości dębu historię prusactwa, ów „kodeks krwawy kłamliwych ust, morderczych rąk". Zamierzony skutek satyryczny osiąga wiersz między innymi dzięki szczęśliwemu zastosowaniu męskich rymów, wzmacniając tym samym pointę.

W „Dwóch wiejskich szpitalach" mamy inny wymowny skrót poetycki. Poeta opisuje szpital niegdyś widziany na wsi kresowej. I nagle ujrzany inny szpital na tle innej wsi z czerwonych cegieł przywołuje wspomnienie tamtego szpitala. W szerokiej realistycznej przenośni można tu dojrzeć konkretny problem repatriacji.

„Spotykam was znowu na ziemi innej.
Wieś z cegły czerwonej domki wypręża,
znów biegną koniki krępe i zwinne
w znajomej z czarnych wsi uprzęży.

Już blisko szpital, w nim doktór wspomniany,
a wiatr rozpędzony na morskiej osi
nad tym szpitalem chmur tysiąc przenosi,
jakby i ludzi, i niebo schylone
nagle na innej ziemi położono,
by z koni, z kożuchów, z ceglastej ściany
z wiejskich spółdzielni, z przyrody poznanej
powstało tu nowe nieznane dzieło
i błękit jezior do piersi przypięło".

Chcielibyśmy w dalszej poezji Rymkiewicza widzieć pogłębienie tego nurtu „świata sprawdzalnego", nurtu realistycznego w całym złożonym obrazie świata, nie tylko w elementach opisu. Chcielibyśmy, aby przywrócona została tej poezji wiara w człowieka i w stworzoną przez człowieka cywilizację, oparta na bazie ideologicznej nie tylko deklaratywno-stylizacyjnej — ludowości.

Anna Kamieńska

CZY NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN?

(Dokończenie ze str. 1-ej)

czy Oswalda Pohla. Tylko przebiegły polityk usiłujący zatuszować winy hitlerowców potrzebnych obecnie polityce Waszyngtonu może tak perfidnie stawiać sprawę. My stawiamy sprawę inaczej: nigdy więcej wojny — znaczy po prostu — nigdy więcej wojny. Nigdy więcej abażurów i mydła produkowanych z ciała ludzkiego, nigdy więcej rasizmu dozwalającego dzielić ludzi na bydlęta robocze i na panów korzystających z pracy tak zwanych niższych rasowo narodów.

✻

Nie umiałam początkowo zdać sensownej relacji z mojego pobytu na procesie hitlerowskich zbrodniarzy wojennych w Norymberdze. Cóż to bowiem była ta ówczesna Norymberga? Walka Prokuratury Radzieckiej o dopuszczenie przed oblicze Najwyższego Trybunału Międzynarodowego choćby kilku świadków z Polski; choćby czterech; bo to przecież Oświęcim, Treblinka, Majdanek, Bełżec, Chełm nad Nerem, bo to Płaszów, Bliżyn, Radogoszcz i wiele takich nazw — ostali się przy życiu jacyś bardzo nieliczni świadkowie, zdawać by się mogło, że ocalenie ich to cenny przypadek, zdawać by się mogło, że należy wezwać tych świadków przed oblicze sprawiedliwości.

Proces dobiegał końca, za kilka dni miała się rozpocząć mowa Goeringa, notabene odrzucającego wszelkie zarzuty. Dwaj tylko świadkowie z Polski zeznawali przed Międzynarodowym Trybunałem w Norymberdze — prócz mnie, Żyd, który uciekł z Treblinki, po uprzednim odprowadzeniu całej rodziny do krematorium. Płakał składając oskarżycielskie zeznanie. Wielu słuchaczy płakało również.

Podczas mojego zeznania wzruszone Amerykanki przyciskały chusteczki do powiek — nie wiedziały o niczym, te dzieci zamordowane w Oświęcimiu wzruszały do łez! Tak jak dziś nie wiedzą zapewne nic o tym, co dzieje się w Korei, nie myślą, jakiej polityki następstwem jest wskrzeszanie Wehrmachtu i szczucie go ponownie na wschód. Ani lampa stojąca na stole przewodniczącego Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze, ani łzy amerykańskich kobiet przysłuchujących się zeznaniom świadków z Polski, nie zdały się na nic.

Nie tylko nie zbudowano tamy powstrzymującej hitleryzm, nie tylko nie sparaliżowano go, lecz uchroniono ilu się tylko dało hitlerowskich speców od robienia brudnej wojny, od sekretnego mordowania ludzi, od rasistowskiego przewartościowania świata.

✻

Nie wiem, czy Wieroczka Tichonowa przeżyła do końca ciężkie dni stycznia 1945 roku, nie wiem, czy powróciła do Leningradu, czy pracuje tam obecnie, jak dawniej. Przeżyła w mojej pamięci. Kiedykolwiek słyszę melodię pewnej pieśni, porywającej, tętniącej życiem, ukazuje mi się we wspomnieniu Wiera i ten moment, kiedy pieśń ową usłyszałam po raz pierwszy.

Był dzień chmurny, jak dziś. I tak jak dziś — niebo przesłoniło się szarą oponą chmur. W takim dniu my, więźniowie, układający się do snu w barakach obozu, mieliśmy jeszcze mniej nadziei, niż co dzień. Szarzyzną zawlókł się nasz horyzont, od kiedy ustała wszelka gadanina o letniej ofensywie. Był styczeń. Rok 1945.

Na dolnej pryczy obok mnie leżała Wieroczka Tichonowa, dziewczyna obdarzona przez naturę wyjątkowym urokiem i wyjątkową słodyczą. Bez narzekań znosiła swoją dolę — a dola ta nie była lekka. Siedemnaście wrzodów osadziło się na jej lewym ramieniu, dokuczając przy każdym ruchu i nawet w bezruchu. Nastąpiło zapewne coś w rodzaju zatrucia organizmu, bo dziewczyna zaczynała gorączkować.

Barak napełniła ciemność ponura, deszczowa, do której wzrok więźniów umiał się stopniowo przyzwyczaić. Oczy Wieroczki wielkie, płomienne, prawdziwe „czarne oczy" Rosjanki, jarzyły się wspaniałym blaskiem; nic nie było widać w ciemności prócz tych oczu; można by ulec złudzeniu, że ktoś powodowany niewytłumaczonym uczuciem chciwości schylił się po dwa diamenty dostrzeżone w stosie odzieży, przyniósł je tu i rzucił na ciemne koce, wyścielające naszą prycze. To były oczy Wiery, trawionej bólem i gorączką.

Deszcz bił w dach baraku, nieustannym werblem dudnił i dobijał się do nas, jakby chciał nas utopić w kałużach. Prócz deszczu słychać było szept ustawiczny, straszny w swym uporze i w treści.

— Zginiemy tu. Pomrzemy tu. Nikt już stąd nie wyjdzie. To nie czyściec. To piekło. Jesteśmy w piekle.

Głos ten, z wytrwałością pobożnych odmawiających litanię, powtarzał wciąż ten sam werset, od kiedy zapadła w bloku wieczorna cisza.

— Pomrzemy tu. Zginiemy tu, Nikt stąd nie wyjdzie.

I wtedy stała się rzecz, od której skóra ścierpła. Stała się rzecz, od której diamentowe oczy Wieroczki znalazły się wyżej — widocznie chora usiadła i nasłuchiwała. Z daleka, przez deszcz, przez pogrzebowy żałobny werset szeptany tuż przy nas, szedł potężny śpiew. Przełamał przestrzeń, przełamał bramy i druty, przełamał ściany baraków. Przed śpiewem tym wszystko ustąpiło, wszystko ucichło. Czy sto męskich głosów śpiewało, czy tysiąc — nie wiem. Od obozu męskiego szła pieśń usłyszana wtedy przeze mnie po raz pierwszy:

Sziroka strana maja radnaja,
Mnogo w niej paliej, liesow i riek,
Ja drugoj takoj strany nie znaju,
Gdie tak wolno dyszyt czełowiek...

W pieśni radzieckiej zamknięty jest niezwykły urok, co rozsadza piersi człowieka silnym oddechem i zmusza go do spojrzenia wzwyż, w przestrzeń, po której — nawet nad wielkimi miastami, nawet nad obozami koncentracyjnymi — szybują swobodnie ptaki. Coś z ogromnych obszarów stepu, coś ze wspaniałego poczucia wolności jest w pieśni radzieckiej.

Czy dachy baraków uniosły się w górę, że słychać było tę pieśń tuż, o krok, dokoła; pełne jej było powietrze, pełna jej była oświęcimska noc. Jakby milion potężnych ludzi szedł naprzeciwko drugiego miliona wołając nań tą pieśnią.

Solange, młoda Francuzka, leżąca obok Wiery, usiadła wsparłszy się na łokciu i zawołała do chorej:

— Wierka, Wieroczka, czy słyszysz?

Dłoń Wiery zacisnęła się pod szyją na więziennym drelichu.

— Słyszę. To nasi. To jeńcy wojenni. Oni tak śpiewają, bo poczuli w powietrzu nasz rosyjski proch, bo posłyszeli dalekie detonacje naszych armat, od których i tu, w Oświęcimiu, też wkrótce ziemia zadrży. Idzie wielka ofensywa! Idzie w o l n o ś ć!

Tak mówiła do nas Wiera cichutkim swoim głosem. A tam, z obozu męskiego, potęgą nieprzepartą rwał się w powietrzu śpiew wolnych ludzi...

...Sziroka strana maja radnaja...

Dziś ten śpiew stał się śpiewem milionów. Dziś, tak jak wówczas, wnika on za druty obozów koncentracyjnych w Vietnamie, w Korei, dziś, tak jak wówczas, więźniowie podnoszą głowy słuchając go. I mówią, jak mówiła Wiera: — Słyszę. To nasi!

Na zachodzie słychać także ten śpiew.

✻

Dzieci koreańskie wyrwane z terenów ustawicznie bombardowanych i przywiezione do Polski zaczynają się już nieśmiało uśmiechać; nie wszystkie jednak; widziałam dziewczynkę, której wielkie oczy i rysy bladej twarzyczki zachowały niezmienny wyraz tragicznej zadumy.

Przedstawiciel Francji, Palant, powiedział na Międzynarodowym Zjeździe b. więźniów Oświęcimia: „My, więźniowie, stajemy wszędzie tam, gdzie broni się życia — to dowód naszej wierności wobec przysięgi złożonej zamordowanym towarzyszom. Dopóki będzie się zabijać, mordercy znajdą nas na swojej drodze". Palant obmyślił formy walki o pokój dla ludzi wszelkich zawodów — pisarze, lekarze, księża, robotnicy, pracownicy umysłowi — niech nie ustają w walce, niech walczą wszelkimi dostępnymi środkami.

Pisarze czasem spotykają się z niechęcią, znajdują uszy zaklejone woskiem. Anglosasi pierwsi zaprotestowali przeciwko tematyce wojennej, oświadczając, że to razi ich poczucie smaku, że „makabra", że „martyrologia" to rzeczy wręcz niestrawne, nie do zniesienia. Śmiejmy się z tego, głośno się śmiejmy, do rozpuku, aż się nam będą trzęsły brzuchy!

Że niestrawne? Że po dobrym obiedzie dobrze się trawi czytając powieści gangsterskie, kryminalne romanse, przyprawione krwią, pływające w pikantnym sosie pornografii? Możliwe! Po siedem trupów w rozdziale, po siedem trupów w portowej bójce — możliwe, że dla polityków z Zachodu to lektura mniej denerwująca, niż książki, których każda strona woła o rozwagę, których każda strona przypomina o nieuniknionej odpowiedzialności, których każda strona oskarża i ostrzega, których każda strona jest apelem obrońców pokoju. Wykręt pozostanie tylko wykrętem. Na szczęście moda zaklejania uszu woskiem coraz mniejsze ma na świecie powodzenie.

Literatura radziecka obok wielkich tematów najnowszych, współczesnych, nie zaniedbuje obowiązku rozpatrzenia minionej wojny. Ilja Erenburg macza pióro w ogniu i krwi, więcej — ciska granatami jasnych argumentów i trafnych sformułowań; stając na pozycjach wojny walczy o pokój.

Opustoszałe baraki Oświęcimia pełne są śladów po ludziach, którzy tędy przeszli. Nacięcia na belkach, znaki wydrapane nożem, gwoździem czy kawałkiem blachy, nieczytelne litery kresliła ręka więźnia, nim skonał, ręka poczerniała, wychudła, brudna. Te myśli należy odczytać, ostatnią wolę ginących należy rozszyfrować i ogłosić światu, temu światu, który nie zakleja uszu woskiem. Ogłośmy pamiętniki lekarzy, którzy zetknęli się z hitleryzmem. Opublikujmy to wszystko, co żyje w zapiskach i w pamięci ludzi. W świadomości ludzkiej budujmy bazę przeciwko faszyzmowi, przeciwko drutowaniu zasiekami obozów koncentracyjnych ludzkiego życia, przeciwko drutowaniu kuli ziemskiej.

✻

Pisarz holenderski Sam Kosmet opowiedział nam podczas obrad Zjazdu, jak powitano w jego kraju hitlerowskie rządy. Mówił, że społeczeństwo po prostu zastrajkowało. Był to zbiorowy opór manifestujący postawę wolnego narodu wobec faszystowskiego bezprawia. Kiedy wyszło zarządzenie, dotyczące tylko ludności żydowskiej, o obowiązku noszenia gwiazd na odzieży, całe społeczeństwo holenderskie na znak oburzenia i protestu, a głównie na znak silnego solidaryzowania się z ludnością pochodzenia żydowskiego, przypięło takie same gwiazdy.

Bezsprzecznie, były to próby zbyt słabe, żeby bez militarnej pomocy Związku Radzieckiego i wojsk sprzymierzonych złamać hitleryzm. Lecz próby były. Był ruch oporu, który tak samo nie ustąpił dotąd ani na krok wobec faszyzmu, jak i nie ustąpił faszyzm, który na zachodzie nie złożył dotąd broni. Tak. Faszyzm nie złożył broni, grupa szaleńców, usiłujących na nowo świat pchnąć do rzezi, nie zrezygnowała z godła trupiej czaszki i skrzyżowanych piszczeli. Lecz nas interesuje nieco inna sprawa. Nas interesuje, co myśli na zachodzie c z ł o w i e k, ten człowiek, od którego zarówno władze amerykańskie jak neohitlerowcy wymagają, by nosił broń. O, tu, tu jest słaby punkt podpalaczy świata. Tu ich boli najbardziej. Bo człowiek, ten posłuszny, zdyscyplinowany niemiecki człowiek n i e c h c e n o s i ć b r o n i!

Aż 84 proc. ludności w Niemczech Zachodnich wypowiada się przeciwko remilitaryzacji. Organizacja VVN zwalcza myśl wskrzeszenia Wehrmachtu. Trwają strajki ostrzegawcze w Trizonii.

Widmo rasizmu błąka się nadal w krajach „starego świata", lecz „stary świat" kurczy się coraz bardziej w miarę odpadania jego zwolenników; kurczy się, jakby był zbudowany z lodowca i nie wytrzymywał gorącego tchnienia idących naprzód ludów, które śpiewają o rzeczach tak rewolucyjnych, jak oświata dla wszystkich bez względu na narodowość, rasę lub wyznanie, jak równe prawa dla kobiet, jak praca i chleb dla chcących pracować.

Na zachodzie są zmiany, inny wiatr wieje od zachodu, wdycha go człowiek pełną piersią, prostuje się, podnosi głowę. Chce żyć i pozwolić żyć innym, chce budować, chce walczyć z fantazjami rzek i podporządkowywać je swoim planom, chce odgadywać fanaberie przyrody i zawładnąć nią. Przyjął już nowe idee, które głosi, szerzy, propaguje: Pokój — ludziom, chleb — głodnym, praca — bezrobotnym.

Sweryna Szmaglewska

DZIEJE LAT WALKI

(Dokończenie ze str. 4-ej)

przedstawiają w swych powieściach taki np. Martin du Gard czy Aragon *), zamiast głosić niekiedy ogólnikowe maksymy filozoficzne, jak to jest u Brandysa, charakterystyka ich wypadłaby barwniej i żywiej, a obeszłoby się bez oddzielnych wstawek.

Coraz wyraźniej odczuwa się też rozdźwięk pomiędzy bogatą, realistyczną koncepcją tabularną a pozostałościami owego aforystycznego stylu, którym w ostatnim tomie Brandys niekiedy jeszcze zastępuje zwykły potoczny język swoich postaci. Zdarza mu się to zresztą coraz rzadziej i czytelnik ostatniego tomu nie może nie docenić faktu, że zarówno w obrazie zajść w Białych Rudach, jak w zamykającym powieść opisie akcji kaleńskiej, styl Brandysa staje się coraz mniej konwencjonalno-literacki, coraz bardziej realistyczny.

NOWY ETAP

Na przykładzie ostatniego tomu cyklu widać też najlepiej, jak przebiega ten proces. Zrazu zmiana stylu Brandysa nie odbywa się bez ofiar. Jego literacko-esseistyczna proza w „Samsonie", „Antygonie" i „Troi" skrzyla się od zręcznych metafor, dowcipu, liryzmu. W porównaniu z nimi część pierwsza tomu ostatniego, opisy powstania, wędrówek Szarleja, jego kontaktów ze środowiskiem mieszczańskim i pierwszych zetknięć z szoferskim kolektywem — są raczej szare i rozwlekłe. W drugiej części natomiast tok narracji ożywia się, autor zdobywa się na coraz śmielej stosowany epicki rozmach, kreśli szeroki obraz toczonej walki, trafnie wyczuwa atmosferę chwili dziejowej. Poprzez karty poświęcone akcji kolumny agitacyjnej w Białych Rudach i Kaleniu atmosfera ta przebija wyraźnie. Czujemy, że mamy tu do czynienia nie z pojedynczymi bohaterami, ale z masami ludzkimi, z całą nową dorastającą i walczącą klasą społeczną. Nowa tematyka wzbogaca wizję, wzbogaca także styl autora.

Być może, iż z rozmowami robotników, ich subtelnościami stylistyczno-intonacyjnymi Brandys nie jest tak osłuchany jak ze stylem środowisk inteligenckich, względnie tych „peryferii proletariatu", jakie stanowią warszawski „cieć", czy też ów typ mniej lub więcej sympatycznego cwaniaka, którego w inny nieco sposób uwiecznił Wiech. W poprzednich tomach styczność z klasą robotniczą manifestowała się u Brandysa głównie przez takie właśnie peryferyjne postacie. Dlatego nie powinno nas dziwić, że na czoło pozytywnych sylwetek w czwartym tomie (negatywne bowiem jak Frydel, Alicja, Ponte, łamistrajk Luś, kreśli Brandys nadal znakomicie, ciętym piórem satyryka) wysuwa się również sympatyczny Ciężarek, rodzony brat Fiałki z „Samsona", odmalowany z ciepłym sentymentem warszawski chłopak z przedmieścia.

Być może, iż wielka ilość wprowadzonych postaci nie zawsze jest dostatecznie zindywidualizowana, niektóre z nich zlewają się ze sobą. Trudno na przykład zapamiętać, czym różnią się od siebie Krystyn i Krajewski, kim są właściwie Gaj, Lelkowski, Cyrański.

Pewne postaci rysują się jednak plastycznie, na przykład typ starego dojrzałego komunisty Zajdla, autorytetu ideologicznego dla grupy młodych towarzyszy, epizodyczna postać starego robociarza Władysławskiego w Białych Rudach, Kurzawiec, który załamuje się, a później przezwycięża swój strach w oblężonym Kaleniu, sekretarz komitetu powiatowego Janisz, dobry towarzysz, który jednak przytłoczony ciężarem sytuacji w terenie nie umie w pewnej chwili ogarnąć jej z należytej perspektywy.

„Całkiem niezły gość — mówi o nim Ciężarek, wysłuchawszy jego opowieści — tylko nie wszystko powiedział..." I dodaje: „Ludzie to wywąchali... on już siły naszej w sobie nie ma..."

Umiejętność oddania tego poczucia „naszej siły", siły, jaką reprezentuje agitacyjna kolumna partyjniaków jadąca w teren, ów wyraz głębokiej wiary, przekonania i zapału, jakie ją ożywiają — to wielkie osiągnięcie artystyczne Brandysa.

„ — No — roześmiał się Pankrat — do Warszawy i tak nie zawrócimy! Chcecie na nas lać zimną wodę, to lejcie. Mówcie do końca: co robić. Według mnie: po pierwsze agitować...

— ... po drugie: agitować, po trzecie: agitować — odrzucił spod okna Zajdel."

Poprzez te słowa słyszy się partię, czuje się jej ducha. W tych końcowych rozdziałach powieści wyrasta też po raz pierwszy żywe i prawdziwe, prawdziwie partyjne oblicze Pankrata. To już nie ów dziwnie lekkomyślnie i niemądrze jak na partyjnego działacza zachowujący się człowiek, jakiego widzieliśmy w „Troi". To partyjniak całą gębą, człowiek mocny, budzący zaufanie każdym swoim posunięciem. Sposób, w jaki zachowuje się w Białych Rudach, mówi o wielkiej sile wewnętrznej, zawiera w sobie patos prawdziwie rewolucyjny.

W obrazie młodych Zetempowców w czasie akcji na Kaleń, w ich rozmowach, widać próbę zarysowania oblicza psychologii nowego człowieka, myślącego o przyszłości, którą buduje: zarysowania w sposób niekiedy naiwny, ale mówiący, że wysiłek autora idzie w kierunku właściwym, w kierunku dostrzeżenia, pogłębienia znajomości tych zjawisk naszego życia, których przedtem nie dostrzegał on i nie obrazował.

Te wartości sprawiają, że czwarty tom cyklu Brandysa, a zwłaszcza jego druga część, stanowią nowy, jakościowo różny od poprzednich etap w rozwoju twórczym pisarza. W poprzednich tomach Brandys z pasją demaskował, chłostał biczem satyry, wycinał z precyzją chirurga chorobliwe nowotwory dawnego społeczeństwa. W ukazywaniu perspektyw nowego był nieśmiały, niezdecydowany, ogólnikowy. Brak postaci i wydarzeń, które charakteryzowałyby to „nowe", nadrabiał komentarzem też — jak widzieliśmy — nie zawsze szczęśliwym. W tomie czwartym Brandys występuje jako epik narodzin nowej rzeczywistości, obraz tych narodzin umieszcza w pierwszym planie powieści, czyni zeń w drugiej części tomu problem centralny, wobec którego nawet bezbarwna postać głównego bohatera schodzi na drugi plan. Bohaterem właściwym jest tu klasa robotnicza, w obrazie jej zmagań z wrogiem daje się odczuć element tego rewolucyjnego romantyzmu walki, którego nie umiała często wydobyć nasza literatura lat ostatnich.

Bohdan Czeszko w wydanym ostatnio „Pokoleniu" pokazał po raz pierwszy oblicze naszej młodzieży, walczącej w latach okupacji, ale powieść jego kończy się na powstaniu warszawskim. Nasza powieść tzw „produkcyjna" lat ostatnich przeskoczyła, wyminęła ów trudny okres walk i zmagań w okresie budowy podstaw naszego państwa ludowego. Ukazał go do pewnego stopnia Andrzejewski w „Popiele i diamencie", ale od innej strony. Ukazał fałszywy „romantyzm" walki zbłąkanych, zagubionych, ich tragedię. Nie pokazał naszej walki. Brandys uczynił to pierwszy.

Jeżeli nawet wzięty jako całość IV tom cyklu nie jest jeszcze, głównie ze względu na chybioną postać bohatera, powieścią, którą można ocenić bez zastrzeżeń — to jest ona na pewno drogą ku takiej twórczości, jakiej od Brandysa oczekujemy, jest wyrazem partyjnej postawy pisarza, o której nie zawsze najszczęśliwiej mówiły nam poprzednie tomy cyklu.

Pamiętać tu trzeba o tym, że kończąc swój cykl Brandys był do pewnego stopnia związany konstrukcją i stylem całości utworu. Należy podkreślić z uznaniem rzadką u naszych pisarzy wytrwałość Brandysa, szlachetny upór, z jakim doprowadza do końca dzieło, którego zarys koncepcyjny i pierwsze tomy powstały w latach nienajpomyślniejszych dla rozwoju naszej nowej literatury: w okresie zamętu ideowego w krytyce, nieprecyzowania jeszcze postulatów literaturze naszej stawianych, przed wysunięciem hasła realizmu socjalistycznego.

Jeżeli mimo to cykl jako całość żyje pełnią realistycznych obrazów, jeśli daje szeroki i barwny obraz ludzi i epoki, jeśli smaga biczem celnej krytyki i satyry to, co jest nam obce i wrogie, a z sympatią i zrozumieniem kreśli drogi, którymi idziemy naprzód do socjalizmu, jeśli pociąga przy tym atrakcyjną fabułą, ożywioną jakże często ciętym dowcipem, ironią, urzeka lirycznym — to niewątpliwie w sumie żadne, najsłuszniejsze nawet zarzuty nie przesłonią tu wielkiego sukcesu pisarza. Sukcesu, jakim jest dzieło wielkiej pracy i wielkiego talentu, jedno z najciekawszych osiągnięć naszej prozy powojennej. Jego znaczenie i poczytność ma wszelkie szanse przetrwania przez długie lata w dorobku literatury naszych dni.

Ryszard Matuszewski

*) Sam Brandys robi to niekiedy świetnie, np. w „Troi", kiedy w usta Pankrata podczas rozmowy w rodzinie Kotlarów wkłada relację o wojnie w Hiszpanii.

Z OKAZJI
ŚWIĘTA ARMII RADZIECKIEJ
WYZWOLENIE
Zbiór relacji i wspomnień
str. 307 zł 30.—
O ARMII RADZIECKIEJ
Zbiór artykułów
str. 203 zł 5.50
ŻDAN W.
ARMIA RADZIECKA W SZTUCE FILMOWEJ
str. 137 zł 6.50
WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

KAROL DARWIN
Podróż na okręcie „BEAGLE"
Notatnik z podróży
Słowo wstępne T. Marchlewskiego
Str. X, 514 opr. zł 29.50
„KSIĄŻKA i WIEDZA"

JULES VALLES
JAKUB VINGTRAS
I. — Dzieciństwo
Str. XXVI, 281 zł 9.60
II. — Pechowa młodość
Str. X, 309 zł 9.70
III. — Zbuntowany
Str. X, 273 zł 9.60
W przekładzie J. Rogozińskiego
„KSIĄŻKA i WIEDZA"

Z TYGODNIA

W KRAJU

KOMITETY OBCHODU 100 ROCZNICY ŚMIERCI GOGOLA I 150 ROCZNICY URODZIN VICTORA HUGO

powołało Prezydium PKOP, podejmując inicjatywę Światowej Rady Pokoju. Komitetowi Obchodu 100 rocznicy śmierci Gogola przewodniczy prezes Zw. Literatów Polskich, L. Kruczkowski.

Komitetowi Obchodu 150 rocznicy Victora Hugo — minister Szkolnictwa Wyższego, A. Rapacki.

W CELU SPOPULARYZOWANIA TWÓRCZOŚCI OBU WIELKICH PISARZY

w całym kraju w zakładach pracy, we wsiach i szkołach organizowane będą odczyty i pogadanki. Nakładem „Książki i Wiedzy" ukaże się masowe wydanie „Wesołych opowiadań" Gogola oraz powieści „Nędznicy" i „Człowiek śmiechu" V. Hugo; nakładem PIW — książka P. Grzegorczyka pt. „Gogol w Polsce". Teatry będą wystawiać komedie Gogola. Obchód ku czci Gogola zainauguruje uroczysty wieczór literacki w Warszawie w dn. 4 marca.

KONCERTY SYMFONICZNE POŚWIĘCONE UTWOROM BEETHOVENA

odbędą się w Filharmoniach państwowych w okresie od marca do połowy kwietnia b. r. — celem uczczenia 125-ej rocznicy śmierci wielkiego kompozytora.

FESTIWAL SZTUK POLSKICH W PIONIE AMATORSKIM

rozpoczął się na terenie całego kraju 1 lutego. Zespoły teatralne przy domach kultury, świetlicach i klubach przystąpienie do prób poprzedziły akcją samokształceniową i czytelniczą. Obecnie przeprowadzane są eliminacje powiatowe, które w kilku województwach zostały już zakończone.

ZESPÓŁ TEATRALNY KLUBU FABRYCZNEGO PRZY ZPB IM. STALINA

w Łodzi — wystawił w Festiwalu sztukę J. Warmińskiego „Zwycięstwo". Główną rolę Antoniny Pietrzakowej odtwarza przodownica pracy, prządka H. Sierakowska, Wojciecha Pietrzaka — ślusarz W. Karkowski, Jana Pietrzaka — kierownik przędzalni K. Kurowski. Na premierę przybyła delegacja ze wsi Rozgard, reprezentująca spółdzielnię produkcyjną „Zwycięstwo", której historię powstania obrazuje sztuka Warmińskiego. Na czele delegacji stała Antonina Pietrzakowa.

KOLEJARZE SZCZECIŃSCY PRZYGOTOWUJĄ „FIRCYKA W ZALOTACH"

F. Zabłockiego. Przedstawiciele zespołu Zw. Zaw. Kolejarzy, szukając wzorów do dekoracji i kostiumów, odwiedzili muzea w czterech miastach. Zespół ten własnymi siłami wykonał dekoracje, kostiumy, a nawet i stylowe meble.

GÓRNICY WYSTĘPUJĄ W SZTUCE A. STERNA „GÓRNICY"

— sztukę tę przygotował na Festiwal zespół teatralny Domu Górnika w Warku.

ZESPÓŁ Z PGR W GRODKOWICACH

(pow. bocheński) rozpoczął swoje występy w Festiwalu sztuką Piotrowskiego „W rodzinnym domu".

PONAD 100-OSOBOWY REPREZENTACYJNY ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA

organizuje CRZZ. W skład zespołu wejdą: chór mieszany, grupa taneczna oraz zespół instrumentalny. Siedzibą zespołu będzie ośrodek szkoleniowy CRZZ w Skolimowie.

BADANIA NAD STOSUNKAMI LITERACKIMI POLSKO - RADZIECKIMI

— taki był temat odczytu wygłoszonego 9 b. m. w Instytucie Polsko-Radzieckim przez prof. dr M. Jakóbca. W najbliższym czasie program popularnych odczytów naukowych, organizowanych przez Instytut, przewiduje m. in.: w dn. 23 b.m. odczyt p. t. „Uwagi o autorze „Rewizora", 28 b. m. — „Zagadnienia muzyki radzieckiej".

6 OBRAZÓW PĘDZLA WOJCIECHA I JERZEGO KOSSAKÓW

przekazał do dyspozycji Muzeum Narodowego w Warszawie Komitet Łączności Kulturalnej z Zagranicą Ukraińskiej SRR w imieniu płk. Aleksandra Tkaszko. Płk. Tkaszko, bohater Zw. Radzieckiego, dowodził w czasie wojny oddziałem partyzanckim, który rozbił tabor wojsk hitlerowskich, wiozący m. in. zrabowane obrazy. Płk. Tkaszko i jego żona, również partyzantka, zabezpieczyli obrazy chroniąc je przed zniszczeniem. Obrazy przekazano do Polski po wykonaniu odpowiednich zabiegów konserwatorskich.

„TEATR" JAKO DWUTYGODNIK

— ukazał się pierwszy numer nowego czasopisma, organu SPATiF, który w odróżnieniu od dotychczasowego miesięcznika pod tym samym tytułem — przeznaczony jest dla szerokiego kręgu miłośników teatru. Redaktorem naczelnym pisma jest E. Csato.

WYSTAWA POŚMIERTNA PRAC STANISŁAWA KAMOCKIEGO

wybitnego artysty - malarza — otwarta została ostatnio w Katowicach. Wystawa obejmuje ok. 90 prac artysty, w większości — pejzaży.

ZA GRANICĄ

PONAD 7.500.000 EGZEMPLARZY DZIEŁ GOGOLA

ukaże się nakładem wydawnictw radzieckich w związku z 100-ną rocznicą śmierci Gogola. Akademia Nauk ZSRR przygotowuje 14-tomowy oraz 5-tomowy zbiór dzieł Gogola, Państw. Wyd. Literatury Pięknej — ponadto 6-tomowy oraz 1-tomowy zbiór dzieł wybranych.

WYSTAWIENIE „ZWYKŁEJ SPRAWY" A. TARNA W KIJOWIE

przygotowuje zespół Ukraińskiego Teatru Dramatycznego im. I. Franki.

WYSTAWĘ PLAKATU POLSKIEGO

otwarto ostatnio w Kijowie staraniem Konsulatu R. P.

„LITERATURA DZIECIĘCA W ŚWIETLE ZADAŃ WYCHOWANIA KOMUNISTYCZNEGO"

— referat na ten temat wygłosiła wicemin. Oświaty RSFRR L. Dubrowina podczas sesji Akademii Nauk Pedagogicznych RSFRR, poświęconej problemom literatury dziecięcej.

OGÓLNOBERLIŃSKA KONFERENCJA DZIAŁACZÓW KULTURY

artystów, muzyków, literatów, filmowców, architektów i naukowców — odbyła się ostatnio w stolicy NRD. Zgromadziła ona ponad 250 uczestników ze wszystkich sektorów Wielkiego Berlina, z tej liczby prawie 2/3 z sektorów zachodnich. Zach. - berlińscy artyści i naukowcy przybyli na konferencję mimo terrorystycznych zarządzeń i gróźb ze strony władz zach. Berlina. Na konferencji przyjęto rezolucję domagającą się m. in. pokojowej odbudowy całego Berlina, zacieśnienia współpracy między działaczami kultury i artystami stolicy Niemiec, wspólnego przeprowadzenia obchodu 125-lecia urodzin Beethovena i obrony narodowej kultury niemieckiej przed zalewem „kultury meczów bokserskich kobiet, i zawodów tanecznych na wytrzymałość". Zażądano również zniesienia ograniczeń stawianych artystom przez Senat zach. Berlina, uniemożliwiający im swobodne występowanie w całym mieście, a nawet szykanujący za występy w teatrach i salach koncertowych sektora demokratycznego. List z serdecznymi pozdrowieniami dla konferencji nadesłał m. in. znany kompozytor operetek Eduard Künnecke.

„A JĘZYK NIEMIECKI ZBRZEŁOŻONO W NRD

m. in. następujące utwory literatury polskiej: W. Wasilewskiej „Ziemia w jarzmie", I. Newerlyego „Archipelag ludzi odzyskanych", Wł. Kowalskiego „Dalekie i bliskie", H. Górskiej „Druga brama", H. Boguszewskiej „Żelazna kurtyna", T. Konwickiego „Przy budowie", T. Borowskiego „Muzyka w Herzenburgu", St. Wygodzkiego „W kotlinie".

DO ZORGANIZOWANIA NARODOWEGO OBCHODU 150-EJ ROCZNICY URODZIN VICTORA HUGO

wzywa rząd francuski rezolucja złożona w Zgromadzeniu Narodowym przez grupę deputowanych komunistycznych z Marcel Cachin, Jacques Ducios i Georges Cogniot na czele. Rezolucja proponuje urządzenie uroczystości w Sorbonie, w Panteonie i tp. — w porozumieniu z istniejącym Komitetem Obchodu, złożonym z członków rodziny pisarza i wybitnych literatów francuskich. Projekt obchodu przewiduje ponadto specjalne przedstawienia teatralne, wydanie w masowym nakładzie dzieł wybranych Hugo, przeprowadzenie Dnia Victora Hugo w szkołach, sesję naukową w Sorbonie, audycje radiowe itp.

„MIASTO NIEUJARZMIONE" NA EKRANACH PARYSKICH

— poczynając od 8 lutego film ten jest wyświetlany jednocześnie w 3 kinach paryskich. Film poprzedza wzruszający poemat Paul Eluarda, napisany specjalnie dla francuskiej wersji „Miasta nieujarzmionego".

1.500.000 FRANKÓW MIESIĘCZNIE

proponowano filmowcom francuskim za udział w realizacji filmu gloryfikującego „bohaterskie czyny" najeźdźców na Korei. Rząd znalazł na ten cel ogromne fundusze, których odmawiał dotąd na realizację innych filmów. Komitet Obrony Pokoju, złożony z pracowników filmu francuskiego — zaapelował do filmowców — i... trzydziestu pierwszych operatorów, do których kolejno zwrócono się z propozycją współpracy — odmówiło uczestniczenia w realizacji tego rodzaju filmu...

WŁOSKI KOMITET OPIEKI NAD ZABYTKAMI SZTUKI

zaprotestował zdecydowanie przeciw utworzeniu w skarbnicy sztuki — Florencji bazy wojennej sztabu lotnictwa strefy południowej paktu atlantyckiego. W posiedzeniu Komitetu we Florencji wzięli udział najwybitniejsi działacze nauki i sztuki, profesorowie uniwersytetu, literaci i artyści.

W WIEDNIU OTWARTO WYSTAWĘ PRAC PROF. T. KULISIEWICZA

wybitnego polskiego grafika. Podczas uroczystości otwarcia przemówił znany postępowy malarz austriacki Axel Leskoschek.

WAWRZYNIEC ŻUŁAWSKI

Muzyka kameralna w Warszawie

Nasz apel w sprawie muzyki kameralnej, tylokrotnie ponawiany na łamach „Nowej Kultury" w ciągu ostatnich kilku lat, doczekał się nareszcie próby realizacji. Warszawska kameralistyka ruszyła z martwego punktu. Zaledwie tydzień temu recenzowaliśmy wieczór sonat skrzypcowych w sali Muzeum Narodowego, a już obecnie mamy do odnotowania wydarzenie niemałej wagi: 12 b.m. w tejże sali odbył się koncert, na którym po raz pierwszy bodaj od czasu wojny publiczność warszawska miała możność usłyszenia kwartetów smyczkowych Beethovena. Nie tylko na tym jednak polega doniosłość wydarzenia. Jeszcze ważniejszy jest fakt, że koncert ten — to pierwszy z zapowiadanego cyklu koncertów kameralnych, poświęconych twórczości Ludwika van Beethovena z okazji 125 rocznicy śmierci kompozytora. W ciągu lutego i marca odbędzie się takich koncertów cztery. Usłyszymy na nich siedem lub osiem spośród szesnastu wspaniałych kwartetów smyczkowych Beethovena. Do pełnego cyklu brak zatem mniej więcej drugie tyle, ale nie narzekajmy — koncerty te to i tak ogromny krok naprzód w zakresie udostępnienia publiczności arcydzieł muzyki kameralnej.

Cykl beethovenowski to tylko początek. Natychmiast po nim, w ramach projektowanego Festiwalu Dzieł Karola Szymanowskiego z okazji 15 rocznicy jego zgonu — (29 III — 6 IV b.r.) odbędą się dwa lub trzy koncerty kameralne, na których wykonane będą oba jego kwartety smyczkowe. Poza tym w maju, w okresie uroczystości moniuszkowskich (80 rocznica śmierci), odbędą się dwa dalsze koncerty, zawierające w programie obydwa kwartety Moniuszki — w których ukazane będzie inne, prawie nieznane dotąd oblicze twórcy „Halki".

Ogółem — na pierwsze półrocze b.r. zaplanowanych jest 8 koncertów kameralnych. W stosunku do dotychczasowej posuchy kameralnej jest to już wkład bardzo poważny, tym więcej, iż — mamy nadzieję — sezon jesienny będzie niemniej ożywiony.

Przy organizowaniu tych koncertów — z inicjatywy Centralnego Zarządu Teatrów, Opery i Filharmonii „Artos" nie uląkł się szczęśliwie ryzyka finansowego, jakie istniało przy imprezie bądź co bądź nowej, a przez to budzącej obawy, czy frekwencja publiczności będzie wystarczająca. Nota bene — inicjatorzy słusznie zmniejszyli ryzyko do minimum, układając programy w ten sposób, że oprócz kwartetów zawierają one sonaty fortepianowe i skrzypcowe bądź pieśni (w koncertach Szymanowskiego i Moniuszki) w wykonaniu atrakcyjnych solistów. Już pierwszy zresztą koncert udowodnił, że obawy co do frekwencji były niesłuszne.

Wielu badaczy muzyki uważa kwartety smyczkowe Beethovena za najwspanialszą, najbardziej wartościową część twórczości tego kompozytora. Faktem jest, że w tej właśnie formie muzycznej zamknął Beethoven taką głębię myśli, takie bogactwo treści, że kwartety nie ustępują pod tym względem nawet najgenialniejszym z jego symfonii. Jest to również jedyna chyba dziedzina muzyki, w której Beethoven przewyższył nawet Mozarta pod względem formy i faktury. Świadczy o tym doskonała równowaga konstrukcji, a jeszcze więcej — nieporównana świetność brzmienia, wydobywając z małego zespołu czterech instrumentów smyczkowych monumentalne, prawie symfoniczne efekty i barwy. Jeśli w symfoniach genialne zrywy rozpierają i przełamują niekiedy formę i środki, w kwartetach na każdym kroku uderza zgodność myśli i jej realizacji — tego co chce się powiedzieć z tym, co ostatecznie zostało wypowiedziane. Dlatego kwartety Beethovena stanowią wzór jedności treści i formy, dlatego śmiało można stwierdzić, że w zakresie kwartetu nikt przedtem ani później nie osiągnął takich szczytów doskonałości.

W programie koncertu inaugurującego cykl beethovenowski usłyszeliśmy dwa kwartety smyczkowe: op. 18 nr 1 oraz op. 59 nr 3. Sześć pierwszych kwartetów Beethovena, wydanych wspólnie jako opus 18, nosi dość wyraźne jeszcze cechy klasycyzmu wiedeńskiego. O ile jednak napisana nieco później I Symfonia wykazuje dość dużą zależność od stylu Haydna i Mozarta, o tyle w kwartetach od pierwszej chwili Beethoven jest samym sobą. Pozostały klasyczne proporcje i może pewna powściągliwość uczucia, zjawiły się myśli własne, nowe, zjawiły się brzmienia odkrywające nowe możliwości kwartetu smyczkowego. Z czterech części kwartetu pierwsza wyróżnia się polifoniczną fakturą, druga — lirycznym ciepłem. Po doskonałym scherzo następuje trochę mniej już może interesujący finał.

Kwartet op. 59 nr 3 należy do trzech kwartetów napisanych na zamówienie rosyjskiego magnata, wielkiego miłośnika muzyki, księcia Razumowskiego. Genialna osobowość Beethovena jaśnieje tu pełnym, dojrzałym blaskiem, odkrywczość i swoboda w operowaniu zespołem posunięta jest do maksimum. Do tych trzech kwartetów starał się Beethoven wpleść elementy słowiańskie — bardzo zresztą po beethovenowsku przetworzone. W trzecim z kwartetów jest ich niewiele, najwięcej może w części drugiej, w śpiewnej, lirycznej kantylenie rozwijającej się na tle pizzicato wiolonczeli. Spokojny Menuet (część trzecia) łączy się bezpośrednio z kapitalnym finałem, napisanym w formie zwięzłej fugi.

Wykonawcą był Kwartet Krakowski — ten jedyny dotąd niestety kwartet w Polsce (poza radiowym), pracujący nie od okazji do okazji, lecz stale i systematycznie. Ten styl pracy pozwolił Kwartetowi Krakowskiemu osiągnąć godny uwagi poziom i wyniki. Ostatnio został on wyróżniony nagrodą na Festiwalu Muzyki Polskiej. Zespół ten, składający się z czworga wytrawnych muzyków: *Stanisława Taurosa* (I skrzypce), *Zbigniewa Szlezera* (II skrzypce), *Tadeusza Goneta* (altówka), i *Zofii Adamskiej* (wiolonczela) gra czysto i muzykalnie interpretuje wykonywane utwory. Na omawianym koncercie dobrze wypadł zwłaszcza kwartet op. 59.

Solistą był *Bolesław Woytowicz*. Wykonał on dwie spośród najbardziej ulubionych sonat fortepianowych Beethovena: „Patetyczną" (op. 13) i „Księżycową" (op. 27).

Wawrzyniec Żuławski

KORESPONDENCJA

O WSPÓŁPRACY PISARZA Z DZIENNIKIEM

DO REDAKTORA „NOWEJ KULTURY".

W n-rze 98 „Nowej Kultury" Stan. Ludkiewicz, omawiając dotychczasowe niedomagania w zakresie współpracy literatów z pismami codziennymi, przypisuje je m. in. temu, że jakoby „wielu literatów, z którymi podjęliśmy współpracę, ma tendencje (z błogosławieństwem ZG ZLP) do zajmowania się bardziej pracą społeczno - polityczną w literaturze aniżeli samą pracą twórczą". Twierdzenie takie (pomijając niejasność określenia „praca społeczno-polityczna w literaturze", które nie wiadomo co tutaj oznacza) jest po prostu nieprawdziwe. W szczególności Zarząd Główny ZLP stał dotąd i nadal stoi na stanowisku, a jego przedstawiciele podkreślali to wielokrotnie i dobitnie przy różnych okazjach, że najważniejszym zadaniem pisarzy jest właśnie *twórczość*. Organizacyjnym wyrazem tego stanowiska było powołanie przed 1½ rokiem „sekcji twórczych" ZLP, których żywej działalności przyświeca intencja pobudzania wysiłków twórczych pisarzy i pogłębiania problematyki twórczości literackiej we wszystkich jej rodzajach i gatunkach.

Niezależnie od tego Zarząd Główny ZLP docenia oczywiście w pełni rolę, jaką mają do spełnienia literaci w zakresie żywej publicystycznej współpracy z prasą codzienną, uważa jednak, że przyczyny dotychczasowych niedomagań tej współpracy widzieć należy w równej mierze po obu zainteresowanych w niej stronach. Sprawa ta będzie w najbliższym czasie przedmiotem wspólnej gruntownej narady przedstawicieli ZLP i Związku Dziennikarzy Polskich.

Leon Kruczkowski
Prezes Zarządu Głównego ZLP

DO ZESPOŁU REDAKCYJNEGO „NOWEJ KULTURY".

Szanowni Koledzy.

W artykule redaktora „Sztandaru Młodych", Stanisława Ludkiewicza, wydrukowanym w 6(98) n-rze Waszego pisma, przeczytałem ze zdumieniem następujące słowa:

„Redakcja największe trudności spotyka niejednokrotnie nawet przy samych próbach zadzierżgnięcia mocniejszych więzi współpracy z pisarzami, którzy nie mają dla siebie usprawiedliwienia „przeciążenia pracą organizacyjną". Np. K. Brandys, A. Tarn i inni."

Zdumienie moje po przeczytaniu tych słów było tak wielkie dlatego, że w ciągu całego okresu istnienia „Sztandaru Młodych" red. Ludkiewicz nigdy nie próbował osobiście zadzierżgnąć ze mną „mocniejszych więzi współpracy", jako z literatem i publicystą. Przyznaję ze skruchą, że red. Ludkiewicza znam tylko z widzenia, a głos jego słyszałem raz w życiu: w czasie dyskusji na zjeździe młodych pisarzy w Nieborowie w ub. r.

Wielu redaktorów pism codziennych i periodycznych zwraca się osobiście do poszczególnych pisarzy z zamówieniem artykułu na określony temat. Telefonują także i do mnie: odmawiam rzadko i tylko wtedy, gdy tkwię po uszy w innej robocie. Niestety, redaktor „Sztandaru Młodych" nigdy się do mnie nawet przez telefon nie odezwał.

Raz tylko w roku ubiegłym jeden z współpracowników „Sztandaru Młodych" zwrócił się do mnie o fragment prozy. Wybrałem wyjątek z powieści pt. „Człowiek nie umiera" i przesłałem go niezwłocznie do redakcji. Redakcja jednak fragment odrzuciła, jako nie nadający się do druku. Wydrukowało mi go w 2 tygodnie później krakowskie „Życie Literackie". Od tego czasu aż do lutego b. r. głos redakcji „Sztandaru" zabrzmiał w słuchawce mego telefonu tylko raz jeden: gdy któryś z pracowników redakcyjnych parę miesięcy temu przez pomyłkę nakręcił mój numer.

Ponieważ więc redaktor pisma ZMP nigdy mnie do współpracy nie zachęcał, a pierwsza próba współpracy bez mojej winy spaliła na panewce, ponieważ nadto „Sztandar Młodych" w ciągu swego istnienia nie zrecenzował żadnej z moich książek i nie przejawiał dla mojej pracy pisarskiej większego zainteresowania — łatwo zrozumieć zdumienie, z jakim przeczytałem słowa redaktora Ludkiewicza, zwrócone pod moim adresem.

Co zaś do stopnia obciążenia kol. kol. A. Tarna i K. Brandysa pracą organizacyjna — informacji w tej mierze udzieli w każdej chwili Zarząd Główny Związku Literatów Polskich, a w szczególności: kierownictwo Sekcyj Twórczych, Komisja Zagraniczna, Zarząd Sekcji Prozy i Zarząd Sekcji Dramatu.

Kazimierz Brandys

NIESŁUSZNE PRETENSJE

W Nr 6 (93) „Nowej Kultury" ukazał się artykuł redaktora naczelnego „Sztandaru Młodych", Stanisława Ludkiewicza, pt. „Z doświadczeń redaktora dziennika". W artykule tym autor zarzuca pisarzom, że „nie doceniają współpracy z gazetą w ogóle, a zwłaszcza z gazetą młodzieżową" i piętnuje Kazimierza Brandysa i piszącego te słowa jako literatów, z którymi redakcja „Sztandaru Młodych" ma „największe trudności... nawet przy samych próbach zadzierżgnięcia mocniejszych więzi współpracy". Red. Ludkiewicz dodaje, że wyżej wymieni nie mają na swoje usprawiedliwienie nawet „przeciążenia pracą organizacyjną".

Nie mam powodu ani zamiaru usprawiedliwiać się przed red. Ludkiewiczem. Nie należę i nie należałem do grona pisarzy, związanych w jakikolwiek sposób ze „Sztandarem Młodych". Redakcja tego dziennika nie tylko, że nigdy nie próbowała „zadzierżgnięcia mocniejszych więzi współpracy" ze mną, ale po prostu nigdy nie zwróciła się do mnie z propozycją współpracy, choćby dorywczej (z wyjątkiem prośby o wypowiedź o projekcie Konstytucji — w chwili właśnie, gdy naczelny redaktor atakował mnie w „Nowej Kulturze").

Nie mam więc potrzeby dowodzić, że red. Ludkiewicz trafił kulą w płot. Nie muszę nawet wyjawiać czytelnikom „Nowej Kultury", że należę do pisarzy, którzy właśnie są „przeciążeni pracą organizacyjną", o czym red. Ludkiewicz wiedziałby na pewno, gdyby miał bliższą styczność ze Związkiem Literatów Polskich.

Idzie mi o co innego — o pretensje redakcji „Sztandaru Młodych" do ogółu pisarzy, że nie doceniają, nie współpracują, nie rozumieją itd. Czy naczelny redaktor wielkiego dziennika naprawdę nie może pojąć tego, że wszyscy pisarze nie mogą być zawsze do dyspozycji wszystkich gazet, wszystkich tygodników, miesięczników, wydawnictw wszelkiego rodzaju, plus Polskie Radio, plus rozmaite instytucje społeczne, które proponują wygłoszenie odczytu, wyjazd w teren itp.? Czy naczelny redaktor wielkiego dziennika naprawdę nie wie, jak należy sobie zapewnić współpracę kilku czy kilkunastu pisarzy — czy też wyobraża sobie, że wystarczy zatelefonować o jakiejkolwiek porze dnia do jakiegokolwiek pisarza, by otrzymał artykuł na jakikolwiek temat?

Wszyscy niemal pisujemy artykuły, referaty, felietony. Nikt z nas nie uchyla się od tej pracy, przeciwnie! Każdy z nas usiłuje wykonać większą część zamówień, jakie walą się na niego. Ale nie można nam tych zamówień narzucać. I nie można nas traktować jak maszynkę do mielenia mięsa.

Pozwolę sobie dać przykład. Przed kilku dniami zwróciła się do mnie bardzo poważna instytucja, placówka naukowa, z propozycją opracowania wykładu pt. „Praca naukowa w ZSRR". Gdy tylko zacząłem czytać ten list, mimo woli sprawdziłem nazwisko adresata. Owszem, list był do mnie. Ale nie, nie wzięli mnie za naukowca. „Sądzimy — pisał dyrektor tej instytucji — że materiału do tego wykładu powinny dostarczyć takie powieści jak: Trifonowa „Studenci", Babajewskiego „Kawaler złotej gwiazdy", Kożewnikowa „Żywa woda."

Jestem przekonany, że wyrażam opinię olbrzymiej większości pisarzy polskich, gdy mówię, że nie można tolerować takiego lekceważenia naszego wysiłku, marnowania naszego czasu, ganiania nas od tematu do tematu, wzywania nas do każdej redakcji o każdej porze dnia, zamawiania u nas wykładów i referatów tak, jak się zadaje wypracowania szkolne.

Co do mnie, bardzo sobie cenię współpracę z „Trybuna Ludu". Nie znam innej redakcji, która by do pracy pisarza przywiązywała tyle wagi, otaczała ją takim szacunkiem i przyjmowała ją tak ciepło, jak „Trybuna Ludu". Zawsze jestem gotów i zawsze będę gotów napisać artykuł do tego dziennika. Miło mi również współpracować z „Trybuną Wolności". Ale mam prawo, sądzę, poprzestać na jednym dzienniku i jednym tygodniku, nie licząc pism literackich.

Niech więc red. Ludkiewicz stworzy sobie zespół pisarzy, którzy by podobnie myśleli o „Sztandarze Młodych", jak ja o „Trybunie Ludu" — i niech nam da pracować w spokoju!

Adam Tarn

„CENTRALA POETYCKA"

Wice-dyrektor w generalnej dyrekcji Domu Książki mówi:

— Budujemy kadry nowych sprzedawców książek, nowy, nie konserwatywny model księgarskiego pracownika, który potrafiłby na pytanie, „co jest z nowości", zaproponować nie tylko powieść, ale i tom wierszy. Nasi sprzedawcy nie potrafią sprzedawać wierszy. Wiersze to dla nich coś żenującego. Powieść to dopiero coś.

— Istotnie. Opowiadał mi Władysław Broniewski, że w pewnym sklepie Domu Książki znalazł swoją „Nadzieję" gdzieś na najwyższej półce, że tego nie można było ani zobaczyć, ani znaleźć. A mimo to „Nadziei" w ciągu kilku pierwszych dni po wyjściu książki sprzedano w samej Warszawie przeszło dwa tysiące egzemplarzy. Nie słyszałem o takim tempie sprzedaży powieści. „Bajek" Krasickiego (w okresie świątecznym) sprzedawano tylko w jednym sklepie Domu Książki w Warszawie 500 (słownie: pięćset) egzemplarzy dziennie.

Jan Lenica, młody plastyk, mówi:

— A czy by nie warto stworzyć wzorcowego, obsługiwanego przez brygadę zetempowską sklepu specjalnie z wierszami — „CENTRALĘ POEZJI"?

— Słusznie. Można by wnętrze takiego sklepu inteligentnie zaprojektować. Kupujący mogliby sobie powertować, znaleźliby tam wszystko, co ich interesuje: od Aischylosa, przez Kochanowskiego do Majakowskiego, Broniewskiego i Aragona. W sprzedażach sobotnich mogliby brać udział recytujący poeci i aktorzy recytujący.

K. I. Gałczyński

PIW

MIKOŁAJ ANTONOW
PIERWSZY ETAP
Str. 254 zł 8,—

ANTONI CZECHOW
WIŚNIOWY SAD
Komedia w 4 aktach
Str. 115 zł 7,50

ALOJZY JIRASEK
UROKI ŚWIATA
Wydanie drugie
Str. 218 zł 8,40

JAN NERUDA
ZE STAREJ PRAGI
Wydanie drugie
Str. 323 zł 9,—

VLADIMIR POZNER
SZLAKIEM KLĘSKI
Wydanie drugie
Str. 359 zł 13,50

ANDRE PHILIPPE
MICHEL RONDET
Str. 299 zł 11,—

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Czytajcie »ŻYCIE SŁOWIAŃSKIE«

miesięcznik społeczno-polityczny,
poświęcony sprawom słowiańskim, życiu ZSRR i krajom demokracji ludowych oraz pokojowemu współżyciu narodów.

Nr 1-y „ŻYCIA SŁOWIAŃSKIEGO" ukazał się w nowej szacie graficznej i jest bogato ilustrowany.

Zawiera następujące artykuły:

1. Fragment orędzia noworocznego Prezydenta R. P.
2. Wł. Szczerbic — Ostateczna instancja
3. Do Polonii zagranicznej (apel zjazdu duchownych i działaczy katolickich we Wrocławiu)
4. J. Podolski — Kraje Demokracji Ludowej wygrały batalię ekonomiczną roku 1951
5. M. G. — Mordercy przed sądem Polski Ludowej
6. M Markowski — Bogusławski — Twórca teatru narodowego
7. T. Z. — Wszechnica Radiowa dorobkiem Polski Ludowej
8. T. Andrzejewski — Metro warszawskie
9. H. Podolski — Walka Polonii amerykańskiej z remilitaryzacją Niemiec Zachodnich.

Rocznice, Kronika, Krytyka i Bibliografia. 329-1

Nowe książki

Przystępując po raz pierwszy do zrobienia przeglądu książek dla dzieci i młodzieży, stajemy wobec trudnego zagadnienia. Co uznać za nowość? Czy dać przegląd wydawnictw z całego 1951 roku? Spis taki byłby zbyt długi, zresztą pozostawiłby czytelnikowi wrażenie barwnego chaosu. Chcąc mieć przegląd wszystkich wydawnictw z całego roku, należy sięgnąć do katalogów poszczególnych instytutów wydawniczych.

Tutaj wymienimy więc jedynie książki z ostatnich paru miesięcy.

Przede wszystkim uderza barwność, bogata szata graficzna, różnorodna tematyka i... egzotyzm.

Na czoło wysuwają się przekłady. Z doniosłych wydarzeń w tej dziedzinie należy zanotować dwutomowe wydanie dzieł A. Gajdara (Nasza Księgarnia). Większość utworów jest w pięknym przekładzie A. Wata. Książka ta niewątpliwie wymaga obszerniejszego omówienia.

„Pawlik Morozow" Gubariewa (Nasza Księgarnia, przekład S. Michałowskiego) opowiada młodemu czytelnikowi polskiemu dzieje życia i walki bohaterskiego pioniera radzieckiego.

W ramach „Biblioteki Harcerza" Nasza Księgarnia wydała wiele wartościowych pod względem wychowawczym, o ciekawej treści przekładów z języka rosyjskiego. Książki te zaznajamiają najwszechstronniej z życiem dzieci radzieckich w mieście i na wsi (M. Nikulin „Życie przed nami", „Wicher", A. Rybakow „Kordzik", I. Bagmut „Szczęśliwy dzień Igora", A. Aleksin „31 dni", oraz zebrane i opracowane przez M. Górską nowele radzieckie p.t. „Żorka").

Wydano kilka książek dla młodszych dzieci ze ślicznymi wierszykami Michałkowa, Marszaka (Nasza Księgarnia, Czytelnik) w przekładach W. Grodzieńskiej, J. Minkiewicza, K. I. Gałczyńskiego. Również dla młodszych dzieci J. Bułakowska przetłumaczyła z języka czeskiego M. Majerowej „Tego królik nie lubi". Książka ta otrzymała śliczne ilustracje z wydania czeskiego.

Nieco dawniej wydany przez „Naszą Księgarnię" „Dziennik Koli Sinicyna" N. Nosowa zasługuje na specjalną uwagę i cieszy się szczególną sympatią młodych czytelników zarówno dzięki ulubionej przez dzieci formie dzienniczka, pogodnemu humorowi, jak i pasjonującemu tematowi. W opowiadaniu tym opisany jest zastęp dzieci, który zakłada pasiekę i sam hoduje pszczoły.

Amatorom opowiadań o tematyce przyrodniczej należy polecić „Tutejszy wiatr" M. Łuzgina (Książka i Wiedza). Obok ciekawej fabuły znajduje się tam sporo wiadomości.

Książka Formozowa „Sześć dni w lasach" (Nasza Księgarnia, przekł. S. Niewiadomskiego) w lekkiej beletrystycznej formie przygód dwóch chłopców wprowadza czytelnika w wiosenne życie lasu Rosji środkowej.

Życie zwierząt mamy też w dwóch pięknych książkach Skrebickiego. Dla starszych dzieci i młodzieży — „Opowiadania myśliwego" (Nasza Księgarnia, tłum. L. Okołow-Podhorski), dla dzieci młodszych — „Przyjaciele mego dzieciństwa" (Książka i Wiedza, tłum. M. Kowalewska).

Do prastarych dziejów narodu czeskiego sięga opowieść E. Storcha „Ród woła" (Nasza Księgarnia, przekł. z czeskiego J. Bułakowskiej).

Na półkach księgarskich rzucają się w oczy bogactwem barw i wspaniałością wydania różne bajki egzotyczne. A więc koreańskie „Góry Diamentowe" (Nasza Księgarnia, Vlasta Hilska, przekład z czeskiego J. Bułakowskiej, przekł. wierszy H. Januszewskiej) z ilustracjami J. Lieslera. W tłumaczeniu S. Furmanika wyszły bajki amurskie „Mężny Azmus" D. Nagiszkina (Nasza Księgarnia). „Uzum-Angur-Enab, czyli towarzysze podróży" Abdul Kassil Lahuti (Nasza Księgarnia, przetłumaczył pięknie Julian Tuwim, a zilustrował z prawdziwie wschodnim przepychem J. M. Szancer). Książka i Wiedza wydała „Bajki Ludów Nadbałtyckich" w przekładzie J. Kopciowej.

Amatorzy przygód i egzotyki, stęsknieni do „powieści indiańskich" ucieszą się z powieści Anny Jürgen „Błękitny Ptak" (Książka i Wiedza, przekład S. Sielskiego). Jest to opowieść z życia Indian, zamieszkujących w końcu XVIII wieku odwieczne puszcze Ameryki Północnej u stóp łańcucha górskiego (Alleghany). Opisane są tam ciekawe dzieje białego chłopca, który porwany i wychowany przez Indian, znalazł wśród nich prawdziwą rodzinę i ojczyznę.

Dla starszej młodzieży „Książka i Wiedza" wydała notatki z podróży W. Arsenjewa „Po Kraju Ussuryjskim" — ojczyźnie znanego już czytelnikom polskim Dersu Uzała. Opis długiej ekspedycji w góry Sichote-Alin daje piękny, barwny obraz nieprzebytej tajgi Dalekiego Wschodu, pozwala poznać jej nielicznych mieszkańców, ich zwyczaje, charakter, zapoznaje z przebogatą florą i fauną najodleglejszych zakątków Związku Radzieckiego.

Wśród polskich pozycji należy przede wszystkim zanotować parę wydanych ostatnio książeczek na temat planu 6-letniego (St. Aleksandrzyka, Anny Lanota, L. Krzemienieckiej). Na uwagę zasługuje opowiadanie historyczne H. Mortkowicz-Olczakowej „Spotkanie z Panem Kościuszką" (Nasza Księgarnia). K. Artyniewicz i S. Szuchowa napisały ładne wierszyki dla dzieci w wieku przedszkolnym p.t. „Przedszkolaczki" (Nasza Księgarnia). W wydanym przez Naszą Księgarnię cyklu „Poczytaj mi, Mamo" znajdujemy następujące nazwiska: Szalski-Załucki, Krzemieniecka, Korczakowska, A. Rymkiewicz, Z. Przyrowski i in.

Dzieje pokumanego z ludźmi niedźwiedzia opisał na tle życia rezerwatu w Puszczach J. Bieniasz w książce „Turul, władca puszczy" (Nasza Księgarnia).

Bardzo żywo prowadzony jest przez Naszą Księgarnię dział Teatru Szkolnego, wydający dla teatrów świetlicowych wiele tłumaczeń, sztuki oryginalne i opracowujący inscenizacje klasyków („Baśnie Puszkina na scenie", bajki Lafontaine'a w inscenizacji Benedykta Hertza).

M. K.

Z DZIAŁALNOŚCI SEKCJI TWÓRCZYCH ZLP

WARSZAWA

SEKCJA PRZEKŁADÓW

Na zebraniu Sekcji Przekładów w dniu 29 stycznia r.b. kol. Marceli Ranicki omówił całokształt twórczości Anny Seghers, w związku z otrzymaną przez nią Nagrodą Pokoju.

Twórczość wybitnej pisarki, zdaniem prelegenta, dzieli się na cztery etapy. Etap pierwszy — to okres do emigracji w r. 1933 (utwory „Bunt rybaków z Santa Barbara" i „Towarzysze") — etap drugi obejmuje okres od r. 1933-37 („List gończy" i „Ocalenie"); obydwa te etapy określił kol. Ranicki jako okres prób i ćwiczeń, okres „terminowania" autorki. Trzeci etap w twórczości Anny Seghers rozpoczyna się powieścią „Siódmy krzyż" i obejmuje okres życia pisarki aż do powrotu do Niemiec.

Czwarty etap twórczości Anny Seghers przypada na czas jej powrotu do Niemiec, i trwa aż do chwili obecnej. W Ostatnio pisanych przez nią powieściach występuje zainteresowanie dla tematyki związanej z budową nowych Niemiec i z walką o pokój.

W ramach dyskusji — w której głos zabierali kol. kol. Hertz, Szleyenowa, Jedlicka, Rządkowska i Wołczacka — prelegent wypowiedział swoją opinię, oceniającą przekłady polskie wydanych dotąd 9 książek Anny Seghers. Książki te zostały — mimo braków we wstępach, mimo niektórych błędów w przypisach — wydane starannie i przekłady reprezentują na ogół wysoki poziom.

Za najlepsze tłumaczenia prelegent uważa przekłady książek „Wesele na Haiti" (Adolf Sowiński), „Tranzyt" (Wanda Jedlicka) i „Siódmy krzyż" (J. Marecka i M. Wołczacka).

M. M.

WROCŁAW

SEKCJA PROZY

Tematem posiedzenia Sekji Prozy w dniu 6.XII.1951 r. była nowa powieść Stefana Łosia pt.: „Skarb puszczy". Autor przedstawia w niej dzieje naukowej stacji doświadczalnej w Białowieży. Celem tej placówki jest m. in. zbadanie możliwości hodowli sorka, zwierzątka, które dzięki szybkiej przemianie materii może oddać duże przysługi medycynie. Książka jest historią walki o żywe sorki, urodzone w niewoli, walki pokazanej na tle losów zespołu, pracującego przy tej hodowli. Jednym z dużych walorów książki, wydobytych przez dyskusję, jest właśnie żywy i interesujący obraz pracy tego zespołu. Losy organizującej się z pomocą Partii placówki naukowej, historia jej pracy, wyrażają się przez koleje życia bohaterów, przez żywe, konkretne, interesujące sytuacje. Fabuła książki jest może — jak to określiła w dyskusji Anna Kowalska — za mało dynamiczna, nie wykorzystuje wszystkich możliwości, jakie nasuwa materiał, co prowadzi do pewnych uproszczeń w rysunku postaci, podkreślić natomiast trzeba naturalny i żywy styl utworu (niekiedy tylko niepotrzebnie wpadający w ton naukowego wykładu), ciekawe obrazy puszczy Białowieskiej, celne obserwacje życia zwierząt. W sumie stwierdzono, że książka Łosia wyrosła z autentycznych obserwacyj autora, jest pozycją ciekawą i pożyteczną. Pokazując odcinek postępowej pracy nauki polskiej nie rezygnuje z szerszego tła tematycznego, aktualne problemy naukowe przedstawia w sposób barwny i bezpośredni.

W dyskusji udział wzięli: Anna Kowalska, Tadeusz Mikulski, Zbigniew Kubikowski, Kazimierz Koszutski, Kamil Giżycki, Czesław Ostankowicz, Edward Kurowski.

Komentarze

Schematyzm w literaturze amerykańskiej

Oburzony do żywego na metodę dyktowania pisarzom amerykańskim przez domy wydawnicze tematów do powieści, Samuel Sillen, ogłosił w jednym z pism, co następuje:

„Mój przyjaciel pisarz otrzymał od redaktora „True Experience" (Prawdziwe doświadczenie) — wydawnictwa Macfaddena list z prośbą o napisanie szkicu „modnej powieści o zmysłowej miłości". Chcąc mieć pewność, że pisarz zrozumie, o jaki rodzaj powieści chodzi, redakcja załączyła do listu konspekt nazwany „orientacyjną przesłanką", gdzie czytamy: „Czego pragnie przeciętna kobieta? Miłości i podniecenia. Daj jej małżeństwo i uwiedzenie. Daj jej miłość i zbrodnię, poronienie, oziębłość. Daj jej obłąkanie i morderstwo. Romans, medycynę, poniewierkę, gwałt, aparaty do wywoływania szoku, natchnienie, sprawy domowe. Akcent należy kłaść na mocne odmiany miłości. Każdy mężczyzna i każda kobieta, którzy mają ze sobą do czynienia, winni być przyciągani jedno do drugiego z taką siłą ciążenia, by ziemia przestała się obracać".

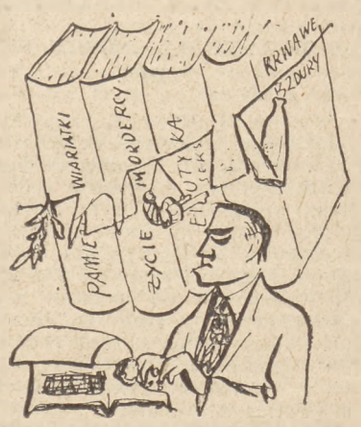

Oto jaki schemat obowiązuje w oficjalnej literaturze amerykańskiej, schemat, którego autor musi się trzymać, jeżeli chce zarobić uczciwe Macfaddenowskie dolary. Przez schemat ten przebija nawet swoisty „wszystkoizm". Złoży autor powieść, pana Macfaddenowski recenzent spojrzy: miłość — jest, zbrodnia — jest, obłąkanie — jest, poronienie — takoż, gwałt — i owszem, natchnienie — a jakże. Acha... — a gdzie aparaty do wywoływania szoków? Co, nie ma? Niestety, proszę pana, nie wydrukujemy.

... i schematyczni autorzy amerykańscy

Amerykański dom wydawniczy Charles Scribner's Sons wydał niedawno książkę pt. „Dance of death" (Taniec śmierci) pióra Ericha Kerno, chełpliwie reklamując autora

jako „byłego oficera w hitlerowskim „Elite Corps" i lojalnego hitlerowca do dziś dnia". Dziennik „New York Times" w swym tygodniowym dodatku literackim zamieścił półstronicową fotografię tego „lojalnego do dziś dnia hitlerowca", pozującego przed portretem swego Führera w polowym mundurze.

Książka została powitana przez krytykę b. życzliwie. Nic dziwnego! Któż lepiej od „lojalnego hitlerowca" potrafi wykonać schemat — od mordu, poprzez gwałt, na afirmacji trumanizmu kończąc? Tak więc Mr Charles Scribner pokonał konkurenta — Mr. Macfaddena. Macfadden zwrócił się do uczniów, Scribner — do nauczycieli i zaczerpnął autorów wprost ze źródła, skąd wypływa moda na literackie okropności w USA...

rdc.

„Chciałbym być bandytą"...

Ankieta rozpisana wśród dzieci przez jedną z organizacyj kościelnych we Włoszech, zawierająca m.in. pytanie dotyczące ulubionego typu bohaterów książek, dała zastraszające wprost rezultaty. W odpowiedzi na to pytanie tylko 24 proc. dzieci odpowiedziało, że woli postacie pozytywne, 28 proc. oświadczyło, że ulubionymi bohaterami ich książek są „bandyci, gangsterzy, gwiazdy filmowe, milionerzy". 22 proc. dzieci odpowiedziało, że najlepiej lubi błaznów cyrkowych.

Ciekawe są komentarze dziecięce z tych 28 proc., tłumaczące upodobanie do „czarnych" bohaterów w ten sposób, jak np.: „Lubię opowiadania, w których się ciągle morduje ludzi", czy „lubię tego bohatera dlatego, że zabija więcej niż jedną osobę za jednym zamachem" lub — „chciałbym być Indianinem i niszczyć miasta", albo — „chciałbym być bandytą, bo bandyci zawsze zwyciężają, a potem walczą i są zabijani".

Bogobojna instytucja zastanawiając się nad wynikami ankiety, zmuszona była („niestety") dojść do wniosku, że przyczyną bezpośrednią takich nastrojów wśród młodzieży katolickiej są amerykańskie „comicsy", zalewające rynek włoski i wywierające demoralizujący wpływ w pierwszym rzędzie na nieletnich czytelników.

Źle się dzieje (Amerykanom) w państwie włoskim, skoro już nie tylko masy katolickie, lecz i same kościelne instytucje muszą występować — bardziej lub mniej ostro — ale w każdym razie PRZECIW amerykańskiej „okupacji" kulturalnej.

rdc.

Prawdziwa kawa i fałszywa muzyka

Właściwie sprawa jest marginesowa, lecz margines to groźny. Prowadzi się obecnie b. słuszną propagandę muzyki ludowej, klasycznej, szmira „własnowska" zdaje się już pobita na głowę, co najwyżej stanowi papierek lakmusowy dla rozpoznania drobnomieszczanina, zdaje się, że dziś już tylko w „strasznych mieszkaniach" mogą ryczeć patefony o tej zmysłami pijanej nocy, krasie ust i chryzantemach siejących żal...

Tymczasem...

W największym, wspaniałym Domu Towarowym w Warszawie, w największej znajdującej się tam kawiarni, przez którą przewijają się

dziennie setki klientów, patefon wzmocniony kilkoma głośnikami ryczy z małymi przerwami na (niestety jeszcze bardziej „ryczące") oberki i kujawiaki:

„będziesz szlochał i tęsknił
i wzywał mnie —
nie raz, nie dwa, nie trzy..."

I rzeczywiście. Już po pięciu minutach poczułem, że chce mi się płakać... nad tą propagandą szmiry.

I rzeczywiście. Tęsknię. Tęsknię za spokojem, który może kiedyś zapanuje w reprezentacyjnej kawiarni CDT.

I rzeczywiście. Wzywam. Wzywam, aby w domu towarowym — symbolu klęski sklepikarzy — przestała odbijać się czkawka sklepikarskich sentymentów.

Mam wrażenie, że nie będę wzywał — „nie raz, nie dwa, nie trzy..." Jedno wezwanie może wystarczy.

Kos.

Powieść czy szarada

W styczniu b. r. kupiłem w jednej z księgarń warszawskich nową edycję „Zmartwychwstania" Lwa Tołstoja, wydaną nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. Zaczynając część pierwszą spotkała mnie niemiła niespodzianka. Zaczęła się ona na 34 stronie. Strona ta, jak i następne, nie była zadrukowana i powieść urywała się w tym miejscu. Ale to nie wszystko, gdyż na stronach 38 i 39 powtórzyła się historia. Nie koniec jednak na tym. Strony: 42, 43, 46 i 47 nie zawierały tekstu.

Podobna niespodzianka spotkała mnie przy czytaniu drugiej części, w której sporo kartek brakuje. Oto jak wygląda kolejna numeracja drugiej części „Zmartwychwstania" od strony 193 do 208:

193, 196, 193, 196, 197, 200, 197, 200, 201, 204, 201, 204, 205, 208, 205, 208.

Konia z rzędem temu, kto się połapie w tym galimatiasie!

Przykład powyższy jest jaskrawy, ale niestety nie odosobniony. Kontrola nad książką musi być sprawowana przez wydawnictwo aż do momentu, gdy ukaże się ona w sprzedaży.

Buczek

PROFESJA PANA NOWAKOWSKIEGO

W reakcyjnym dzienniku amerykańskim wychodzącym w Detroit, który zwie się „Dziennikiem Polskim", ukazał się niedawno artykuł p. Zygmunta Nowakowskiego z Londynu, całkowicie niemal poświęcony „Zwykłej sprawie" Tarna. (P. Nowakowski nie zawsze był kiepskim felietonistą. Dawniej był również kiepskim aktorem).

Myślą przewodnią (przepraszam za wyrażenie) tego artykułu jest insynuacja, że polscy autorzy dramatyczni wołają „łapać złodzieja!" a sami uciekają z łupem, którym jest „dusza młodego pokolenia" polskiego. „Ta metoda wychowywania młodego pokolenia — pisze p. Nowakowski — może wydać się nam czymś prostackim, czymś szytym zbyt grubymi nićmi, czymś chybiającym celu, w rzeczywistości jednak stanowi ona niebezpieczeństwo bardzo poważne". Bo choć sam p. Nowakowski czytając „śmieszną, głupią sztukę" Tarna wzruszał ramionami (co prawda, w innym miejscu p. Nowakowski pisze, że czytając tę sztukę „śmiał się do rozpuku", ale taki z niego aktor, że potrafi śmiać się do rozpuku wzruszając ramionami), to jednak — wyznaje — „gdy skończyłem czytać, przyszedłem do wniosku, że widz albo czytelnik w Polsce, nie mając możności skontrolowania autora, gotów uwierzyć w ten straszliwy akt oskarżenia pod adresem Stanów Zjednoczonych".

Zdawałoby się, że powinno nastąpić schwytanie Tarna na gorącym uczynku; że w dalszym ciągu swego artykułu p. Nowakowski wykaże czarno na białym, dowiedzie ponad wszelką wątpliwość, obnaży przed czytelnikiem amerykańskim ogrom fałszu, na jakim rzekomo opiera się sztuka. Taki też był zamiar p. Nowakowskiego. Tylko, że miał z tym pewien kłopot. Nic ważnego, drobnostka właściwie. Trudność po prostu polegała na tym, że w „Zwykłej sprawie" nie ma fałszu.

Ale p. Nowakowski nie darmo jest starym fachowcem. Niewiele myśląc (swoim zwyczajem), w kilku słowach streścił sztukę tak, że uogólnienia słuszne poprzetykał uogólnieniami wyssanymi z palca. Na jedno zdanie, odpowiadające mniej więcej treści sztuki, przypada w jego artykule parę zdań, które ją zniekształcają i mają przekonać czytelnika amerykańskiego, że Tarn bredzi albo łże.

Warto zademonstrować ten proceder. Dla ułatwienia, dla nieprzerywania cytaty z artykułu p. Nowakowskiego komentarzem redakcyjnym, pozwolimy sobie podać tekst p. Nowakowskiego (z zachowaniem jego polszczyzny) w ten sposób, że zdania wypaczające sens sztuki wydrukujemy kursywą.

A więc: „Policja, zabiwszy tę jakąś komunistkę, Wadowską, posługuje się podstawionymi świadkami. *Każdy bez wyjątku szofer taksówki w Nowym Jorku jest szpiclem. Rzeczoznawcy sądowi zeznają tak, jak im zeznawać każe prokurator. W Ameryce każdy musi głosować przy wyborach na kandydatów, wystawionych przez rząd.* Strajk jest zbrodnią, która mści się w potworny sposób. *Nie tylko każdy szofer, ale każdy fryzjer pozostaje na usługach policji.* Obywatel Stanów Zjednoczonych musi mieć się na baczności, musi milczeć, gdyż wszędzie i zawsze, co krok, spotyka szpiclów".

Dobra robota, prawda? Zwróćcie uwagę, że na tych siedem zdań, napisanych jednym ciągiem, tylko trzy odpowiadają rzeczywistości amerykańskiej i są mniej więcej zgodne z treścią „Zwykłej sprawy". Ale jak te zdania są rozmieszczone! W jakim kontekście! Jakie tu są powtykane kwiatki między jednym zdaniem a drugim! Bo gdy w sztuce szofer Malley opowiada ławnikom, że wie od kolegów, jak tajna policja posługuje się szoferami taksówek, to w relacji p. Nowakowskiego *„każdy bez wyjątku szofer taksówki w Nowym Yorku jest szpiclem"*. Gdy w sztuce nauczycielka Hotchkiss przypomina ławnikom, że nawet jeden z rzeczoznawców powołanych przez prokuratora *n i e* potwierdza, że kula wyszła z rewolweru oskarżonego, tylko stwierdza, że to jest możliwe — to w relacji p. Nowakowskiego *„rzeczoznawcy sądowi zeznają tak, jak im zeznawać każe prokurator"*.

Zdania te mają na celu ośmieszyć sztukę wobec czytelnika amerykańskiego. Bo jeśli ktoś będzie opowiadał Amerykaninowi, że *„W Ameryce każdy musi głosować przy wyborach na kandydatów, wystawionych przez rząd"*, to Amerykanin wybuchnie śmiechem. Kandydatów bowiem wysuwają stronnictwa, a nie rząd. I jeśli ktoś będzie opowiadał Amerykaninowi, że w Stanach Zjednoczonych *„nie tylko każdy szofer, ale każdy fryzjer pozostaje na usługach policji"*, to Amerykanin machnie ręką i przestanie słuchać.

Ale niechby p. Nowakowski spróbował napisać w dzienniku amerykańskim, że jak wynika ze sztuki Tarna — w Ameryce można głosować jedynie (jeśli się człowiek nie chce narazić) na szuję „demokratę" lub szuję „republikanina"! Niechby p. Nowakowski spróbował napisać, że jak wynika ze sztuki Tarna — tajna policja amerykańska indaguje nie tylko szoferów taksówek, ale fryzjerów, aptekarzy, windziarzy itd., by się dowiedzieć, kto spośród ich klientów czy znajomych mówił kiedykolwiek, że trzeba bronić pokoju, lub protestował przeciwko wojnie w Korei! Niechby p. Nowakowski w ten sposób zanalizował sztukę, zgodnie z jej treścią, a każdy czytelnik amerykański, nawet czytelnik tzw. „Dziennika Polskiego" w Detroit zwiesiłby głowę ponuro i zacisnął pięści, lub może tylko splonął ze wstydu czy gniewu.

Oczywiście, czytelnicy p. Nowakowskiego nie zobaczą ani nie przeczytają „Zwykłej sprawy" Tarna. P. Nowakowski jest o to zupełnie spokojny i może spokojnie uprawiać swój fach. A że uprawia go *con amore*, jak pani Warren, nie dla samych pieniędzy, o tym świadczy jego bezczelna pretensja do własnych chlebodawców, że nie dość stanowczo odpierają naszą rzekomą „propagandę". Wielkim głosem i załamując ręce woła p. Nowakowski, że poczynania Amerykanów „nie rokują nadziei, że z tamtej strony, z Ameryki odezwie się kontrpara".

Nie pomoże dolarowa kontrpara, panie Nowakowski. Pańscy chlebodawcy sami biadają, że wydali setki milionów dolarów — i nic. Nawet już nie słuchamy „Głosu Ameryki". Bo i po co? Mamy o wiele zabawniejsze programy w Syrenie i Teatrze Satyryków.

prz

Rys. Charlie

Adenauer i Schumacher: Jesteśmy za podziałem Niemiec, ale nie za TAKIM..

Redaguje Zespół Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I ptr. tel. 4-01-80, wewn. 95 oraz bezpośredni 7-36-23 Adres administracji: W-wa ul. Wiejska 12, tel. 7-52-50. Wydaje RSW „Prasa".
Prenumeratę i kolportaż: P P K. „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3 —, kwartalnie zł 9 —, półrocznie zł 18 —, rocznie zł 36 —, Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230 Wpłaty na prenumeratę indywidualną: Warszawa Plac Trzech Krzyży 16 powyżej 10 egzemplarzy — ul. Chmielna 25 Cena ogłoszeń 9 zł z 1 cm².
Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa", Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-5589 110, tel. 7-38-05 Rekopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „PRASA" Warszawa, Marszałkowska 3/5.
3-B-11745